

MARCEL PROUST

SODOMA I
GOMORA

Marcel Proust

Sodoma i Gomora

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843078

Sodoma i Gomora:

Аннотация

Sodoma i Gomora Marcela Prousta to czwarta część cyklu W poszukiwaniu straconego czasu, poświęcona głównie tematowi odkrywania erotycznej strony własnej osoby i świata zewnętrznego. Albertyna, której imię i naszkicowana ledwie sylwetka wcześniej pojawiły się w pierwszej części, w części drugiej przemknęła niczym świetlisty meteor przez plażę w Balbec jako jedna z bukietu „zakwitających dziewcząt”, następnie zwróciła ku sobie marzenia głównego bohatera i narratora, odwracając je od strony Guermantes (konkretnie od księżnej Oriany), w tej części zbliża się do niego coraz bardziej, pozostając zarazem nieuchwytna, pociągająca i kapryśna. Jednocześnie zapewne w związku z odkryciem homoseksualnych praktyk barona de Charlus (zresztą wzorowego niegdyś męża i kochającego syna, porządnego antysemitę i zakamieniałego arystokratę, bez żadnych demokratycznych ciągów) w zakochanym Marcelu rodzą się podejrzenia co do charakteru przyjaciela Albertyny z Anną.

Содержание

Część pierwsza	4
Pierwsze zjawienie się mężczyzno-kobiet, potomków tych mieszkańców Sodomy, których oszczędził ogień niebieski	4
Część druga, tom pierwszy	50
Rozdział pierwszy	50
Конец ознакомительного фрагмента.	185

Marcel Proust

Sodoma i Gomora

Część pierwsza

Kobieta będzie miała Gomorę, a mężczyzna Sodomę.
Alfred de Vigny

Pierwsze zjawienie się mężczyzno-kobiet, potomków tych mieszkańców Sodomy, których oszczędził ogień niebieski

Wspomniałem, że znacznie wcześniej, niż udałem się owego dnia (dnia, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii) do księstwa Błażejów, którą to wizytę opowiedziałem przed chwilą, czatowałem na ich powrót i żem uczynił podczas swoich czatów odkrycie dotyczące specjalnie pana de Charlus, ale tak ważne samo w sobie, że dotąd odkładałem jego opis, aż do chwili kiedy mogę mu zapewnić dosyć miejsca i przestrzeni. Opuściłem, jak wspomniałem, cudowny i tak szczęśliwie obrany na szczycie domu punkt obserwacyjny, skąd oko obejmuje kapryśne stoki wiodące je aż do pałacu Bréquigny,

z włoska wesoło strojne różową kampaniłą remizy margrabiego de Frécourt. Kiedym sądził, że księstwo Błażejowie już za chwilę będą wracali, uznałem za praktyczniejsze ulokować się na schodach. Żałowałem trochę swojego pobytu na wysokościach. Ale o tej porze – było już po śniadaniu – żal mój miał mniej racji, bo nie byłbym widział – jak widziałem rano – mikroskopijnych figurek, jakimi stawali się na odległość lokaje z pałacu Bréquigny, wstępujący powoli po stromym zboczu z piórkiem do okurzania w ręce, między szerokimi przezroczystymi płatami miki, tak przyjemnie odcinającymi się na czerwonych blankach.

W braku pola do kontemplacji geologicznych przerzuciłem się na kontemplacje botaniczne; poprzez okiennice patrzałem na drzewko księżnej i na jej szacowną roślinę, wystawiane na dziedzińcu z tą samą wytrwałością, z jaką się oprowadza panny na wydaniu, i zadawałem sobie pytanie, czy nieprawdopodobny owad zjawi się opatrnościowym trafem, aby odwiedzić gotowy na jego przyjęcie samotny słupek. Ciekawość ośmielała mnie trochę; zeszedłem aż na parter, do okna również otwartego, z okiennicami zamkniętymi tylko do połowy. Słyszałem wyraźnie gotującego się do wyjścia Jupiena, który nie mógł mnie dojrzeć przez storę, za którą stałem nieruchomy. Naraz cofnąłem się gwałtownie z obawy, aby mnie nie zobaczył pan de Charlus, który, idąc do pani de Villeparisis, mijał wolno dziedziniec; z brzuszkiem, postarzały w świetle dziennym, szpakowaty. Trzeba było niedyspozycji pani de Villeparisis

(następstwo choroby margrabiego de Fierbois, z którym baron osobiście był śmiertelnie poróżniony), aby pan de Charlus – może pierwszy raz od czasu swego istnienia – zdecydował się na wizytę o tej godzinie. Właściwością Guermantów było, że zamiast się stosować do światowego życia zmieniali je wedle swoich osobistych nawyków (nie światowych, jak sądzili, tym samym godnych, aby im ustępowała owa rzecz bez znaczenia – światowość). Tak na przykład pani de Marsantes nie miała „dnia”, ale była co rano dla swoich przyjaciółek w domu od dziesiątej do południa; baron, zachowując ranek na lekturę, na szperanie po antykwarzach itd., nie składał nigdy wizyt wcześniej niż między czwartą a szóstą po południu. O szóstej szedł do klubu albo na spacer do Lasku.

Po chwili cofnąłem się znowu, nie chcąc, aby mnie dojrzał Jupien; zbliżała się godzina jego biura, skąd wracał aż na obiad, i to nie zawsze, od tygodnia bowiem siostrzenica jego bawiła z pomocnicami gdzieś na wsi u klientki, aby skończyć jej suknię. Następnie, zdając sobie sprawę, że nikt mnie nie może widzieć, postanowiłem się już nie ruszać z obawy, aby nie przeoczyć – o ile cud miałby się zdarzyć – beznadziejnego prawie przybycia (poprzez tyle przeszkód, odległości, utrudnień, niebezpieczeństw) owada wysłanego z tak daleka w ambasadzie do dziewicy od dawna wyczekującej nadaremnie.

Wiedziałem, że to wyczekiwanie nie jest całkowicie bierne, tak samo jak u męskiego kwiatu, którego pręciki obróciły się samorzutnie, iżby owad mógł łatwiej przyjąć ich pyłek; tak

samo znajdujący się tutaj żeński kwiat, w razie gdyby owad przybył, wygiąłby zalotnie swoje słupki i, aby ów owad lepiej mógł weń wnikać, zrobiłby to nieznacznie – niby obłudna, lecz namiętna dziewczyna – pół drogi. Prawami świata roślinnego rządzą znów coraz wyższe prawa. Jeżeli wizyta owada, to znaczy przeniesienie pyłku z innego kwiatu, potrzebna jest zazwyczaj do zapłodnienia, to dlatego że samo zapłodnienie – zapłodnienie kwiatu przez siebie samego – spowodowałoby, niby małżeństwa powtarzane w jednej i tej samej rodzinie, degenerację i bezpłodność; krzyżowanie natomiast dokonywane przez owady daje następnym pokoleniom tego samego gatunku nieznaną ich poprzednikom żywotność. Ale ten rozmach może być nadmierny, gatunek może się rozwijać przesadnie; wówczas, jak antytoksyna broni przed chorobą, jak gruczoł tarczowy miarkuje naszą tuszę, jak klęska karze dumę, zmęczenie rozkosz, sen zaś daje z kolei wypoczynek po zmęczeniu, tak wyjątkowy akt samozapłodnienia przychodzi we właściwym punkcie, aby uregulować, zahamować, wrócić do normy kwiat, który z niej za bardzo wyszedł.

Refleksje moje biegły po linii, którą opiszę później; z oczywistej chytryści kwiatów wyciągnąłem już konsekwencje dotyczące się nieświadomej partii literackiego dzieła. Naraz ujrzałem pana de Charlus wychodzącego od margrabiny. Upłynęło ledwie kilka chwil od jego wejścia. Może dowiedział się od sędziwej krewniaczki – lub tylko przez służącego – o polepszeniu lub raczej o zupełnym wyleczeniu tego, co było

u pani de Villeparisis prostą niedyspozycją. W tej chwili pan de Charlus sądził, że nikt nań nie patrzy; mrużył oczy od blasku słońca, z twarzy jego znikło owo napięcie, ustąpiło sztuczne ożywienie, jakie podtrzymywała u barona podnieta rozmowy oraz wysiłek woli. Blady był jak marmur; nos miał bardzo wydatny, despotyzm spojrzenia nie dawał już jego delikatnym rysom wymowy psującej piękność ich rysunku; w tej chwili pan de Charlus był już tylko Guermantem, zdawał się już wyrzeźbiony – on, Palamed XV – w kaplicy Combray. Ale te typowe rysy rodzinne przybierały na twarzy pana de Charlus subtelność bardziej uduchowioną, łagodniejszą zwłaszcza. Żałowałem dla niego, że tę uprzejmość, słodycz, tak dobrodusznie rozkwitające na jego twarzy w chwili, gdy wychodził od pani de Villeparisis, baron kazi zazwyczaj taką gwałtownością, tyloma przykrymi dziwactwami, plotkarstwem, oschłością, podejrzliwością i arogancją, że je kryje pod sztuczną brutalnością. Mrugając oczami w słońcu, zdawał się niemal uśmiechać; na twarzy jego, oglądanej niejako w chwili spokoju i jak gdyby w naturalnej postaci, było coś tak serdecznego, bezbronnego, że nie mogłem się wstrzymać od myśli, jak wściekły byłby pan de Charlus, gdyby wiedział, że ktoś nań patrzy; bo ten człowiek tak rozkochany w męskości i tak się nią pyszniący, człowiek, któremu wszyscy wydawali się wstrętnie zniewieściali, przypominał mi w tej chwili – tak dalece miał przelotnie jej rysy, wyraz, uśmiech – przypominał mi w tej chwili kobietę. Miałem się znów cofnąć, aby mnie baron nie

spospostrzegł; nie zdążyłem ani nie potrzebowałem tego uczynić. Bo coś ujrzałem! Twarz w twarz, na tym dziedzińcu, gdzie się z pewnością nigdy nie spotkali (pan de Charlus przychodził do pałacu Guermantów jedynie po południu, w godzinach, gdy Jupien był w biurze), baron, otwartwszy nagle szeroko przymknięte oczy, spoglądał z nadzwyczajną uwagą na ekskrawca stojącego w progu sklepu, gdy ten, przygwożdżony nagle do miejsca widokiem pana de Charlus, wrosły w ziemię jak roślina, patrzył z zachwytem na brzuszek podstarzałego barona. Ale, rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca, kiedy pan de Charlus zmienił pozę, zachowanie się Jupiena – jak gdyby zgodnie z prawidłami tajemnej sztuki – dostroiło się do niej natychmiast. Baron, który starał się teraz ukryć swoje wrażenie, ale który, mimo przybranej obojętności, oddalał się z widocznym żalem, chodził tam i z powrotem, puszczał wzrok w przestrzeń w sposób mający uwydatnić piękność jego oczu, przybierał minę zalotną, niedbałą, śmieszną. Otóż Jupien, natychmiast tracąc uniżony i pocziwy wyraz, jaki zawsze u niego znałem, podniósł – w doskonałej symetrii z baronem – głowę, wygiął zwycięsko talię, wsparł z pocieszną arogancją rękę na biodrze, wypinał siedzenie, dobierał pozy z zalotnością godną orchidei wobec opatrznosciowego bąka. Nie wiedziałem, że on może być tak antypatyczny! Ale nie posądzałem go także, aby był zdolny zaimprovizować swoją partię w tej niemo rozgrywającej się scence, która (mimo że Jupien pierwszy raz znalazł się w obecności pana de Charlus) zdawała się od dawna

wypróbowana; do takiej doskonałości dochodzi się samorzutnie jedynie wtedy, kiedy się spotka na obczyźnie krajana: wówczas porozumienie dokonywa się samo przez się, obaj znajdują wspólny język, mimo że się nigdy z sobą nie widzieli.

Scena ta nie była zresztą wprost komiczna; nacechowana była jakąś dziwnością lub, jeśli kto woli, naturalnością, której piękno wciąż rośło. Daremnie pan de Charlus przybierał obojętną minę, spuszczał od niechcienia powieki, chwilami podnosił je, kierując wówczas na Jupiena baczne spojrzenie. Sądził z pewnością, iż podobna scena nie powinna się zbytnio przeciągać w tym miejscu, bądź z racji, które zrozumiemy później, bądź przez owo poczucie krótkości wszystkich rzeczy, które każe nam pragnąć, aby każda strzała trafiała do celu, i które czyni czymś tak wzruszającym grę wszelkiej miłości. Za każdym razem, kiedy pan de Charlus patrzył na Jupiena, starał się, aby jego spojrzeniu towarzyszyło słowo, co je czyniło czymś nieskończeniem odmiennym od spojrzeń, kierowanych zazwyczaj na osobę mało znaną nam lub nieznaną. Patrzył na Jupiena ze zmiennym uporem człowieka, który ma powiedzieć: „Daruję pan moją niedyskrecję, ale ma pan na plecach długi biały włos” albo: „Jeżeli się nie mylę, musi pan być także z Zurychu; zdaje mi się, że pana często spotykał u handlarza starożytności”. Podobnie, co dwie minuty, wzrok pana de Charlus zdawał się usilnie zadawać Jupienowi jedno i to samo pytanie, niby owe pytające frazy Beethovena, powtarzane bez końca w równych odstępach i mające – z przesadnym zbytkiem

przygotowań – sprowadzić nowy motyw, zmianę tonacji, nawrót. Ale właśnie piękno spojrzeń pana de Charlus i Jupiena pochodziło stąd, że te spojrzenia – na razie przynajmniej – nie zdawały się do czegoś prowadzić. To piękno oglądałem pierwszy raz w osobach barona i Jupiena. W oczach jednego i drugiego wschodziło niebo nie Zurychu, ale jakiegoś wschodniego miasta, którego nazwy jeszcze nie odgadłem. Jaki bądź wzgląd mógł wstrzymywać pana de Charlus i eks-krawca, porozumienie ich zdawało się faktem, i te zbyteczne spojrzenia były już tylko rytualnymi niejako przegrywkami, podobnymi fetom, jakie się wydaje przed postanowionym małżeństwem. Zbliżając się jeszcze do natury – a mnogość tych porównań jest dość naturalna, ile że ten sam człowiek, jeżeli go obserwujemy przez kilka minut, wydaje się kolejno człowiekiem, człowiekiem-ptakiem lub człowiekiem-owadem itd. – rzekłoby się, dwa ptaki, samiec i samica: samiec starający się posuwać naprzód, samica – Jupien – nieodpowiadająca już żadnym znakiem na ten manewr, lecz patrząca na swego nowego kochanka bez zdziwienia, z niedbałą bacznością, uznając z pewnością tę postawę za bardziej zalotną i jedynie celową, z chwilą gdy samiec uczynił pierwsze kroki i poprzestawał na gładzeniu swoich piór.

Wreszcie jednak obojętność przestała widocznie Jupienowi wystarczać; od pewności podboju do tego, aby się kazać gonić i pożądać, był tylko krok; decydując się iść do swoich zajęć, Jupien wyszedł za bramę. Bądź co bądź, odwrócił parę razy głowę, zanim wyszedł na ulicę, gdzie baron, drżąc, iż zgubi jego

śląd, pomknął żywo, aby go dogonić. Idąc baron pogwizdywał z miną fanfaronu i krzyknął: „Do widzenia!” odźwiernemu, który, podpity i podejmując swoich gości w pokoiku za kuchnią, nawet nie usłyszał.

W tej samej chwili, w której pan de Charlus wypadł z bramy, pogwizdując niby duży bąk, drugi – ten prawdziwy – wleciał w dziedziniec. Kto wie, czy to nie ów tak długo oczekiwany przez orchideę owad przynosił jej rzadki pyłek, bez którego groziłoby jej wieczne dziewictwo.

Ale nie mogłem śledzić ruchów owada, bo po kilku minutach, bardziej absorbując moją uwagę, Jupien (może po to, aby wziąć paczkę, którą zabrał później, a której pod wpływem wzruszenia, w jakie go wprowadził widok pana de Charlus, zapomniał; może po prostu z naturalniejszej przyczyny), Jupien wrócił, wiodąc za sobą barona. Ten, zdecydowany przyspieszyć bieg rzeczy, poprosił eks-krawca o ogień, ale natychmiast zauważył:

– Proszę pana o ogień, ale widzę, że zapomniałem cygar.

Prawo gościnności zwyciężyło reguły kokieterii.

– Niech pan wejdzie, otrzyma pan wszystko, czego pan zapagnie – rzekł krawiec, na którego twarzy wzgarda ustąpiła miejsca radości.

Drzwi sklepowe zamknęły się za nimi i nie mogłem już nic słyszeć. Straciłem z oczu bąka; nie dowiedziałem się, czy to był owad potrzebny orchidei, ale nie wątpiłem – co się tyczyło bardzo rzadkiego owada i uwięzionego kwiatu – o cudownej możliwości sparzenia się ich, skoro

pan de Charlus (proste zestawienie opatrnościowych trafów różnego rodzaju i bez najmniejszej pretensji naukowej kojarzenia pewnych praw botaniki oraz tego, co czasem nazywają – bardzo źle – homoseksualizmem), który od lat przychodził do tego domu jedynie w nieobecności Jupiena, dziś, wskutek przypadkowej niedyspozycji pani de Villeparisis, spotkał go, a wraz z nim szczęście chowane dla ludzi z rodzaju barona przez jedną z tych istot, które mogą być (ujrzymy to później) nieskończenie młodsze i piękniejsze od Jupiena, przez człowieka przeznaczonego na to, aby tamci mieli swoją część rozkoszy na tej ziemi: mężczyznę lubiącego jedynie starszych panów.

To, com powiedział tutaj, miałem zrozumieć aż w kilka minut później, tak ściśle łączy się z rzeczywistością jej darowania się niewidzialną, aż ją jakaś okoliczność odrze z tego daru. W każdym razie, w tej chwili byłem bardzo nierad, że już nie słyszę rozmowy eks-krawca z baronem. Naraz spostrzegłem ów sklep do wynajęcia, oddzielony od sklepu Jupiena jedynie cienkim przepierzeniem. Aby tam się dostać, trzeba mi było jedynie wrócić do naszego mieszkania, iść do kuchni, zejść schodami kuchennymi do piwnic, przejść piwnicami całą szerokość dziedzińca i, doszedłszy do sutereny (gdzie jeszcze przed kilku miesiącami stolarz miał skład drzewa, a gdzie Jupien zamierzał trzymać węgle), przebyć kilka stopni wiodących do sklepu. W ten sposób odbyłbym całą drogę w ukryciu, nie widziałby mnie nikt. Było to najbezpieczniej. Ale nie tę drogę obrałem: sunąc wzdłuż muru, obszedłem po prostu

dziedzinić, starając się, aby mnie nie widziano.

Jeżeli mnie nikt nie ujrzał, sądzę, że zawdzięczać to raczej przypadkowi niż roztropności. A dla faktu, że obrałem postanowienie tak nierozważne (podczas gdy iść piwnicami było tak bezpiecznie), widzę trzy możliwe racje, przyjąwszy, że w ogóle była jaka. Najpierw swoją niecierpliwość. Następnie może mgliste wspomnienie sceny w Montjouvain, kiedy stałem ukryty za oknem panny Vinteuil. W istocie, tego rodzaju rzeczy, których byłem świadkiem, zawsze miały w swojej inscenizacji charakter najbardziej nieostrożny i najmniej prawdopodobny, tak jakby podobne odkrycia miały być nagrodą jedynie aktu pełnego ryzyka, mimo iż po części tajemnego. Trzecią wreszcie rację zaledwie śmiem wyznać z powodu jej dzieciństwa, mimo iż była ona, jak sądzę, podświadomie rozstrzygająca. Od czasu jak chcąc sprawdzić – i przekonać się o ich zawodności – zasady wojskowe Roberta, śledziłem bardzo szczegółowo wojnę Boerów, doprowadziło mnie to do odczytywania dawnych opisów odkryć, podróży. Te opowiadania rozpały mnie i stosowałem je w życiu codziennym, aby w sobie wyrobić więcej odwagi. Kiedy ataki choroby trzymały mnie przez wiele dni i nocy nie tylko bez snu, ale bez spoczynku, bez picia i jedzenia, w chwili gdy wyczerpanie i ból stawały się beznadziejne, myślałem o jakimś wyrzuconym na brzeg podróżniku, zatrutym zabójczymi ziołami, dygocącym z gorączki w sukniach zmoczonych wodą morską, który wszelako, czując się lepiej po upływie dwóch dni, puszczał się na

oślepienie na poszukiwanie mieszkańców, mających się może okazać ludożercami. Te przykłady krzepiły mnie, wracały mi nadzieję: wstyd mi było chwilowej rozpaczki. Myśląc o Boerach, którzy, mając na wprost siebie armię angielską, nie lękali się odsłonić, przebywając kawał szczerzego pola, zanim znów dopadli gęszczy, myślałem sobie: „Ja miałbym być tchórzliwszy, kiedy teatrem operacyjnym jest tylko własny dziedziniec i kiedy mnie – który bez cienia lęku miałem kilka pojedynków w momencie sprawy Dreyfusa – grozi jedynie wzrok sąsiadów, mających co innego do roboty niż patrzeć na dziedziniec”.

Ale kiedy się znalazłem w sklepie, starając się, o ile możliwości, aby podłoga nie trzeszczała, i zdając sobie zarazem sprawę, iż najłżejszy szmer w sklepie Jupiena słyhać w mojej kryjówce, osądziłem, do jakiego stopnia Jupien i pan de Charlus byli nierozważni i jak bardzo traf im sprzyjał.

Nie śmiałem się poruszyć. Masztalerz księstwa de Guermantes, korzystając z pewnością z ich nieobecności, przeniósł niedawno do sklepu, gdzie się znajdował, drabinę przechowywaną dotąd w remizie. Gdybym wszedł na tę drabinę, mógłbym otworzyć okienko i słyszeć wszystko tak, jakbym był w samym pokoju Jupiena. Ale bałem się narobić hałasu. Zresztą to było zbyteczne. Nie potrzebowałem nawet żałować, że się znalazłem w sąsiednim sklepie dopiero po upływie kilku minut. Bo, sądząc z tego, co usłyszał w pierwszej chwili w lokalu Jupiena – a były to same nieartykułowane dźwięki – przypuszczam, że wymieniono tam niewiele słów.

Prawda, iż dźwięki były tak gwałtowne, że gdyby im wciąż nie towarzyszył, o oktawę wyżej, równoległy jęk, mógłbym przypuszczać, że to jakiś człowiek tuż obok morduje drugiego i że potem morderca wraz ze swoją zmartwychwstałą ofiarą biorą kąpiel, aby zatrzeć ślady zbrodni. Wywnioskowałem stąd później, że jeżeli jest jakaś rzecz równie hałaśliwa jak cierpienie, to jest nią rozkosz, zwłaszcza kiedy się z nią łączy – w braku obawy dziecka, co nie mogło grozić tutaj, mimo (niezbyt przekonującego) przykładu z *Żywotów świętych* – natychmiastowa troska o kwestie czystości. Wreszcie, po upływie mniej więcej pół godziny (w czasie której wdrapałem się ostrożnie na drabinę, aby patrzeć przez zamkniętą zresztą lufcik), zawiązała się rozmowa. Jupien odmawiał energicznie wzięcia pieniędzy, które mu pan de Charlus chciał wręczyć.

Po upływie pół godziny pan de Charlus wyszedł.

– Czemuś ty się tak ogolił – rzekł do barona Jupien pieszczotliwym tonem. – To takie ładne, piękna broda.

– Fe! To obrzydliwe – odparł baron. Ale wciąż jeszcze stał w progu i wypytywał Jupiena o jakieś szczegóły dotyczące dzielnicy. – Nie wiesz nic o kasztaniarzu na rogu, nie po lewej, to ohyda, ale po parzystej stronie, wielki chłop, bardzo czarny? A aptekarz naprzeciwko, jest tam bardzo miłusi goniec, który rozwozi lekarstwa.

Te pytania zmroziły zapewne Jupiena, bo prostując się z urazą zdradzonej „wielkiej miłości”, odparł:

– Widzę, że pan ma serce jak dom zajezdny

Wyrzut ten, wygłoszony bolesnym, lodowatym i mizdrzącym się tonem, musiał być dotkliwy dla pana de Charlus; aby zatrzeć złe wrażenie wywołane jego ciekawością, zwrócił się do Jupiena (zbyt cicho, abym mógł dosłyszeć słowa) z prośbą wymagającą z pewnością przedłużenia ich pobytu w sklepie. Krok ten wzruszył snadź krawca na tyle, aby zatrzeć jego urazę, bo popatrzał na twarz barona – tłąstą i przekrwioną pod szpakowatymi włosami – z upojoną miną człowieka, którego miłość własną pogłaskano rozkosznie. Decydując się przychylić do próśb pana de Charlus, po uwagach pozbawionych dystynkcji, jak: „Ależ masz wielką pupę”, Jupien rzekł do barona z uśmiechem, wzruszony, dumny i wdzięczny:

– No, dobrze już, dobrze, ty mój smarkaty.

– Jeżeli wracam do kwestii konduktora tramwajowego – podjął wytrwały pan de Charlus – to dlatego że, poza wszystkim innym, mogłoby mi się to przydać w pewnych wypadkach, na przykład z okazji powrotów. Zdarza mi się w istocie, jak kalifowi przebiegającemu Bagdad w postaci prostego kupca, iść za jakąś interesującą osobką, której sylwetka mnie zacieka.

Uderzyło mnie tutaj to samo, co mnie już raz zastanowiło u Bergotte’a. Gdyby miał kiedy odpowiadać przed sądem, użyłby nie tych wyrażení, które by najłatwiej mogły przekonać sędziów, ale wyrażení *à la* Bergotte, które mu podsuwał jego swoisty temperament literacki i których użycie sprawiało mu przyjemność. Podobnie pan de Charlus, mówiąc z pokątnym krawcem, posługiwał się językiem, jakiego by używał z ludźmi

swojej sfery. Przesadzał nawet swoje tiki: czy że nieśmiałość, z którą silił się walczyć, popychała go do nadmiernej dumy, czy że, przeszkadzając mu panować nad sobą (bo jesteśmy bardziej onieśmieleni wobec osoby nienależącej do naszej sfery), kazała mu odsłonić, obnażyć swoją naturę, w istocie dumną i trochę niepoczytalną, jak mówiła pani de Guermantes.

– Aby nie zgubić tropu – ciągnął baron – skaczę jak student, jak młody i piękny medyk do tego samego tramwaju co młoda osóbką, o której mówimy w rodzaju żeńskim jedynie dla zachowania reguły (tak jak się mówi o panującym: „Czy wasza wysokość jest zdrowa”). Jeżeli osóbką zmieni tramwaj, biorę – może wraz z mikrobami dżumy – tę niewiarygodną rzecz zwaną „przesiadką” i numer, który – mimo że go wręczają *mnie!* – nie jest zawsze numerem I! Przesiadam się w ten sposób trzy lub cztery razy. Dobijam czasem o jedenastej wieczór Dworca Orleańskiego, i trzeba wracać! Gdybyż to był tylko Dworzec Orleański! Ale raz na przykład, nie mogąc wcześniej nawiązać rozmowy, dojechałem do samego Orleanu w jednym z tych okropnych wagonów, gdzie się ma jako widok, między trójkątnymi robótkami, tak zwanymi „szydełkowymi”, fotografie architektonicznych arcydzieł okręgu kolejowego. Było tylko jedno miejsce wolne, miałem na wprost siebie, jako monument historyczny, „widok” katedry orleańskiej, najbrzydszej we Francji i równie męczącej do oglądania w ten sposób wbrew woli, co gdyby mi kazano podziwiać jej wieże w szkiełku obsadek z „widokami”, od których dostaje się

zapalenia oczu. Wysiadłem w Aubrais równocześnie z młodą osobą, którą, niestety, rodzina (wówczas gdy ja ją posadzałem o wszystkie przywary z wyjątkiem tej, aby miała rodzinę) oczekiwała na peronie! Czekając na pociąg, który by mnie odwiózł do Paryża, miałem za całą pociechę jedynie dom Diany de Poitiers. Mimo iż ta Diana czarowała jednego z moich królewskich przodków, wołałbym piękność bardziej aktualną. Toteż aby mieć lekarstwo na nudę tych samotnych powrotów, chętnie bym poznał jakiegoś posługacza od wagonów sypialnych, jakiego konduktora osobowego pociągu. Niech cię to nie razi – zakończył baron – to wszystko jest kwestia odcieni. Wobec młodych ludzi z towarzystwa na przykład nie pragnę wcale fizycznego posiadania, ale znajduję ukojenie aż wtedy, kiedy się w nich domacał, nie dosłownie, tkliwej struny. Skoro zamiast zostawiać moje listy bez odpowiedzi młody człowiek nie przestaje pisać do mnie, kiedy jest moralnie *mój*, jestem uspokojony lub przynajmniej byłbym uspokojony, gdybym zaraz nie zaczął pragnąć innego. To dosyć ciekawe, prawda? *A propos* młodych ludzi z towarzystwa, czy nie znasz czegoś takiego pośród tych, co bywają tutaj?

– Nie, mój dzidziusiu. A, owszem, jest jeden brunet, bardzo wysoki, z monoklem, który wciąż się śmieje i ogląda.

– Nie orientuję się, kogo ty masz na myśli...

Jupien uzupełnił portret, ale pan de Charlus nie mógł dojść, o kogo chodzi, bo nie wiedział, że eks-krawiec jest z gatunku ludzi liczniejszych, niż się mniema, którzy nie pamiętają koloru

włosów mniej znajomych im osób. Ale dla mnie, który znałem ten defekt Jupiena i zastąpiłem bruneta blondynem, portret ten odpowiadał dość ściśle księciu de Châtellerault.

– Aby wrócić do młodych ludzi nie z ludu – podjął baron – w tej chwili mam głowę zaproszoną szczególnym chłopakiem, młodym inteligentem, który traktuje mnie wściekle niegrzecznie. Nie ma żadnego poczucia olbrzymiej osobistości, jaką jestem ja, a mikroskopijnego wibriona, jakim jest on. Ostatecznie, mniejsza, ten młody osioł może ryczeć, ile mu się podoba, wobec mojej dostojnej szaty biskupiej.

– Biskup! – wykrzyknął Jupien, który nic nie zrozumiał z ostatnich słów pana de Charlus, ale którego słowo „biskup” wprowało w osłupienie. – Ależ to całkiem nie pasuje z religią – rzekł.

– Mam trzech papieży w rodzinie – odparł pan de Charlus – i prawo noszenia się czerwono z racji tytułu kardynalskiego; siostrzenica kardynała, mojego wujecznego dziadka, wniosła memu dziadkowi tytuł diuka, który substytuowano. Widzę, że moje metafory zostawiają cię głuchym, a historia Francji obojętnym. Zresztą – dodał baron, nie tyle może w sensie konkluzji, co w sensie ostrzeżenia – ten urok, jaki wywierają na mnie młode osoby, które mnie unikają, ze strachu rozumie się, bo jedynie szacunek zamyka im usta i nie pozwala im krzyczeć, że mnie kochają, ten urok wymaga u nich znamienitej rangi społecznej. A i tak ich udana obojętność może mimo to mieć wręcz przeciwny skutek. Głupio przeciągana mierzi mnie. Dam

ci przykład zaczerpnięty w klasie, która ci będzie bliższa. Kiedy odnawiano mój pałac, nie chcąc wzniecać zazdrości między damami z mitrą, które walczyły o to, aby móc opowiadać, że u nich mieszkał, przeniosłem się na kilka dni do „hotelu”, jak się to nazywa. Znając jednego ze służących, wskazałem mu interesującego małego „strzelca”, który się okazał oporny na moje propozycje. W końcu, przywiedziony do ostateczności, aby mu dowieść, że moje intencje są czyste, ofiarowałem mu śmiesznie wysoką sumę jedynie za to, aby przyszedł na pięć minut porozmawiać do mojego pokoju. Czekałem na próżno. Nabrałem wówczas do niego takiego wstrętu, że u wychodził służbowymi schodami, aby nie musieć oglądać gęby tego małego ladaco. Dowiedziałem się później, że nie dostał żadnego z moich listów: wszystkie przejęto! Pierwszy list skreślił służący, który był zazdrosny; drugi – portier dzienny, który był cnotliwy; trzeci – portier nocny, który się kochał z młodym „strzelcem” i sypiał z nim o godzinie, w której Diana wstaje. Mimo to mój wstręt przetrwał i choćby mi przyniesiono tego boy’a na srebrnym półmisku, odepchnąłbym go ze wstrętem. Ale patrz, co za nieszczęście: wdaliśmy się w rozmowę o rzeczach serio i teraz przepadło dla nas to, na co liczyłem. Ale mógłbyś mi oddać wielkie usługi, służyć mi za pośrednika... Chociaż nie, sama ta myśl wróciła mi jurność, czuję, że nic nie jest skończone.

Od początku tej sceny łuska opadła mi z oczu; pan de Charlus zmienił się w nich tak kompletnie i tak nagle, jak gdyby go dotknęto różdżką czarnoksiężką. Dotąd, ponieważ nie

rozumiałem, nie widziałem. Przywara (tak się mówi dla wygody słownictwa), przywara każdego człowieka towarzyszy mu na sposób owego ducha niewidzialnego ludziom, dopóki nie znali jego obecności. Dobroć, fałsz, nazwisko, stosunki światowe są czymś nie do odgadnięcia, człowiek nosi je ukryte. Sam Ulisses zrazu nie poznał Atene. Ale bogowie są natychmiast dostrzegalni bogom; i niemniej szybko podobny odgaduje podobnego, jak się to okazało z panem de Charlus i Jupienem. Dotąd patrzyłem na pana de Charlus tak, jak roztargniony człowiek patrzy na kobietę brzemienną, której zmienionej figury nie zauważył. I gdy ona powtarza mu z uśmiechem: „Tak, jestem trochę zmęczona w tej chwili”, on dopytuje się uparcie: „Co pani jest?”. Ale niech mu ktoś powie: „Jest w ciąży”, nagle spostrzeże brzuch i będzie widział tylko ten brzuch. Intelpekt otwiera nam oczy, rozprószona omyłka przydaje nam jeden zmysł więcej.

Ci, co nie lubią szukać przykładu tego prawa w znajomych sobie „panach de Charlus”, których długi czas nie podejrzewali, aż do dnia, gdy na gładkiej powierzchni osobnika podobnego do innych zjawiły się, wypisane nieczytelnym dotąd atramentem, głoski składające słowo drogie dawnym Grekom, ci, jeśli chcą zrozumieć, iż otaczający ich świat ukazuje się im zrazu nagi, odarty z tysiąca ornamentów, które nastrecza świadomszym, niech sobie tylko przypomną, ile razy w życiu zdarzyło im się być blisko popełnienia gafy. Nic na neutralnej twarzy danego osobnika nie mogło im wskazać, że ów osobnik jest właśnie bratem, narzeczoną lub kochankiem kobiety, o której mieli

powiedzieć: „Co za krowa!”. Szczęściem słówko szepnięte im w porę przez sąsiada zatrzymuje im na wargach nieszczęsne wyrażenie. Natychmiast zjawiają się niby *Mane, Tekel, Fares* te słowa: to jest narzeczony albo: to jest brat, albo: to jest kochanek kobiety, której nie wypada nazywać przy nim „krową”. I ta nowa świadomość pociągnie za sobą przegrupowanie, cofnięcie lub posunięcie się naprzód części wiadomości – uzupełnionych obecnie – jakie się posiadało o reszcie rodziny. Daremnie w panu de Charlus inna istota, różniąca go od innych ludzi, łączyła się niby w centaury koń z człowiekiem, daremnie ta inna istota zespalała się z baronem – nie spostrzegłem jej dotąd nigdy. Teraz abstrakcja zmaterializowała się; zrozumiana nareszcie istota straciła natychmiast swoją czapkę-niewidkę; przeobrażenie pana de Charlus w nową osobę było tak zupełne, że nie tylko kontrasty jego twarzy, głosu, ale retrospektywnie nawet przyipy i odpływy jego stosunku do mnie, wszystko, co wydawało się dotąd mojej inteligencji czymś bezładnym, stawało się zrozumiałe, oczywiste. Tak zdanie nieprzedstawiające żadnego sensu, dopóki pozostaje rozłożone na rozsypane przypadkowo litery, wyraża – skoro te litery ułożyć we właściwym porządku – myśl, której niepodobna już będzie zapomnieć.

Co więcej, rozumiałem teraz, czemu przed chwilą, widząc barona wychodzącego od pani de Villeparisis, mogłem uważać, że on wygląda na kobietę: był kobietą! Należał do rasy istot, mniej paradoksalnych, niż się wydaje, których ideałem jest męskość właśnie dlatego, że ich natura jest żeńska, a które

w życiu są podobne jedynie z pozoru do innych mężczyzn; tam gdzie każdy nosi – wypisaną w tych oczach, którymi widzi wszystko we wszechświecie – sylwetkę wyrytą w soczewce źrenicy, u nich nie jest to sylwetka nimfy, lecz efeba. Rasa, na której ciąży przekleństwo i która musi żyć w kłamstwie i krzywoprzysięstwie, bo wie, że jej pragnienie, stanowiące dla wszelkiej istoty największą słodycz życia, jest niepodobne do wyznania, karalne i hańbiące; rasa, która musi się zapierać swojego Boga, bo nawet chrześcijanie, kiedy się jawią przed kratkami sądowymi jako oskarżeni, muszą, wobec Chrystusa i Jego imienia, bronić się niby od potwarzy od tego, co jest treścią ich życia; synowie bez matki, której muszą kłamać całe życie, nawet w chwili gdy jej zamykają oczy; przyjaciele bez przyjaźni, mimo wszystkich uczuć, które często budzi ich czar i których serce ich, często dobre, mogłoby kosztować; ale czy można nazwać *przyjaźnią* stosunki wegetujące jedynie dzięki kłamstwu; stosunki, w których pierwszy ufny i szczery wylew sprawiłby, że by ich odtrącono ze wstrętem, chyba że mają do czynienia z umysłem bezstronnym, nawet współczującym, ale który wówczas, zmylony w danym przedmiocie konwencjonalną psychologią, z wyznanego błędu wywiedzie przywiązanie najbardziej błędowi temu obce, tak jak niektórzy sędziowie łatwiej przyjmują i usprawiedliwiają morderstwo u zbrojców, a zdradę u Żydów, z motywów zaczerpniętych z grzechu pierwotnego i z fatalności rasy. Kochankowie – przynajmniej wedle mojej pierwotnie naszkicowanej teorii, która, jak się to

okaże, zmieni się w przyszłości, a w której najbardziej by ich to zmartwiło, gdyby ta sprzeczność nie była skryta ich oczom siłą tego samego złudzenia, które im dawało widzieć i żyć – kochankowie, dla których jest niemal zamknięta możliwość tej miłości, dającej im przez swoje nadzieje siłę zniesienia tylu niebezpieczeństw i takiego osamotnienia, gdyż szaleją właśnie za mężczyzną nie mającym nic z kobiety, za mężczyzną nie będącym zboczeńcem i tym samym niezdolnym ich kochać; tak iż pragnienie ich byłoby na zawsze nieugaszone, gdyby pieniądze nie wydawały im na łup prawdziwych mężczyzn i gdyby wyobraźnia nie ukazywała im prawdziwych mężczyzn w zboczeńcach, z którymi się prostytuują. Honor mają jedynie z łaski, wolność – prowizoryczną aż do odkrycia zbrodni; sytuację – chwiejną, jak ów poeta wczoraj fetowany w salonach, okłaskiwany we wszystkich teatrach Londynu, nazajutrz wypędzony ze wszystkich oberży, nie mający gdzie głowy skłonić, obracający żarna jak Samson i mówiący jak on:

Dwie płcie umrą, każda po swojej stronie;

wyzuci nawet – z wyjątkiem dni wielkiej niedoli, kiedy ciżba skupia się koło ofiary jak Żydzi koło Dreyfusa – z sympatii, czasem z towarzystwa podobnych sobie, budzą w nich wstręt przez to, że im ukazują to, czym tamci są; są dla nich lustrem, co, nie pochlebiając im już, zdradza wszystkie skazy, których nie chcieli zauważyć u siebie, i przekonuje

ich, że to, co nazywali swoją miłością (i z czym, igrając ze słowami, skojarzyli przez zmysł socjalny wszystko to, co poezja, malarstwo, muzyka, rycerstwo, ascetyzm mogły przydać miłości), wypływa nie z obranego przez nich ideału piękności, ale z nieuleczalnej choroby. I – znów jak owi Żydzi (z wyjątkiem niektórych, chcących obcować jedynie z ludźmi swojej rasy, mających w ustach zawsze rytualne słowa i uświęcone żarciki) – stronią jedni od drugich, szukając tych, którzy są ich największym przeciwieństwem, którzy ich nie chcą; i wybaczają im objawy wstrętu, upajając się ich uprzejmością; ale tak samo jak Żydzi złączeni z podobnymi sobie przez ostracyzm, jaki ich wspólnie dotyka, przez hańbę, w jaką popadli, nabierają w końcu, od prześladowań podobnych prześladowaniu Izraela, fizycznych i moralnych cech rasy. Czasami piękni, często ohydni znajdują (mimo wszystkich drwin, jakimi osobnik bardziej mieszany, lepiej zasymilowany z przeciwną rasą i na pozór mniej stosunkowo zboczony, obsypuje większego zboczeńca) w towarzystwie podobnych sobie wytchnienie, a nawet oparcie własnej egzystencji; tak iż, przecząc, aby byli rasą (której nazwa jest największą zniewagą), demaskują chętnie tych, co zdołali ukryć, że do niej należą, nie tylko aby im szkodzić (co również zresztą się zdarza), ile by wytłumaczyć samych siebie; szukają – jak lekarz zapalenia wyrostka robaczkowego – inwersji nawet w historii, z lubością przypominając – jak Izraelici mówią o Jezusie – że Sokrates był jednym z nich, nie pamiętając, że nie było zboczeńców wówczas, gdy homoseksualizm był

normą – jak nie było antychrześcijan przed Chrystusem – że jedynie hańba tworzy zbrodnię, ponieważ dała przetrwać tylko tym, co byli oporni na wszelkie upomnienia, na wszelki przykład, na wszelką karę, na skutek wrodzonego usposobienia tak specjalnego, że budzi w innych ludziach (mimo że mogą się z nim łączyć wysokie przymioty moralne) większy wstręt niż niektóre przywary najbardziej sprzeczne z moralnością, jak kradzież, okrucieństwo, zła wiara – przywary lepiej rozumiane, zatem łatwiej usprawiedliwione przez ogół. Ci ludzie stanowią masonerię rozleglejszą, skuteczniejszą i mniej podejrzaną niż loże masońskie, bo opiera się na tożsamości gustów, potrzeb, nawyków, niebezpieczeństw, wtajemniczenia, wiedzy, frymarki, słownictwa; masonerię, w której nawet ci jej członkowie, którzy nie chcą się znać wzajem, natychmiast się poznają po naturalnych lub umownych, mimowolnych lub celowych znakach, odsłaniających żebrakowi pobratymca w wielkim panu, któremu ów zamyka drzwiczki od karety, ojcu w narzeczonym córki, pacjentowi, penitentowi, klientowi w lekarzu, w księdzu, w adwokacie; wszyscy zmuszeni chronić swój sekret, ale uczestniczący w sekrecie drugich, którego reszta ludzkości nie podejrzewa. Dla tych ludzi najnieprawdopodobniejsze romanse stają się prawdą, bo w tym romantycznym, anachronicznym życiu ambasador jest przyjacielem zbrodniarza, książę – z ową swobodą manier, którą daje arystokratyczne wychowanie, a której nie miałby drobnomieszczanin – wychodząc od księżnej, idzie na schadzkę z apaszem. Jest to część społeczności ludzkiej

potępiona, ale część ważna, podejrzana tam, gdzie jej nie ma, rozsiadająca się zuchwale i bezkarnie tam, gdzie jej nie odgadują; licząca adeptów wszędzie, wśród ludu, w armii, w świątyni, na galerach, na tronie; żyjąca wreszcie – przynajmniej jej największa część – w przymilnej i niebezpiecznej czułości z ludźmi innej rasy, wyzywająca ich, igrająca z nimi mówiąc o zboczeniu, tak jakby ono nie było ich udziałem: gra, którą ułatwiło zaślepienie lub fałsz tamtych, gra, która może się przeciągać przez lata, aż do dnia skandalu, który pożera tych pogromców. Aż do tej pory zmuszeni są ukrywać swoje życie, odwracać spojrzenia od tego, na czym chcieliby je zatrzymać, zatrzymywać je na tym, od czego chcieliby je odwrócić; muszą zmieniać rodzaj przymiotników w swoim słownictwie. Ten przymus socjalny lekki jest w porównaniu z wewnętrznym przymusem, jaki zboczenie – lub to, co się niewłaściwie tak nazywa – nakłada im już nie w stosunku do innych, ale w stosunku do nich samych, i tak, aby im samym nie wydawało się zboczeniem. Ale niektórzy, praktyczniejsi, bardziej spieszący się, nie mający czasu sami wychodzić na targ ani wyrzec się uproszczeń życia oraz tej oszczędności czasu, jaką może dać kooperacja, stworzyli sobie dwa towarzystwa, z których drugie składa się całkowicie z istot im podobnych.

Uderza to u tych, którzy są biedni i przybywają z prowincji, bez stosunków, z jedyną ambicją, aby zostać kiedyś jeden sławnym lekarzem, inny adwokatem, jeszcze bez przekonań, bez manier, których spodziewają się szybko nabyć, tak jak do swego

pokoiku w Quartier Latin kupują meble wedle tego, co zauważą i przejmą u tych, co się już „wybili” w jakimś pożytecznym i poważnym zawodzie, w którym oni pragnęliby zająć zaszczytne miejsce. U tych ów specjalny pociąg, odziedziczony bez ich wiedzy, jak talent do rysunku, do muzyki, jak ślepotą, jest może jedyną żywotną i despotyczną oryginalnością, która pewnego wieczora każe im poświęcić jakieś pożyteczne dla ich kariery zebranie w towarzystwie ludzi, od których poza tym przejmują sposób mówienia, myślenia, ubierania się, czesania. W swojej dzielnicy, gdzie odwiedzają jedynie kolegów, nauczycieli lub jakiegoś wpływowego i życzliwego krajana, szybko odkryli innych młodych ludzi, których ten sam specjalny gust zbliża do nich, tak jak w małym miasteczku zbliża się z sobą nauczyciel i rejent, obaj zamiłowani w muzyce kameralnej lub kolekcjonujący średniowieczną kość słoniową; w przedmiot swojej rozrywki wkładając ten sam zmysł utylitarny, tego ducha zawodowego, jakiego przestrzegają w swojej karierze, spotykają ich na zebraniach, gdzie tak samo nie dopuszcza się żadnego profana, jak na wspólnych zebraniach amatorów starych tabakierek, japońskich sztychów, rzadkich kwiatów, gdzie przyjemność kształcenia się, pożytek wymiany i obawa współzawodnictwa rodzi, jak na giełdzie marek pocztowych, zarazem solidarność specjalistów i dzikie rywalizacje kolekcjonerów. Nikt zresztą w kawiarni, gdzie oni mają swój stolik, nie wie, co to jest za zebranie; czy to jest towarzystwo rybołówców, dziennikarzy lub „dzieci

Indre”, tak bardzo zachowanie ich jest poprawne, wzięcie wstrzemięźliwe i chłodne, tak dalece nie śmieją się przyglądać inaczej niż ukradkiem młodym elegantom, młodym „lwom”, którzy o kilka kroków dalej szumnie paradują ze swymi damulkami. I ci, co ich podziwiają nie śmiejąc podnieść oczu, dowiedzą się aż w dwadzieścia lat później, kiedy jedni będą na progu Akademii, a drudzy starymi klubowcami, że najbardziej uroczy wśród tamtych, obecnie gruby i szpakowaty Charlus, był w istocie podobny do nich, ale gdzie indziej, w innym świecie, pod innymi godłami, z obcymi ich cechami, których odmienność wprowadziła ich w błąd. Takie ugrupowania bywają mniej lub więcej zaawansowane; i jak Unia Lewicy różni się od Federacji Socjalistycznej, a jakieś stowarzyszenie muzyczne mendelsonistów od Schola Cantorum, tak w pewne wieczory, przy innym stoliku, znajdują się ekstremiści, u których błysnie na chwilę spod mankietu bransoletka, czasem naszyjnik spod kołnierza koszuli, którzy swoimi natrętnymi spojrzeniami, swoim gruchaniem, piskami, śmieszkami, pieśczołkami wypłaszają gromadkę uczniów. Tych obsługuje garson z grzecznością, pod którą czai się oburzenie; ten sam garson, który w pewne wieczory, kiedy obsługuje dreyfusistów, z przyjemnością wezwałby policji, gdyby mniej cenił satysfakcję zgarniania napiwków.

Tym organizacjom zawodowym smak przeciwstawia gusty samotników; dość naturalnie zresztą, gdyż naśladuje w tym właśnie owych samotników, którzy sądzą, że nic bardziej

się nie różni od zorganizowanego zboczenia niż to, co się im samym wydaje niezrozumianą miłością; i co prawda też z pewną sztucznością, bo te rozmaite klasy, tak jak odpowiadają różnym typom fizjologicznym, tak też odpowiadają kolejnym momentom ewolucji patologicznej lub tylko socjalnej. I rzadkie w istocie jest, aby – prędzej lub później – samotnicy nie roztopili się w końcu w takich organizacjach, czasem przez proste znużenie, dla wygody (jak ci, co będąc długo największymi tego przeciwnikami, zakładają w końcu u siebie telefon, przyjmują państwa Iéna lub zaopatrują się u Potina). Są tam zresztą raczej źle widziani, bo w ich życiu stosunkowo czystym brak doświadczenia, przerost wyobraźni, na którą są skazani, silniej wycisnęły w nich swoiste cechy zniewieściałości, które zawodowcy starali się zatrzeć. I trzeba przyznać, że u wielu z tych adeptów kobieta nie tylko wewnętrznie kojarzy się z mężczyzną, ale jest wstrętnie widoczna u tych ludzi wstrząsanych histerycznym spazmem ostrego śmiechu, który skręca im ręce i kolana, u tych osobników nie więcej już podobnych do ogółu ludzi niż owe małpy z podkrążonymi i melancholijnymi oczami, z chwytnymi nogami, ubrane w smoking i czarną krawatkę; tak iż mniej czystszy od nich uważają tych nowych adeptów za kompromitujące i niechętnie tolerowane towarzystwo; przyjmuje się ich wszelako i wówczas korzystają z owych ułatwień, za pomocą których handel, wielkie przedsiębiorstwa przeobraziły życie jednostek, udostępniły produkty dotąd zbyt luksusowe, a nawet trudne do dostania,

i teraz zalewają ich nadmiarem tego, czego oni sami nie zdołaliby odkryć i w największym tłumie. Ale, nawet przy tych niezliczonych ułatwieniach, ucisk społeczny jest jeszcze zbyt ciężki dla niektórych, zwłaszcza tych, co nie wyzwolili się jeszcze z ucisku duchowego i wciąż uważają swój rodzaj miłości za rzadszy, niż jest. Zostawmy na chwilę tych, którym wyjątkowy charakter ich skłonności każe spoglądać z góry na kobiety, gardzić nimi i którzy czynią z homoseksualizmu przywilej wielkich geniuszów i wspaniałych epok. Ci, kiedy się starają nawracać na swój gust, zwracają się, przez żarliwość apostołstwa, tak jak inni głoszą syjonizm, integralny pacyfizm, saintsimonizm, wegetarianizm i anarchię, nie tyle do tych, którzy im się wydają predysponowani – jak czyni morfinoman z morfiną – ile do tych, którzy się im wydają godni. Niektórzy, kiedy ich zająć rano jeszcze w łóżku, ukazują cudowną głowę kobiecą – tak dalece wyraz twarzy jest wspólny i symbolizuje całą płć: potwierdzają to nawet ich włosy, zwoje ich są tak kobiece, pukle spadają tak naturalnie na policzki, że podziwiamy, iż młoda kobieta, młoda dziewczyna, Galatea ledwo budząca się w nieświadomości ciała męczyzny, w którym jest zamknięta, mogła tak genialnie, sama z siebie, nie nauczywszy się od nikogo, skorzystać z najmniejszych szczelin swego więzienia, znaleźć to, co jej było potrzebne do życia. Bez wątpienia, młody człowiek z tą uroczą głową nie mówi: „Jestem kobietą”. Nawet jeżeli – z tylu możebnych przyczyn – żyje z kobietą, może się zaprzeć własnej kobiecości,

może przysiąc, że nigdy nie miał nic z mężczyznami. Ale niech go kobieta ujrzy takim, jakim myśmy go pokazali, w łóżku, w pidżamie, z nagimi ramionami, z nagą szyją w fali ciemnych włosów. Pidżama zmieniała się w stanik kobiecy, głowa w główkę ładnej Hiszpanki. Kochankę przerażają te zwierzenia uczynione jej oczom, prawdziwsze, niżby mogły być słowa, a nawet czyny; zwierzenia, których zresztą czyny – jeżeli tego nie uczyniły dotąd – nie omieszkają potwierdzić, bo wszelka istota bieży za swoją rozkoszą, a jeżeli ta istota nie jest zbyt skażona, szuka jej w płci przeciwnej sobie. A dla zboczeńca zboczenie zaczyna się nie wtedy, kiedy nawiązuje stosunki z kobietami (zbyt wiele przyczyn może mu to nakazywać), ale wtedy, kiedy doznaje z nimi rozkoszy. Młody człowiek, któregośmy tu próbowali odmalować, był tak oczywiście kobietą, że kobiety, które spoglądały nań pożądliwie, były skazane (poza wypadkiem jakichś specjalnych skłonności) na to samo rozczarowanie co te, które w komediach Szekspira są zwiedzione przez przebraną młodą dziewczynę, podającą się za młodzieńca. Tu oszukaństwo jest podobne i sam zboczeniec wie o tym, zgaduje zawód, jakiego po zdjęciu kostiumu dozna kobieta; czuje, jakim źródłem poetyckiej fantazji jest to płciowe *qui pro quo*. Nic to również, że nawet swojej wymagającej kochance (o ile ona nie jest gomorejką) nie wyzna: „Jestem kobietą”; pomimo to, z jakimiż chytrściami, z jaką zwinnością, z jaką wytrwałością pnącej się rośliny owa nieświadoma, a oczywista kobieta szuka organu męskiego! Wystarczy spojrzeć na te

włosy w puklach na białej poduszce, aby zrozumieć, że jeżeli wieczorem ten młody człowiek wymknie się rodzicom, wbrew nim, wbrew sobie, to nie po to, aby spieszyć do kobiet. Kochanka może go karcić, zamykać; nazajutrz mężczyzna-kobieta znajdzie sposób uczepienia się mężczyzny, jak powój zaczepia swoje wąsy tam, gdzie znajdzie łopatę lub grabie. Czemu podziwiając w twarzy tego osobnika subtelności, które nas wzruszają, naturalną słodycz obcą mężczyznom, czemu mielibyśmy rozpaczać, dowiadując się, że ten młody człowiek szuka towarzystwa bokserów? To są różne fizjognomie tej samej rzeczywistości. I nawet ta fizjognomia, która nas odpycha, jest najbardziej wzruszająca, bardziej niż wszystkie delikatności, bo przedstawia cudowny, nieświadomy wysiłek natury: poznanie płci przez nią samą; mimo oszukaństw płci objawia się skryte dążenie, aby się wymknąć ku temu, co początkowy błąd społeczeństwa od niej oddalił. Jedni – ci, co mieli dzieciństwo z pewnością najbardziej nieśmiałe – prawie nie troszczą się o materialny gatunek otrzymywanej rozkoszy, byleby ją mogli skojarzyć z męską twarzą. Inni znowuż, o zmysłach niewątpliwie gorętszych, zdecydowanie lokalizują swoją fizyczną rozkosz. Ci zgorszyliby może swoimi wyznaniami przeciętny ogół. Żyją może mniej wyłącznie pod znakiem Saturna, bo dla nich kobiety nie są całkowicie wykluczone jak dla tych, dla których nie istniałyby one poza konwersacją, kokieterią, miłością cerebralną. Drudzy za to poszukują kobiet lubiących kobiety; one mogą im dostarczyć młodego człowieka, mogą wzbogacić przyjemność,

jaką oni znajdują w jego towarzystwie; co więcej, mogą na ten sam sposób znaleźć u kobiety tę samą rozkosz co u mężczyzny. Stąd pochodzi, że ci, co kochają owych pierwszych, zazdrośni są jedynie o przyjemność, jaką ci mogliby znaleźć z mężczyzną; tylko ta przyjemność wydałaby się im zdradą, skoro nie znają miłości kobiet, praktykowali ją tylko ze zwyczaju i po to, aby sobie zabezpieczyć możliwość małżeństwa, przy czym tak dalece nie wyobrażają sobie rozkoszy, jaką może dać kobieta, iż fakt tej rozkoszy kosztowanej przez ich ukochanego nie może im sprawić bólu; drudzy natomiast często budzą zazdrość przez swoje miłostki z kobietami. Bo w swoich z nimi stosunkach grają oni dla kobiety, mającej pociąg do kobiet, rolę kobiety; równocześnie zaś kobieta daje im w przybliżeniu to, co znajdują w mężczyźnie; tak iż zazdrosny przyjaciel cierpi od myśli, że przedmiot jego ukochania sparzony jest z tą, która jest dlań prawie mężczyzną, a zarazem czuje, że przyjaciel niemal mu się wymyka, bo dla tych kobiet ów mężczyzna jest czymś, czego on sam nie zna – rodzajem kobiety.

Nie mówmy również o młodych urwisach, którzy przez jakieś dzieciństwo, aby podrażnić przyjaciół, zgorszyć rodzinę, z osobliwym uporem przybierają strój podobny do sukien kobiecych, różują sobie wargi, podczerniają oczy; pomińmy ich, bo odnajdziemy ich ponoszących zbyt okrutną karę za swoją komedię, całe życie daremnie silących się surowym purytańskim wzięciem naprawić szkodę, jaką sobie wyrządzili, pchani przez tego samego demona, jaki popycha młode kobiety z Faubourg

Saint-Germain do tego, aby żyć w sposób skandaliczny, aby zdeptać wszystkie formy, okryć hańbą rodzinę aż do dnia, w którym wytrwale i bez powodzenia zaczną się wdrapywać na skarpe, z której tak je bawiło schodzić lub raczej skąd schodziły parte jakąś zagadkową siłą.

Zostawmy wreszcie na później tych, co zawarli pakt z Gomorą. Będziemy mówili o nich wówczas, gdy pan de Charlus ich pozna. Zostawmy wszystkich tych, z tego czy owego gatunku, którzy zjawia się kolejno, i, aby skończyć wstępne rozważania, powiedzmy tylko słowo o tych, o których zaczęliśmy mówić przed chwilą – o samotnikach. Ci, uważając swoją przywarę za bardziej wyjątkową, niż jest, żyli samotnie od dnia, gdy ją odkryli, dźwigając ją wprzód dłużej bez świadomości własnej natury, dłużej jedynie niż inni. Bo nikt nie wie od razu, że jest zboczeńcem lub poetą, lub snobem, lub złym człowiekiem. Niejeden ucniak, poznając wiersze miłosne lub oglądając sprośne obrazki, jeżeli się przytula wówczas do kolegi, wyobraża sobie tylko, że się z nim łączy we wspólnym pragnieniu kobiety. Jakim cudem nie uważałby się za podobnego innym, kiedy istotę tego, czego doznaje, odnajduje czytając panią de La Fayette, Racine’a, Baudelaire’a, Walter Scotta – wówczas kiedy jeszcze zbyt mało umie obserwować sam siebie, aby zrozumieć to, co przydaje z własnych zasobów, i aby odgadnąć, iż – o ile uczucie jest to samo – przedmiot jest inny, i że istotą, której pożąda, jest Rob Roy, a nie Diana Vernon? U wielu, przez samoobronę instynktu, wyprzedzającą świadomość inteligencji,

lustro i ściany ich pokrywają się fotografiami aktorek; tacy fabrykują wiersze w rodzaju:

Chloe to moja jedyna,
Najmilsza moja dziewczyna,
Włosy jej jasne jak len,
Jej miłość czarowny sen.

Czy mamy dlatego szukać w zaraniu tych egzystencji skłonności, których nie odnajdziemy w nich później, niby owych pukli blond u dzieci, mających później wyrósć na ciemnych brunetów? Kto wie, czy fotografie kobiet nie są początkiem obłudy, a także początkiem wstrętu do innych zboczeńców?

Ale samotnicy to są właśnie ci, dla których obłuda jest bolesna. Może nawet przykład Żydów, tworzących kolonię odmiennego typu, nie jest dość silny, aby wskazać, jak mało wpływu ma na nich wychowanie i z jaką sztuką umieją wrócić (może nie do czegoś tak po prostu okrutnego jak samobójstwo, do którego wariaci, wbrew wszelkim ostrożnościom, wracają, i gdy ich wyratować z rzeki, trują się, zdobywają rewolwer itd.), ale do życia, którego ludzie innej rasy nie tylko nie rozumieją, nie wyobrażają sobie, którego niezbędnych rozkoszy nienawidzą, ale którego ciągle niebezpieczeństwo i nieustająca hańba przejęłyby ich w dodatku zgrozą. Aby ich odmalować, trzeba może uprzytomnić sobie, jeżeli nie zwierzęta nie dające się obłaskawić, młode lewki rzekomo oswojone, ale pozostające lwami, to bodaj Murzynów, których mierzi wygodne życie

białych i którzy wolą ryzyko dzikiego bytowania i jego niepojęte uciechy.

Kiedy tacy pewnego dnia odkryli, że są niezdolni kłamać drugim i wraz kłamać samym sobie, zagrzebują się na wsi, uciekając przed podobnymi sobie (których uważają za nielicznych) przez wstręt do potworności lub przez obawę pokusy – a przed resztą ludzkości ze wstydu. Nie osiągnąwszy nigdy prawdziwej dojrzałości, popadłszy w melancholię, od czasu do czasu, w jakąś bezkسیężycową niedzielę idą przed siebie aż do skrzyżowania dróg, gdzie, nie porozumiawszy się z nimi ani słowem, czeka na nich przyjaciel z dzieciństwa, mieszkający w sąsiednim dworze. I rozpoczynają swoje dawne igraszki na trawie, w nocy, nie wymieniając ani słowa. W ciągu tygodnia odwiedzają się wzajem, rozmawiają o bądź czym, bez żadnej aluzji do tego, co zaszło, zupełnie tak, jakby się nic nie stało i nie miało się stać nadal; jedynie w stosunkach między nimi istnieje trochę chłodu, ironii, podrażnienia i urazy, czasem nienawiści. Potem bywa, iż sąsiad puszcza się w uciążliwą podróż konno, wspina się na mule na szczyty gór, sypia w śniegu; przyjaciel jego, który utożsamia własną przywarę z wątłością temperamentu, z domatorskim i nieśmiałym życiem, pojmując, iż ta przywara nie zagrzeje już miejsca w wyemancypowanym przyjacielu, o tyle tysięcy metrów nad poziomem morza! I w istocie tamten żeni się. Jednakże ów opuszczony nie odzyskuje zdrowia (mimo wypadków, w których, jak wskażemy, zboczenie jest uleczalne). Co rano sam odbiera w kuchni

świeżą śmietankę z rąk młodego mleczarza, wieczorami zaś, kiedy żądze nazbyt go nękają, zdarza mu się pokazać drogę zabłąkanemu pijakowi, nawet poprawić bluzę biednemu ślepcowi. Bez wątpienia, życie niektórych zboczeńców zmienia się na oko: przywara ich (jak się to mówi) nie zdradza się w ich obyczajach; ale nic nie ginie; ukryty klejnot odnajduje się. (Kiedy ilość moczu u chorego maleje, to znaczy, że się więcej poci, ale wydzielanie musi się odbywać.) Jednego dnia ów homoseksualista traci młodego krewniaka i z jego niepokieszonego bólu zgadujecie, że to w tę miłość, czystą może i bardziej dbałą o zachowanie szacunku niż dążącą do posiadania, przeszły jego pragnienia – w drodze „przelewu”, tak jak w budzecie, nie zmieniając całkowitej sumy, daje się niektórym wydatkom inne przeznaczenie. I jak u owych chorych, u których atak pokrzywki na jakiś czas usuwa zwykłe ich dolegliwości, czysta miłość do młodego krewniaka zastąpiła niejako czasowo u zboczeńca, przez metastazę, nawyki, które prędzej lub później odzyskują miejsce zastępczej i uleczonej choroby.

Wśród tego żonaty sąsiad samotnika wrócił; wobec piękności młodej małżonki oraz czułości, jaką jej okazuje mąż, przyjaciel – w dniu, gdy ich musi zaprosić na obiad – wstydzi się przeszłości. Młoda żona, już w poważnym stanie, musi wrócić wcześniej, zostawiając męża; kiedy nadeszła godzina powrotu, ów prosi przyjaciela, aby go odprowadził kawalek. Nie podejrzewa absolutnie nic, gdy nagle, na skrzyżowaniu

dróg, znajduje się na trawie, bez słowa obalony przez alpinistę, mającego zostać ojcem. I znów zaczynają się schadzki aż do dnia, gdy niedaleko zamieszka kuzyn młodej żony, z którym teraz przechadza się stale mąż. I jeżeli opuszczony przyjaciel zachodzi wieczorem i stara się doń zbliżyć, ów, wściekły, odpycha go, oburzony, iż tamten nie ma na tyle taktu, aby odgadnąć wstret, jaki budzi teraz. Raz jeden zgłasza się jakiś nieznajomy, posłany przez niewiernego sąsiada; ale wzgardzony przyjaciel, zbyt zajęty w danym momencie, nie może przyjąć obcego i dopiero później odgaduje, w jakim celu ów obcy przyszedł.

Wówczas odludek usycha sam. Nie ma innej rozrywki, jak chodzić na stację sąsiedniego kąpieliska, aby prosić o informacje pewnego urzędnika kolejowego. Ale ten dostał awans, przeniesiono go na drugi koniec Francji; samotnik nie będzie mógł już chodzić pytać go o godziny pociągów, o cenę biletu pierwszej klasy; zanim wróci marzyć w swojej wieży, jak Gryzelda, zasiaduje się na plaży, niby jakaś dziwna Andromeda, której nie przyjdzie oswobodzić żaden Argonauta; niby jałowa meduza, która zginie na piasku. Albo tkwi leniwo przed odejściem pociągu na peronie, obejmuje tłum podróżnych spojrzeniem, które osobnikom innej rasy wyda się obojętne, wzgardliwe lub roztargnione, ale które niby świetlny blask, jakim się stroją pewne owady, aby zwabić owady tego samego gatunku, lub jak nektar produkowany przez pewne kwiaty, by ściągnąć owady mające je zapłodnić, nie oszukałoby niepodobnego niemal do znalezienia amatora zbyt specjalnej, zbyt trudnej do

ulokowania rozkoszy, którą mu proponują; kolegi po fachu, z którym nasz specjalista mógłby mówić rzadkim językiem; co najwyżej jakiś włóczęga na ulicy uda, że się nim interesuje, ale tylko dla materialnej korzyści jak ci, co w Collège de France, w sali, gdzie profesor sanskrytu wyklada w próżnię, zachodzą na wykład, ale tylko po to, aby się ogrzać.

Meduza! Orchidea! Kiedym szedł tylko za swoim instynktem, meduza brzydziła mnie w Balbec; ale kiedym umiał na nią spojrzeć jak Michelet z punktu nauk przyrodniczych i estetyki, widziałem rozkoszny lazurowy żyrandol. Czyż one nie są, z tym przezroczystym aksamitem swoich płatków, niby liliowe orchidee morza? Jak tyle istot zwierzęcego i roślinnego królestwa, jak roślina, która produkowałaby wanilię, ale która, dlatego że organ męski oddzielony jest w niej cienką ścianką od organu żeńskiego, pozostaje jałowa (o ile kolibry lub pewne pszczołki nie przeniosą pyłku z jednego kwiatu na drugi lub o ile człowiek nie zapłodni ich sztucznie), tak pan de Charlus (a tutaj słowo „zapłodnienie” trzeba brać w sensie moralnym, skoro w sensie fizycznym połączenie samca z samcem jest jałowe; ale nie jest obojętne, aby dany osobnik mógł znaleźć jedyną rozkosz, do jakiej kosztowania jest zdolny, i aby „na tym padole” wszelka istota mogła użyć komuś „swojej melodii, swego płomienia lub swego zapachu”), pan de Charlus był z owych mężczyzn, których można nazywać wyjątkowymi, ponieważ, choćby byli bardzo liczni, zadowolenie ich potrzeb płciowych – tak łatwe u innych ludzi – zależy

od zbiegu zbyt wielu i zbyt trudnych do spotkania warunków. Dla ludzi takich jak pan de Charlus – z uwzględnieniem kompromisów, które okażą się stopniowo i które już można było przeczuć, kompromisów narzucanych przez potrzebę rozkoszy godzącą się na połowiczne przyzwolenie – miłość wzajemna, do trudności tak wielkich, czasem niezwyciężonych, z jakimi się spotyka u ogółu istot, przydaje trudności tak specjalne, że to, co jest zawsze bardzo rzadkie dla wszystkich, staje się u tych ludzi prawie niemożliwe; jeżeli zaś się im zdarzy spotkanie naprawdę szczęśliwe lub które natura ukaże im jako takie, szczęście ich, o wiele bardziej jeszcze niż szczęście normalnego kochanka, ma coś nadzwyczajnego, wybranego, głęboko koniecznego. Nienawiść Kapuletów i Montekich była niczym wobec wszelkiego rodzaju przeszkód, jakie trzeba było zwyciężyć, specjalnych eliminacji, jakim natura musiała poddać dość już niezwykle przypadki sprowadzające miłość, zanim eks-krawiec, wybierający się cnotliwie do biura, zachwiał się, olśniony, wobec otyłego pięćdziesięciolatka; taki Romeo i taka Julia słusznie mogą mniemać, że ich miłość nie jest kaprysem chwili, ale prawdziwym przeznaczeniem przygotowanym przez harmonię ich natur, nie tylko ich własnych, ale także natur ich przodków, przez najodleglejsze dziedziczności, tak że istota, która się parzy z nimi, należy do nich przed urodzeniem, ściągnęła ich siłą podobną sile poruszającej światy, w których spędziliśmy poprzednie nasze żywoty.

Pan de Charlus oderwał mnie od śledzenia, czy bąk

przyniósł orchidei pyłek, którego oczekiwała od tak dawna, a który miała szanse uzyskać jedynie dzięki przypadkowi tak nieprawdopodobnemu, że można by go nazwać rodzajem cudu. Ale to, czego byłem świadkiem, to także był cud, sprawiony przez tego samego niemal geniusza i nie mniej cudowny. Z chwilą gdym spojrzał na owo spotkanie z tego punktu widzenia, wszystko mi się w nim wydawało nasycone pięknem. Natura wymyśliła najniezwyklesze chytrości, aby zmusić owady do zapładniania kwiatów, które bez nich byłoby niemożliwe, gdyż kwiat męski zbyt jest odległy od żeńskiego; jeśli to wiatr ma zapewnić przeniesienie pyłku, natura czyni ów pyłek o wiele łatwiejszym do odczepienia od męskiego kwiatu, o wiele łatwiejszym do pochwycenia w locie przez kwiat żeński; natura usuwa wydzielanie nektaru (zbyteczne, kiedy już nie potrzeba wabić owadów), a nawet blask płatków, które je nęcą; aby zachować kwiat dla właściwego pyłku, zdolnego wydać owoc jedynie z nim, każe mu wydzielać ciecz uodporniającą go na inne pyłki; ale wszystko to wydało mi się nie bardziej cudowne niż istnienie grupy zboczeńców przeznaczonej dla rozkoszy starzejącego się zboczeńca; mężczyzn, których przyciągają nie wszyscy mężczyźni, ale – przez fenomen zgodności i harmonii, dający się porównać z tym, który reguluje zapłodnienie u kwiatów o szyjkach trójdzielnych jak *Lythrum salicaria* – jedynie mężczyźni o wiele starsi od nich. Przykładem tej grupy stał się dla mnie Jupien; przykładem zresztą mniej zdumiewającym

od innych, które wszelki herborysta ludzki, wszelki botanik moralny zdoła zaobserwować mimo ich rzadkości, a których im nastręczy wiotki efeb, wyczekujący zalotów krzepkiego i otyłego pięćdziesięciolatka, równie obojętny na zaloty innych młodych ludzi, jak jałowymi pozostają obupłciowe krótkoszyjkowe kwiaty *Primula veris*, dopóki je zapładniają jedynie inne *Primula veris* również krótkoszyjkowe, podczas gdy z radością przyjmują pyłek *Primula veris* o długiej szyjce.

Co do samego pana de Charlus zdałem sobie sprawę w dalszym ciągu, że dla niego istnieją rozmaite rodzaje skojarzenia. Niektóre przez swoją mnogość, przez swoją ledwie widoczną błyskawiczność, a zwłaszcza przez brak styczności pomiędzy dwoma uczestnikami bardziej jeszcze przypominały owe kwiaty zapłodnione gdzieś w ogrodzie przez pyłek sąsiedniego kwiatu, którego nie dotkną nigdy. Były w istocie niektóre istoty, które wystarczyło mu ściągnąć do siebie, trzymać je przez kilka godzin pod władzą swojego słowa, iżby jego pragnienie, obudzone jakimś spotkaniem, uśmierzyło się. Za pomocą prostych słów sparzenie dokonywało się równie po prostu, jak się może spełniać u wymoczków. Czasami, jak mu się to z pewnością zdarzyło ze mną owego wieczoru, kiedy mnie wezwał do siebie po obiedzie u państwa de Guermantes, zaspokojenie nastąpiło dzięki gwałtownemu wybuchowi, jakim baron bryznął w twarz swego gościa, jak niektóre kwiaty, dzięki specjalnej sprężynce, skraplają na odległość owada, czyniąc go nieświadomie swoim zdumionym partnerem. Pan de Charlus,

z owładniętego stawszy się władcą uwalniał się od swego wyruszenia i, uspokojony, odprawiał gościa, który natychmiast przestał mu być pożądanym. Wreszcie sama inwersja, ponieważ pochodzi stąd, że zboczenie zbyt podobny jest do kobiety, aby z nią mógł wejść w skuteczne stosunki, wiąże się przez to z najwyższym prawem, sprawiającym, że tyle obupłciowych kwiatów pozostaje nie zapłodnionych – to znaczy z jałowością samozapłodnienia. Prawda, iż zboczeńcy poszukujący samca zadowalają się często zboczeńcem równie zniewieściałym jak oni. Ale wystarczy, że nie należą do płci żeńskiej, której oni mają w sobie bezpożytecznego embriona, co się zdarza tylu obupłciowym kwiatom, a nawet niektórym obupłciowym zwierzętom – jak na przykład ślimak – które nie mogą zapłodnić się same, ale mogą być zapłodnione przez innych obojnaków. Przez to pederasty, którzy się radzi powołują na starożytny Wschód lub na złoty wiek Grecji, sięgaliby dalej jeszcze, owych próbnich epok, gdy nie istniały ani kwiaty rozdzielнопłciowe, ani zwierzęta jedнопłciowe, do tego pierwotnego obojactwa, którego ślad zdają się przechowywać szczątki męskich organów w budowie kobiety, a żeńskich w budowie mężczyzny.

Mimika Jupiena i pana de Charlus, zrazu dla mnie niezrozumiała, wydała mi się równie ciekawa jak owe kuszące gesty zwracane do owadów, wedle Darwina, nie tylko przez kwiaty tak zwane złożone, wznoszące obrzeżne kwiaty swoich główek, iżby były widzialne z dalsza, jak pewien kwiat różnoszyjkowy, który odchyła pręciki i zgina je, aby utorować

drogę owadom, lub który ofiarowuje im kąpiel; po prostu do zapachów nektaru, do blasku płatków ściągających w tej chwili owady w dziedziniec.

Począwszy od tego dnia pan de Charlus miał zmienić godzinę swoich wizyt u pani de Villeparisis; nie dlatego, aby nie mógł wygodniej widywać Jupiena gdzie indziej, ale ponieważ dla niego – jak i dla mnie – popołudniowe słońce i kwiaty wiązały się z pewnością z jego wspomnieniem. Zresztą baron nie ograniczył się do tego, że polecił Jupienów pani de Villeparisis, księżnej de Guermantes, całej świetnej klienteli, która popędziła skwapliwie do młodej hafciarki, zwłaszcza iż damy, które się opierały lub bodaj ociągały, stały się przedmiotem straszliwych represji barona bądź dla przykładu, bądź że obudziły wściekłość pana de Charlus, przeciwstawiając się jego żądzy panowania. Baron uczynił posadę Jupiena coraz bardziej lukratywną, aż go wziął ostatecznie za sekretarza i stworzył mu byt w warunkach, które poznamy później.

– Ha! ha! Ten ci ma szczęście, ten Jupien – mówiła Franciszka, zawsze skłonna pomniejszać lub przeceniać dobrodziejstwa wedle tego, czy tyczyły jej samej, czy innych. Zresztą nie potrzebowała tutaj przesady ani nie czuła zazdrości, bo Franciszka szczerze lubiła Jupiena. – Ha! To taki dobry człowiek ten baron – dodawała – taki grzeczny, taki nabożny, taki przyzwoity. Gdybym miała córkę do wzięcia i gdybym była z bogaczy, dałabym ją baronowi z zamkniętymi oczami.

– Ale, Franciszko – mówiła łagodnie matka – dużo mężów

miałaby ta córka. Pamiętaj, że już ją przyrzekłaś Jupienowi.

– A! To także człowiek, który dałby szczęście kobiecie. Tak, tak, choć są na świecie bogacze i biedacy, to nie zmienia natury w człowieku. Baron i Jupien to ten sam rodzaj ludzi.

Zresztą, w obliczu owego pierwszego odkrycia, bardzo wówczas przesadziłem indywidualny charakter tak dobranego sparzenia. Zapewne, każdy z mężczyzn podobnych panu de Charlus jest istotą nadzwyczajną, skoro, o ile nie robi ustępstw wymaganiom życia, szuka zasadniczo miłości mężczyzny z innej rasy, to znaczy mężczyzny lubiącego kobiety (i który tym samym nie będzie go mógł pokochać); wbrew temu, co sądziłem w dziedzińcu, kiedyś widział Jupiena kręcącego się koło pana de Charlus na kształt orchidei robiącej awanse bąkowi, owych wyjątkowych istot, nad którymi się ubolewa, jest mnóstwo, jak się okaże w ciągu tego dzieła, z racji, którą odsłonimy aż na końcu. Oni sami skarżą się raczej na nadmiar niż na niedostatek podobnych sobie. Bo dwaj aniołowie, których umieszczono u bram Sodomy dla sprawdzenia, czy mieszkańcy – powiada Genesis – w pełni uczynili wszystkie te rzeczy, których krzyk wzbił się aż do Przedwiecznego, byli, z czego się tylko można ucieszyć, bardzo źle wybrani przez Pana, który powinien był to zadanie powierzyć jedynie sodomicie. Ten by nie opuścił płomiennego miecza ani nie złagodził kary wobec wymówki: „Jestem ojcem sześciorga dzieci, mam dwie kochanki” itd., ale odpowiedziałyby na to: „Tak, ale żona twoja cierpi męki zazdrości. Ale nawet jeżeli tych kobiet nie wybrałeś w Gomorze,

spędzasz nocę z pastuchem z Hebronu”. I zawróciłby go natychmiast do miasta, które miał zniszczyć deszczem ognia i siarki. Przeciwnie, pozwolono uciec wszystkim wstydliwym sodomitom, nawet gdy na widok młodego chłopca odwracali głowę jak żona Lota, nie zmieniając się dlatego w słup soli. Tak iż mieli liczne potomstwo, w którym ten gest pozostał nałogowy, podobny do gestu rozwiązłych kobiet, które – udając, że patrzą na buciki wystawione za szybą – zerkają w stronę jakiegoś studenta. Ci potomkowie sodomitów – tak liczni, że można do nich zastosować inny werset Księgi Rodzaju: „Jeżeli ktoś potrafi zliczyć proch ziem, i potrafi też zliczyć to potomstwo” – osiedlili się po całej ziemi, weszli do wszystkich zawodów i wcisnęli się tak skutecznie do najbardziej zamkniętych klubów, że – kiedy sodomitę zbalotują – czarne gałki pochodzą przeważnie od sodomitów, ale takich, co gorliwie potępiają sodomie, jako że odziedziczyli kłamstwo, które pozwoliło ich przodkom opuścić to przekłete miasto. Możliwe jest, że wrócą do niego kiedyś. To fakt, że tworzą we wszystkich krajach trącącą Wschodem kolonię – kulturalną, muzykalną, plotkarską – mającą urocze przymioty i nieznośne wady. Poznamy ich nieco głębiej w dalszych kartach tego dzieła, ale chcieliśmy prowizorycznie uprzedzić opłakany błąd, który polegałby na tym, aby, tak samo jak wzniecono ruch syjonistyczny, stworzyć ruch sodomicki i odbudować Sodomę. Otóż, zaledwie tam przybywszy, sodomici opuściliby miasto, aby nie uchodzić za jego mieszkańców, poženiliby się, trzymaliby sobie kochanki w innych miastach, gdzie by zresztą znaleźli

wszystkie pożądane rozrywki. Udawaliby się do Sodomy jedynie w dniach ostatecznej konieczności, kiedy ich miasto byłoby puste, w owych czasach, kiedy głód wypędza wilki z boru, to znaczy, że wszystko działałoby się w rezultacie tak, jak się dzieje w Londynie, w Berlinie, w Rzymie, w Petersburgu lub w Paryżu.

W każdym razie, tego dnia, przed swoją wizytą u księżnej, nie patrzyłem tak daleko i byłem w rozpacz, że, pochłonięty sparzeniem się Jupiena z Charlusem, straciłem może widok zapłodnienia kwiatu przez bąka.

Część druga, tom pierwszy

Rozdział pierwszy

Charlus w towarzystwie. – Lekarz. – Fizjognomia pani de Vaugoubert. – Pani d'Arapajon, wodotrysk Huberta Robert i wesołość Wielkiego księcia Włodzimierza. – Pani d'Amoncourt, de Citri, pani de Saint-Euverte, etc. Ciekawa rozmowa Swanna z księciem Gilbertem. – Albertyna przy telefonie. Wizyty przed moim drugim i ostatnim pobytem w Balbec. – Przybycie do Balbec. – Wahania serca.

Ponieważ nie było mi pilno na wieczór u księstwa Gilbertów, zwłaszcza przy niepewności czy jestem proszony, stałem beczynn timer na dworze; ale letni dzień, tak samo jak i ja, nie kwapił się ruszyć z miejsca. Mimo iż było już po dziewiątej, wciąż jeszcze dawał luksorskiemu obeliskowi na placu Zgody odcień różowego nugatu. Potem zmienił jego barwę, przeobrażając go w jakiś metal, tak że obelisk stał się nietylko cenniejszy, ale wydawał się jakby smuklejszy i prawie giętki. Miało się wrażenie, że możnaby go skrócić w ręku, że już może lekko wygięto to cacko. Księżyc wyglądał teraz na niebie niby ćwiartka pomarańczy, delikatnie obranej, mimo że trochę napoczętej. Ale niebawem miał się zmienić w najtwardsze złoto. Przycupnięta za nim, biedna mała gwiazdka służyła za jedyną

towarzyszkę samotnej Lunie, gdy ta, osłaniając przyjaciółkę ale śmieiej sunąc naprzód, wznosiła jak nieodpartą broń, jak wschodni symbol, swój duży i cudowny złoty sierp.

Przed pałacem księżnej Marii de Guermantes spotkałem księcia de Châtellerault; nie pamiętałem już, że pół godziny temu prześladowała mnie obawa – mająca mnie zresztą niebawem znów ogarnąć – że przychodzę nie zaproszony. Człowiek niepokoi się, i często w długi czas po niebezpieczeństwie, zapomnianem dzięki roztargnieniu, przypomina sobie swój niepokój. Przywitałem się z młodym księciem i wszedłem do pałacu. Ale tutaj trzeba mi zanotować drobną okoliczność, pozwalającą zrozumieć fakt, który opiszę niebawem.

Był ktoś, kto tego wieczora (jak i poprzednich dni) dużo myślał o księciu de Châtellerault, nie domyślając się zresztą kim jest. Człowiekiem tym był szwajcar (nazywało się go w owej epoce „l'aboyeur”) księżnej Gilbertowej. Pan de Châtellerault, nie należący do najbliższych księżnej Marii – mimo że zresztą jej kuzyn – miał być w jej salonie pierwszy raz. Rodzice jego, poróżnieni od lat dziesięciu z księżną, pogodzili się z nią od dwóch tygodni, a nie mogąc tego wieczora być w Paryżu, polecili synowi aby ich reprezentował. Otóż, na kilka dni przedtem, kamerdyner księżnej Marii spotkał na Polach Elizejskich młodego człowieka, który go oczarował, ale którego tożsamości nie zdołał ustalić. Młody człowiek okazał się równie miły jak hojny; wszystkie fawory, których kamerdyner gotował się użyzyć tak młodemu paniczowi, przypadły, wręcz

przeciwnie, w udziale jemu samemu. Ale pan de Châtellerault był równie płochliwy jak nieostrożny; nie miał żadnej ochoty zdradzać swego incognito, nie wiedząc z kim ma do czynienia; a gdyby wiedział, strach jego – mimo że nieuzasadniony – byłby jeszcze o wiele większy! Udawał tedy poprostu Anglika, i na wszystkie namiętne pytania famulusa, pragnącego kiedyś odnaleźć człowieka, któremu zawdzięczał tyle rozkoszy i darów, książę powtarzał jedynie przez całą avenue Gabriel: – *I do not speak french.*

Jakkolwiek, mimo wszystko – z powodu macierzystych parantel kuzyna – książę Błazej udawał, że znajduje w salonie księżnej Guermantes Bavière coś ze stylu „Courvoisier”, szacowano powszechnie inicjatywę i inteligencję tej damy wedle pewnej inowacji, której nie spotykało się nigdzie indziej w tej sferze. Po obiedzie mianowicie, jakiegokolwiek miały być rozmiary wieczornego rautu, ustawiano u księżnej Marii krzesła w ten sposób, że powstawały małe grupki gości, często odwróconych do siebie plecami. Księżna dawała wówczas wyraz swojej inwencji towarzyskiej, przysiadając się, niby to specjalnie, do którejś z takich grup, dokąd nie lękała się zresztą ściągnąć kogoś z innej grupy. Zwróciwszy naprzykład uwagę pana Detaille – z jego oczywistą aprobatą – na ładną szyję pani de Villemur, siedzącej w innem kółku i odwróconej plecami, księżna nie wahała się rzec głośno: „Pani de Villemur, pan Detaille, wielki malarz, podziwia właśnie pani szyję”. Pani de Villemur pojmowała to jako zaproszenie do rozmowy; ze zręcznością

wytrawnej amazonki obracała zwolna krzesło o trzy czwarte koła i nie deranżując sąsiadów siadała prawie wprost twarzą do księżnej. „Pani nie zna pana Detaille?” pytała pani domu, której nie wystarczało zręczne i dyskretne wciągnięcie gościa do rozmowy. „Nie znam jego samego, ale znam jego dzieła” – odpowiadała pani de Villemur tonem pełnym szacunku i zachęty, równocześnie, z przytomnością umysłu, którą wielu podziwiała, zwracając niedostrzegalny ukłon w stronę sławnego malarza (mimo iż zainterpelowanie go przez księżnę nie mogło uchodzić za formalną prezentację).

– Niech pan przejdzie do nas, panie Detaille, przedstawię pana pani de Villemur.

Wówczas dama ta rozwijała tyle inwencji w zrobieniu miejsca autorowi *Marzenia*, ile jej okazała przed chwilą w tem aby się zwrócić do niego. I księżna przysuwała sobie krzesło; w istocie zagadnęła panią de Villemur jedynie poto, aby mieć pretekst opuszczenia pierwszej grupy, (spędziwszy w niej przepisowe dziesięć minut) i aby przyznać ten sam okres czasu drugiej grupie. W trzy kwadranse zaszczyciła wszystkie grupy swoją wizytą, za każdym razem jakby wynikłą ot tak, niespodzianie, z upodobań księżnej, ale zwłaszcza mającą uwydatnić swobodę, z jaką wielka dama umie przyjmować.

Ale teraz goście wieczorni zaczęli napływać i pani domu usiadła niedaleko wejścia – wyprostowana i dumna, w majestacie niemal królewskim, z oczami płonącymi własnym żarem – między dwiema brzydkimi księżniczkami krwi i ambasadorową

hiszpańską.

Stałem w ogonku za kilkoma osobami przybyłymi przedemną; miałem naprost siebie księżnę Marję. Nie sama tylko jej piękność – wśród tylu piękności – utrwaliła mi wspomnienie tej fety. Ale twarz pani domu była tak doskonała, była niby piękny medal, tak iż zachowała dla mnie wartość jakby pamiątkową. Księżna miała zwyczaj mówić do osób, które spotkała na kilka dni przed swoim rautem: „Przyjdzie pan (albo pani), prawda?” tak jakby pragnęła porozmawiać z nimi. Ale ponieważ, przeciwnie, nie miała im nic do powiedzenia, przeto, z chwilą gdy się pojawili przed nią, przerywała jedynie na chwilę, nie wstając, błahą rozmowę z dwiema księżniczkami krwi i z ambasadorową i dziękowała, mówiąc: „To bardzo ładnie z pana (pani) strony”... Nie aby uważała, że gość, przychodząc, dał dowód uprzejmości, ale aby podkreślić własną uprzejmość; poczem, ciskając go z powrotem w rzekę, dodawała zaraz: „Zastanie pan księcia Gilberta u wejścia do ogrodu”, tak że gość szedł zwiedzać i zostawiał ją w spokoju. Niektórym nawet nie mówiła nic, pokazując im poprostu – swoje cudowne onyksowe oczy, tak jakby się przyszło jedynie na wystawę drogich kamieni.

Najbliższą osobą, mającą wejść tuż przedemną, był książę de Châtellerault.

Zmuszony odpowiadać na wszystkie uśmiechy, na wszystkie skinienia dłoni, które płynęły ku niemu z salonu, młody książę nie zauważył kamerdynera; ale ten poznał go odrazu. Za chwilę miał usłyszeć nazwisko, które tak pragnął poznać. Pytając

przedwczorajszego „Anglika” jak go ma oznajmić, lokaj był nietylko wzruszony, ale czuł się niedyskretny, niedelikatny. Miał wrażenie, że zdradzi całemu światu (nie domyślającemu się absolutnie niczego) sekret, który ośmiela się oto podchwycić i ogłosić publicznie. Słyszając odpowiedź gościa: „Książę de Châtellerault”, uczuł przypływ takiej dumy, że na chwilę oniemiał. Książę spojrzał nań, poznał, uczuł się zgubiony, podczas gdy kamerdyner, który opamiętał się a znał na tyle herbarz aby sam z siebie dopełnić zbyt skromne nazwanie, ryczał z zawodową energją, łagodząc ją puszką sekretnej tklivości: „Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę de Châtellerault!”

Ale teraz przyszła kolej na mnie. Pograżony w kontemplacji pani domu, która mnie jeszcze nie spostrzegła, nie pomyślałem o strasznych dla mnie – mimo że na inny sposób niż dla pana de Châtellerault – funkcjach tego kamerdynera, ubranego czarno jak kat, otoczonego zgrają lokajów w najkolorowszych liberjach, tęgich chwatów gotowych chwycić intruza i wyrzucić go za drzwi. Kamerdyner spytał mnie o nazwisko; wymienilem je równie machinalnie jak skazany na śmierć daje się przywiązać do pieńka. Podniósł natychmiast majestatycznie głowę i zanim mogłem go prosić aby mnie oznajmił niezbyt głośno – celem oszczędzenia mojej miłości własnej w razie gdybym nie był zaproszony, oraz miłości własnej księżnej Gilbertowej w razie gdybym nim był – wyryczał niepokojące zgłoski z siłą zdolną wstrząsnąć sklepieniem pałacu.

Znakomity Huxley (ten, którego bratanek zajmuje obecnie

wybitne stanowisko w literaturze angielskiej) opowiada, że jedna z jego pacjentek bała się zjawić w towarzystwie, bo często w fotelu, który jej wskazywano uprzejmym gestem, widziała siedzącego starszego pana. Była zupełnie pewna, że bądź uprzejmy gest, bądź obecność starszego pana są halucynacją, bo nie wskazanoby jej przecie fotela już zajętego! I kiedy, pragnąc ją wyleczyć, Huxley zmusił ją aby poszła na jakieś przyjęcie, miała chwilę przykrego wahania, zadając sobie pytanie czy uprzejmy gest, jakim jej wskazywano krzesło, jest rzeczą realną, lub też czy, ulegając swemu urojeniu, siądzie publicznie na kolanach bardzo realnego jegomościa. Ta chwila niepewności była dla niej czemś bardzo okrutnem; ale moja niepewność była może jeszcze dotkliwsza. Z chwilą gdy usłyszał grzmot swego nazwiska, niby wróżbę możliwego kataklizmu, musiałem (aby stwierdzić bodaj swoją dobrą wiarę, i tak jakby mnie nie dręczyła żadna wątpliwość) posunąć się ze zdecydowaną miną do pani domu.

Spostrzegła mnie, kiedy byłem o kilka kroków, i – co mi już nie zostawiło żadnej wątpliwości iż padłem ofiarą intrygi – zamiast siedzieć w miejscu jak dla innych gości, wstała i podeszła do mnie. W sekundę później, mogłem wydać westchnienie ulgi, niby pacjentka Huxleya, kiedy, zdecydowawszy się usiąść w fotelu, przekonała się że jest wolny i zrozumiała że to starszy pan był halunacją. Księżna wyciągnęła do mnie rękę z uśmiechem. Stała przez chwilę z wdziękiem właściwym stancy Malherbe’a, która się kończy tak:

I ażeby ich uczcić, aniołowie wstają.

Przeprosiła mnie, że księżnej Oriany jeszcze nie ma, tak jakbym ja się musiał nudzić bez niej. Aby się ze mną przywitać, wykonała dokoła mnie, trzymając mnie za rękę, pełen gracji obrót, w którego wir uczułem się porwany. Spodziewałem się niemal, że mi wręczy w tej chwili, niby danserka prowadząca kotyliona, laseczkę z rączką z kości słoniowej lub zegarek z bransoletką. Ale nie dała mi nic, i tak jakby zamiast tańczyć bostona, słuchała raczej przenajświętszego kwartetu Beethovena, bojąc się zmącić jego podniosłe akcenty, urwała rozmowę – lub raczej nie zaczęła jej – i jeszcze rozpromieniona moim widokiem, uprzedziła mnie jedynie, gdzie się znajduje książę Gilbert.

Oddaliłem się od księżnej i nie śmiałem się już zbliżyć, czując że mi nie ma absolutnie nic do powiedzenia i że, w ogromie swojej dobrej woli, ta cudownie wyniosła i piękna kobieta, szlachetna szlachetnością owych wielkich dam, co tak dumnie niegdyś wstępowały na szafot, mogłaby tylko – nie śmiać mi ofiarować szklanki lemoniady – powtórzyć to, co mi już powiedziała dwa razy: „Zastanie pan księcia w ogrodzie”. Otóż, iść przywitać księcia Gilberta, znaczyło dla mnie czuć odradzające się pod inną formą niedawne obawy.

W każdym razie, trzeba było znaleźć kogoś, ktoby mnie przedstawił. Słysząc było – górującą nad wszystkimi

rozmowami – nieustającą paplaninę pana de Charlus, rozmawiającego z J. E. księciem Sidonia, którego baron poznał przed chwilą. Wspólne zawody odgadują się, wspólne wady także. Pan de Charlus i pan de Sidonia z punktu zwęszyli wzajem swoją wspólną wadę, potrzebę nieustającego monologu – przyczem żaden z nich nie cierpiał najmniejszego przerywania. Osądziwszy natychmiast, że – jak powiada słynny sonet – zło jest bez ratunku, postanowili obaj nie milczeć ale mówić, nie troszcząc się o to co może powiedzieć drugi. To spowodowało ów charakterystyczny zgiełk, podobnie jak w komedjach Moliera, gdy kilka osób mówi równocześnie, a każda co innego. Dzięki swemu donośnemu organowi, baron był zresztą pewny, że przygłuszy i pokryje wąły głos pana de Sidonia; ale nie zdołał zniechęcić swego partnera, bo gdy p. de Charlus chwytął na chwilę oddech, wypełniał przerwę szmer granda hiszpańskiego, który niezmaczenie mówił dalej. Byłbym chętnie poprosił pana de Charlus, aby mnie przedstawił księciu Gilbertowi, ale bałem się aż nazbyt słusznie, że baron gniewa się na mnie. Zachowałem się najniewdzięczniej w świecie, pozostając drugi raz głuchy na jego propozycje i nie dając znaku życia od owego wieczoru, kiedy mnie tak serdecznie odwiózł do domu. A przecież scena między Jupienem a baronem, którą widziałem tegoż popołudnia, nie mogła mi służyć wstecz za wymówkę. Nie podejrzewałem nic podobnego. Prawda iż niedawno, kiedy rodzice wyrzucali mi lenistwo i to żem sobie nie zadał jeszcze trudu napisania słówka do pana de Charlus, wypomniałem im gwałtownie,

iz chcą, abym przyjął hańbiące propozycje. Ale jedynie gniew, chęć znalezienia zwrotu najprzykrzejszego dla rodziców, podyktowały mi tę kłamliwą odpowiedź. W rzeczywistości nie wyobrażałem sobie nic zmysłowego ani nawet sentymentalnego w propozycjach barona. Rzuciłem to rodzicom jako czysty absurd. Ale czasami przyszłość mieszka w nas bez naszej wiedzy i słowa nasze, myśląc że kłamia, kreślą bliską rzeczywistość.

P. de Charlus byłby mi prawdopodobnie wybaczył brak wdzięczności. Ale moja obecność u księżnej Marji – jak od pewnego czasu moje wizyty u jej kuzynki – przyprawiała go o wściekłość; zdawała się urągać uroczystemu oświadczeniu barona: „Nikt nie dostanie się do tych salonów bez mojej woli”. Popeliłem poważny błąd, zbrodnię może nie do darowania, nie trzymając się uświęconej drogi. P. de Charlus wiedział, że gromy, jakie miotał na tych, co się nie uginali pod jego rozkazami lub mieli nieszczęście obudzić jego nienawiść, zaczynały tracić siłę; zdaniem wielu osób, zmieniały się, mimo wściekłości jaką w to baron wkładał, w gromy teatralne, nie zdolne już wypędzić kogokolwiek skądkolwiek. Ale może sądził, iż jego władza – uszczuplona, ale jeszcze wielka – zachowała swoją moc w oczach nowicjuszków takich jak ja. Toteż nie uważałem za bezpieczne prosić barona o przysługę na tem zebraniu, gdzie sama moja obecność mogła się wydać ironicznym zaprzeczeniem jego pretensyj.

Zatrzymał mnie w tej chwili człowiek dość pospolity, profesor E... Zdziwił się, że mnie spotyka u Guermantów. Ja zdziwiłem

się jeszcze bardziej, bo nigdy nie widziano dotąd – i nie ujrzano później – u księżnej Marji figur tego rodzaju. Profesor wyleczył niedawno księcia Gilberta, już opatrzonego Sakramentami, z infekcyjnego zapalenia płuc; szczerą wdzięczność księżnej Marji sprawiła, że przełamano zwyczaj i zaproszono lekarza. Ponieważ nie znał absolutnie nikogo w tych salonach a nie mógł krążyć bez końca samotnie niby poseł śmierci, poznawszy mnie, uczuł – po raz pierwszy w życiu – że ma mi niezliczoną ilość rzeczy do powiedzenia, co mu pozwalało nabrać kontenansu. To była jedna z przyczyn, dla których zbliżył się do mnie. Była również i inna. Profesor miał tę ambicję, że się nigdy nie myli w diagnozie. Otóż skorowidz jego klienteli był tak obfity, że nie zawsze przypominał sobie dokładnie (jeśli tylko raz widział chorego), czy choroba poszła tą drogą, jaką on jej wyznaczył. Czytelnik pamięta może, że w chwili ataku babki, zaprowadziłem ją do profesora T... owego wieczora, kiedy sobie kazał przyszywać tyle orderów. Po tak długim czasie nie przypominał już sobie zawiadomienia o śmierci, które mu posłano.

– Szanowna babcia pańska umarła zapewne? – rzekł głosem, w którym zupełna niemal pewność pokrywała lekką obawę. – A! W istocie! Zresztą, od pierwszej minuty kiedy ją ujrzałem, prognoza moja była najzupełniej ujemna, przypominam sobie doskonale.

W ten sposób, profesor E... dowiedział się lub przypomniał sobie o śmierci babki, i muszę to rzec na jego chwałę – zarazem

na pochwałę całego ciała lekarskiego – dowiadując się o tem nie zdradził satysfakcji, nie odczuł jej może. Błędy lekarzy są niezliczone. Grzeszą oni zazwyczaj optymizmem co do terapii, pesymizmem co do wyniku. „Wino? w umiarkowanej ilości nie może zaszkodzić; ostatecznie to jest środek tonizujący... Kobiety? Ostatecznie, to jest funkcja organizmu. Pozwalam panu... bez nadużyć, rozumie pan. Nadmiar jest we wszystkim szkodliwy”. I odrazu cóż za pokusa dla chorego, odstąpić od tych dwóch źródeł zdrowia – wody i czystości. W zamian za to, jeżeli chory ma coś w sercu, białko, etc. – oho! nie pociągnie długo. Z zaburzeń poważnych ale funkcjonalnych lekarz chętnie wnosi o nieistniejącym raku. Daremne byłoby odwiedzać chorego, skoro wizyty lekarza nie zdołałyby powściągnąć nieubłaganej choroby. I kiedy chory, pozostawiony samemu sobie, nałoży sobie surowy tryb życia i wyleczy się lub bodaj przetrwa, lekarz, spotkawszy go na *avenue de l'Opéra*, kiedy sądził że on od dawna spoczywa na *Père Lachaise*, dojrzy w ukłonie byłego pacjenta gest drwiącego zuchwalstwa. Wyobraźmy sobie oburzenie prezesa sądu karnego, który dwa lata temu wydał na bandytę wyrok śmierci, a obecnie spotyka go spacerującego najspokojniej! Lekarze (nie mówię tu oczywiście o wszystkich i nie zapominam o wspaniałych wyjątkach) są przeważnie bardziej zirytowani, bardziej podrażnieni naruszeniem ich werdyktu, niż radzi z jego spełnienia. Co tłumaczy, że profesor E..., mimo całego zadowolenia intelektualnego jakie musiał odczuć że się nie omylił, zdołał jednak mówić ze smutkiem

o nieszczęściu które nas spotkało. Nie starał się skrócić rozmowy, która mu dawała punkt oparcia, rację pozostania dłużej w salonie. Mówił o upałach, jakie panowały w tych dniach, ale mimo że czytany i umiejący się dobrze wysławiać, rzekł: „Czy pan nie cierpi od tej hipertermji?” Bo medycyna zrobiła od czasu Moliera pewne postępy w wiedzy, ale żadnego w słownictwie. Doktor dodał:

– Trzeba zwłaszcza unikać sudacji, którą podobny czas powoduje, zwłaszcza w przegrzanych salonach. Może pan temu przeciwdziałać, kiedy pan wróci do domu i będzie pan miał ochotę pić, zapomocą ciepła (co oznaczało oczywiście gorące napoje).

W związku z chorobą na którą umarła babka, przedmiot ten interesował mnie; przeczytałem niedawno w dziele wielkiego uczonego, że pocenie się działa szkodliwie na nerki, usuwając przez skórę materje, które powinnyby się wydzielać inną drogą. Ubolewałem nad kanikularnym czasem, w który umarła babka i dość byłem skłonny przypisywać mu owo nieszczęście. Nie wspomniałem o tem doktorowi E..., ale on rzekł sam z siebie: „Upały powodujące obfite poty, mają tą zaletę, że pocenie się odciąża nerki”. Medycyna nie jest wiedzą ścisłą!

Uczepiwszy się mnie, profesor E... nie miał ochoty mnie opuścić. Ale ja spostrzegłem margrabiego de Vaugoubert: składał właśnie księżnej Marji głębokie ukłony z prawa i lewa, cofnąwszy się uprzednio o krok. P. de Norpois zapoznał mnie z nim niedawno; miałem tedy nadzieję, że znalazł kogoś,

kto mnie będzie mógł przedstawić panu domu. Rozmiary tego dzieła nie pozwalają mi wytłumaczyć, naskutek jakich wydarzeń młodości p. de Vaugoubert, jeden z niewielu ludzi „z towarzystwa” (może jedyny), był – jak się to nazywa w Sodomie – „w konfidencji” z panem de Charlus. Ale jeżeli nasz ambasador przy królu Teodozjuszu miał pewne wspólne przywary z baronem, były one jedynie czemś w rodzaju bardzo bladego odbicia. Owe kolejne ataki sympatji i nienawiści, w jakie wprawiała barona chęć oczarowania, a potem obawa – równie urojona – że będzie jeżeli nie shańbiony, to bodaj odkryty, przybierały u p. de Vaugoubert formę nieskończenie łagodniejszą, sentymentalną i głupią. Vaugoubert zdradzał te same wahania, ale były one raczej śmieszne wskutek jego czystości, „platonizmu” (dla którego, będąc nader ambitny, od czasów uniwersyteckich poświęcił wszelką przyjemność), a zwłaszcza wskutek jego nicości umysłowej. Ale gdy baron wybuchał przesadnymi pochwałami z prawdziwym przepychem wymowy i zaprawiał je subtelnem i gryzącem szyderstwem, zdolnem napiętnować na zawsze jego ofiarę, u pana de Vaugoubert sympatja wyrażała się przeciwnie z banalnością człowieka miernego, światowca i urzędnika, a pretensje (zwykle całkowicie urojone, jak u barona) objawiały się nieżyczliwością stałą ale wyzutą z dowcipu i tem bardziej rażącą, że była zazwyczaj w sprzeczności z tem co ambasador mówił pół roku wprzód i co miał może znów mówić za jakiś czas: ta regularność w zmienności dawała rozmaitym fazom życia pana

de Vaugoubert poezję niemal astronomiczną, mimo że pozatem najmniej przypominał gwiazdę.

Ukłon, jaki mi oddał p. de Vaugoubert, nie miał nic wspólnego z przypuszczalnym ukłonem pana de Charlus. W powitanie to, p. de Vaugoubert, prócz tysiąca mizdrzeń w jego mniemaniu wielkoświatowych i dyplomatycznych, wkładał jakąś dziarskość, lekkość, uśmiech, tak aby się wydawał z jednej strony zadowolony z życia – wówczas gdy przeżuwał zawody kariery bez przyszłości, pod grozą spensjonowania – z drugiej młody, męski i uroczy. W rzeczywistości nie śmiał już nawet oglądać w lustrze zmarszczek gromadzących się na twarzy, którą pragnąłby zachować pełną pokus! Nie iżby łaknął faktycznych zdobyczy, o których sama myśl przerażała go z przyczyny plotek, skandalów, szantażów. Przeszedłszy od infantylnej niemal rozpusty do bezwarunkowej wstrzemięźliwości, datującej od dnia gdy zamarzył o *quai d'Orsay* i o wielkiej karierze dyplomatycznej, ambasador ów miał minę zwierzęcia w klatce, rzucającego na wszystkie strony spojrzenia pełne strachu, żądz i otępienia. Pod wpływem tego otępienia ambasador nie zastanawiał się, iż urwisy z czasu jego młodości nie są już smarkaczami, i kiedy gazeciarz krzyczał mu w nos: *La Presse!* p. de Vaugoubert drżał nietyle z żądz, ile z przerażenia że go poznano i odkryto.

Ale, w braku rozkoszy, poświęconych niewdzięcznemu *quai d'Orsay*, p. de Vaugoubert miał nagłe porywy serca – i dlatego pragnąłby się jeszcze podobać. Bóg wie, iloma

listami zameczał ministerstwo, co za chytryści rozwijał, jak wprawiał w ruch stosunki swojej żony (którą, dla jej korpulencji, dla jej wysokiego urodzenia, męskiego wyglądu, a zwłaszcza z przyczyny mierności jej męża, uważano za osobę wybitnie uzdolnioną, za istotnego ambasadora), aby wprowadzić, bez żadnej godziwej przyczyny, jakiegoś młodego człowieka – kompletne zero – do personelu poselstwa. Prawda że w kilka miesięcy lub w kilka lat potem, wystarczało aby niewydarzony attaché, bez cienia złej intencji, okazał nieco chłodu swemu szefowi, a już ten, uważając to za wzgardę lub za zdradę, wkładał tę samą histeryczną żarliwość w ukaranie młodzieńca, z jaką wprzód starał się go obdarzyć. Poruszał ziemię i niebo aby odwołano młodego człowieka; wiceminister otrzymywał codzień list: „Kiedyż mnie wreszcie uwolnicie od tego ciemiegi! Dajcie mu trochę szkoły w jego własnym interesie. Potrzebuje twardej ręki”. Stanowisko attaché przy królu Teodozjuszu było z tego powodu niezbyt przyjemne. Ale we wszystkim innym, dzięki światowemu wyrobieniu, p. de Vaugoubert był jednym z najlepszych przedstawicieli rządu francuskiego zagranicą. Kiedy człowiek rzekomo bardzo zdolny, jakobin i wszechstronnie wykształcony, zastąpił go później, rychło wybuchła wojna między Francją a zaprzyjaźnioną monarchią.

P. de Vaugoubert, jak p. de Charlus, nie lubił witać pierwszy. Obaj woleli odpowiadać na ukłon, bojąc się zawsze plotek, jakie ten, do którego inaczej byliby wyciągnęli rękę, mógł o nich słyszeć od ostatniego widzenia się. Co

się mnie tyczy, p. de Vaugoubert nie potrzebował sobie zadawać tego pytania; podszedłem pierwszy, choćby dla różnicy wieku. Odkłonił mi się oczarowany, uszczęśliwiony; oczy jego biegały tak, jakby z każdej strony znajdowała się zabroniona koniczyna. Pomyślałem, że wypadaloby poprosić ambasadora, aby mnie przedstawił pani de Vaugoubert, zanim go poproszę o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi. Myśl przedstawienia mnie żonie przyjął z widoczną radością; ucieszył się tem dla siebie i dla niej i powiódł mnie zdecydowanym krokiem do margrabiny. Znalazłszy się przed nią i wskazując mnie dłonią i oczyma ze wszystkimi oznakami poważania, stał mimo to niemy; po chwili oddalił się zostawiając mnie z żoną. Dama podała mi rękę, nie wiedząc jednak kogo zaszczyca tą uprzejmością; odgadłem bowiem, że p. de Vaugoubert zapomniał mego nazwiska, może nawet mnie nie poznał, a przez grzeczność, nie chcąc się przyznać do tego, sprowadził akt prezentacji do samych gestów. Toteż nie wiele mnie to posunęło naprzód: jak prosić damę, nieznającą mego nazwiska, o przedstawienie mnie panu domu! Co więcej, trzeba mi było rozmawiać chwilę z panią de Vaugoubert, co mnie męczyło z dwojakiego względu. Nie miałem ochoty zasiadywać się na tej zabawie, bo umówiłem się z Albertyną (dałem jej łożę na *Fedre*), że przyjdzie do mnie nieco przed dwunastą. Zapewne, nie byłem wcale zakochany w Albertynie; sprowadzając ją tego wieczora, kierowałem się czysto zmysłowym pragnieniem, mimo że było to w skwarnej porze roku, kiedy wyzwołona zmysłowość

chętniej nawiedza organy smaku, szukając przede wszystkim chłodu. Bardziej niż pocałunku młodej dziewczyny, pragnie oranżady, kąpieli, oglądania wreszcie tego obranego ze skórki i soczystego księżycy, gaszącego pragnienie nieba. Bądź co bądź, spodziewałem się przy boku Albertyny – która zresztą przypominała mi chłód fal – wyzbyć się żalów, jakie mi niechybnie zostawi krąg tych uroczych twarzy, bo raut księżnej Marji był przyjęciem zarówno dla panien jak dla mężatek. Z drugiej strony, burbońska i chmurna twarz imponującej pani de Vaugoubert nie miała nic powabnego.

Mówiono mi w ministerstwie, bez cienia dwuznacznej intencji, że w tem małżeństwie mąż nosi spódnicę a żona spodnie. Otóż, było w tem więcej prawdy niż przypuszczano. Pani de Vaugoubert to był mężczyzna. Czy była zawsze taka, czy stała się taką jaką oglądałem, mniejsza; w obu wypadkach miało się do czynienia z jednym z najbardziej wzruszających cudów natury, które – drugi zwłaszcza – upodobniają królestwo ludzkie do królestwa kwiatów. W pierwszej hipotezie – jeżeli przyszła pani de Vaugoubert była zawsze tak ciężko *męska* – natura, przez djaboliczną i zbawienną chytrą, daje młodej dziewczynie zwodny wygląd mężczyzny. I młodzieniec, który stroni od kobiet a chce się uleczyć, z radością bierze narzeczoną, przypominającą mu tragarza. W przeciwnym razie, jeżeli kobieta nie ma zrazu cech męskich, nabiera ich stopniowo, aby się spodobać mężowi, bodaj nieświadomie, przez rodzaj mimetyzmu, sprawiającego, iż pewne kwiaty przybierają pozór

owadów, które chcą ściągnąć. Żal że nie jest kochana, że nie jest mężczyzną, zmezcza ją. Nawet poza wypadkiem który nas tu zaprzęta, któż nie zauważył, że najnormalniejsze stadła stają się w końcu do siebie podobne, czasem nawet wymieniają swoje przymioty. Były kanclerz niemiecki, książę Bülow, ożenił się z Włoszką. Po dłuższym czasie, zauważono na Pincio, ile germański małżonek nabrał włoskiej subtelności, a włoska księżniczka szorstkości niemieckiej. Aby wyciągnąć ostateczne konsekwencje z praw które kreślimy: każdy zna znakomitego francuskiego dyplomate, którego pochodzenie odbijało się jedynie w jego nazwisku, jednym z najznakomitszych na Wschodzie. Dojrzewając, starzejąc się, odkrył w sobie człowieka Wschodu, którego nigdy się w nim nie podejrzewało, tak iż widząc go, żałuje się że nie nosi fezu, któryby go dopełnił.

Ale wróćmy do bardzo nieznanych obyczajów ambasadora, którego naszkicowaliśmy patrjarchalnie ocieżyłą sylwetę. Pani de Vaugoubert wcielała nabyty lub praistniejący typ, którego nieśmiertelnym obrazem jest księżniczka Palatynatu. Ta, zawsze w stroju do konnej jazdy, wzięwszy od męża więcej niż męskość, przejąwszy wady mężczyzn nie lubiących kobiet, denuncjuje w swoich plotkarskich listach stosunki, jakie uprawiają między sobą wszyscy magnaci dworu Ludwika XIV. Jedną z przyczyn, podkreślających jeszcze męskość kobiet takich jak pani de Vaugoubert, jest to, że opuszczenie w jakim je pozostawia mąż, wstyd z tego powodu, niweczą stopniowo wszystko co w nich jest kobiece. Nabierają w końcu przymiotów i wad

będących przeciwstawieniem charakteru męża. W miarę jak on się robi płochy, zniewieściały, niedyskretny, one stają się niby pozbawionym wdzięku obrazem cnót, jakie powinienby mieć małżonek.

Ślady hańby, zgryzot, oburzenia, kaziły regularną twarz pani de Vaugoubert. Niestety, czułem że patrzy na mnie z zainteresowaniem i z ciekawością, jak na jednego z owych młodych ludzi, którzy się tak podobali panu de Vaugoubert i w których takby się pragnęła wcielić sama, teraz kiedy starzejący się małżonek ciągnął ku młodości. Patrzała na mnie z uwagą owych mieszkanek prowincji, które z żurnalu mój kopiują kostjum *tailleur*, tak „twarzowy” dla ładnej pani na rysunku (w istocie jednej i tej samej na wszystkich stronicach, ale rozmnożonej złudnie w wiele osób dzięki obfitości póz i rozmaitości toalet). Organiczny pociąg popychający ku mnie panią de Vaugoubert był tak silny, że ujęła mnie pod ramię, abym ją zaprowadził na szklanek oranzady. Ale uwolniłem się, mówiąc że muszę niedługo iść, a nie przedstawiłem się jeszcze panu domu.

Odległość, dzieląca mnie od wejścia do ogrodu, gdzie książę Gilbert rozmawiał z paroma osobami, nie była zbyt wielka. Ale przejmowała mnie większym strachem, niż gdyby dla jej przebycia trzeba się było wystawić na huraganowy ogień.

Wiele kobiet, które – sądziłem – mogłyby mnie przedstawić, snuło się po ogrodzie, gdzie, udając najwyższy podziw, nie bardzo wiedziały co robić. Zabawy tego rodzaju są zazwyczaj

przyjemnością antycypowaną. Nabierają realności bodaj dopiero nazajutrz, kiedy stają się przedmiotem zainteresowania osób, które nie były zaproszone. Prawdziwy pisarz, wolny od głupiej próżności tylu literatów, jeżeli w artykule krytyka zawsze objawiającego dlań najwyższy podziw, widzi cytowane nazwiska miernych autorów a swego nie, nie ma czasu zastanawiać się nad tem ani się temu dziwić: wzywa go jego praca. Ale kobieta światowa nie ma nic do roboty; toteż czytając w *Figarze*: „Wczoraj księstwo Gilbertostwo de Guermantes wydali wielki wieczór etc.” wykrzykuje: „Jak to! trzy dni temu rozmawiałam godzinę z księżną Marją, i nie powiedziała mi nic!” i łamie sobie głowę dochodząc co ona mogła zrobić Guermantom. Trzeba powiedzieć, że co się tyczyło przyjęć księżnej Marji, zdziwienie zaproszonych było czasem równe zdziwieniu niezaproszonych. Bo te fety wybuchały w chwili gdy się ich najmniej spodziewano, i gromadziły ludzi, o których księżna Marja zapominała przez całe lata. A prawie wszyscy ludzie światowi są tak nieznaczący, że każdy z nich mierzy w swoim sądzie drugich jedynie miarą doznanej uprzejmości; o ile jest zaproszony, kocha ich, o ile jest pominięty, nienawidzi. Co się tyczy pominiętych, jeżeli w istocie zdarzało się księżnej Marji pomijać nawet przyjaciół, płynęło to często z obawy pogniwiania „Palamedy”, który ich wyklął. Toteż mogłem być pewny, że księżna nie wspomniała o mnie panu de Charlus, inaczej nie byłoby mnie tam.

Baron stał teraz u wejścia do ogrodu, obok ambasadora niemieckiego, oparty o poręcz paradnych schodów wiodących

do pałacu, tak że, mimo trzech czy czterech wielbicielek, które się zgrupowały dokoła niego i prawie go zasłaniały, każdy gość musiał podejść aby się z nim przywitać. I słyszało się kolejno: „Dobry wieczór, panie du Hazay; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Verclause; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Gouvernet; jak się masz, Filibert; dobry wieczór, droga ambasadorowo”, etc. Czyniło to ustawiczny szelest, przerywany życzliwymi rekomendacjami lub pytaniami (przyczem baron nie słuchał odpowiedzi), rzucanemi tonem łagodniejszym, sztucznie obojętnym i dobrotliwym: – Niech pani uważa, żeby się córeczka nie przeziębiła, w ogrodzie jest zawsze trochę wilgoci. Dobry wieczór, pani de Brantes. Dobry wieczór, pani de Mecklembourg. Czy córeczka jest z panią? Czy włożyła swoją uroczą różową sukienkę? Jak się masz, Saint-Geran”.

Z pewnością była w tej postawie pycha; p. de Charlus wiedział, że jako Guermantes odgrywa ważną rolę na tej fecie. Ale była w tem nietylko duma; dla człowieka mającego zmysł estetyczny, samo to słowo *feta* nabierało jakiegoś zbytkownego i niezwykłego odcienia, jaki może ona mieć, gdy się odbywa nie u ludzi „z towarzystwa”, ale na obrazie Carpaccia lub Veroneza. Prawdopodobniejsze nawet jest, p. de Charlus, który był i niemieckim księciem, raczej musiał sobie wyobrażać ucztę z *Tannhäusera*, a siebie samego niby margrafa, znajdującego u wrót Wartburga życzliwe i dobre słowo dla każdego z zaproszonych, gdy ich wejście do zamku lub do parku wita długa, sto razy powtórzona fraza słynnego „Marsza”.

Trzeba się było jednak zdecydować. Widziałem wprawdzie pod drzewami kobiety, z którymi byłem dość blisko, ale zdawały się przeobrażone, ponieważ znajdowały się u księżnej Marji a nie u jej kuzynki i ponieważ widziałem je nie przed talerzem z saskiej porcelany, ale w cieniu kasztana. Elegancja środowiska nie grała w tem roli. Choćby była nieskończenie mniejsza niż u „Oriany”, byłbym tak samo wzruszony. Niech elektryczność zgaśnie w naszym salonie, tak że trzeba ją zastąpić lampą, a wszystko wyda się nam zmienione.

Wyrwała mnie z mojej niepewności pani de Souvré. „Dobry wieczór – rzekła podchodząc do mnie. Czy dawno pan nie widział Oriany?” – Umiała, jak nikt, tego rodzaju słowom dawać intonację, dowodzącą że ich nie wygłasza przez czystą głupotę, jak ludzie którzy, nie wiedząc o czem mówić, zaczepiają was tysiąc razy powołując się na wspólną znajomość, często nader mglistą. Rzuciła mi przeciwnie subtelne i znaczące spojrzenie, które mówiło: „Niech pan nie sądzi, że pana nie poznałam. Pan jest ten młody człowiek, którego widziałam u księżnej Oriany. Poznaję pana doskonale”.

Na nieszczęście, opieka, jaką otaczało mnie to zdanie głupie z pozoru a delikatne w intencji, była nadzwyczaj wątpliwa i rozwiała się natychmiast, skorom z niej chciał skorzystać. Kiedy chodziło o poparcie czyjejs prośby wobec kogoś potężnego, pani de Souvré umiała równocześnie robić wrażenie w oczach petenta że go poleca, a w oczach wysokiej osobistości, że go nie poleca, tak że ten „dwuwykładny” gest otwierał pani de

Souvré kredyt wdzięczności u jednego, w niczem nie obciążając jej konta u drugiego. Jakoż, kiedy, zachęcony uprzejmością damy, poprosiłem ją, aby mnie przedstawiła księciu, skorzystała z chwili kiedy pan domu patrzył w inną stronę, ujęła mnie macierzyńsko za ramiona i uśmiechając się do odwróconej twarzy księcia nie mogącego jej widzieć, pchnęła mnie ku niemu ruchem rzekomo opiekuńczym, rozmyślnie bezskutecznym, zostawiającym mnie w punkcie w którym byłem wprzód. Oto nikczemność ludzi ze „świata”.

Nikczemność innej damy, która podeszła ku mnie aby się przywitać nazywając mnie po imieniu, była jeszcze większa. Mówiąc z nią, siliłem się przypomnieć sobie jej nazwisko: pamiętałem że gdzieś jadłem z nią obiad, pamiętałem jej odezwania się. Moja uwaga, zwrócona w głąb gdzie mieściły się owe wspomnienia, nie mogła odnaleźć jej nazwiska. Ale było tam. Myśl moja rozpoczęła z niem rodzaj gry, aby pochwycić jego zarysy, literę od której się zaczyna, i aby je oświetlić wkońcu całe. Daremny trud: czułem w przybliżeniu jego masę, ciężar, ale co się tyczy jego form, konfrontując je z mrocznym jeńcem wtulonym we wnętrzną noc, powiadałem sobie: „To nie to”. Niewątpliwie, myśl moja mogłaby stworzyć najtrudniejsze nazwiska. Na nieszczęście, nie miała stworzyć, ale odtworzyć. Wszelka czynność ducha jest łatwa, jeżeli nie jest poddana jarzmu realności. Tu, byłem zmuszony się jej poddać. Wreszcie, nagle zjawilo mi się całe to nazwisko: „pani d’Arpajon”. Niesłusznie mówię że „zjawilo się”, bo nie ukazało

mi się, jak sądzę, samorzutnie. Nie sądzę również, aby błahe i mnogie wspomnienia, odnoszące się do tej damy i wciąż wzywane przeze mnie na pomoc (w zakłęciach tego rodzaju: „No, przecież to jest owa dama zaprzyjaźniona z panią de Souvré i mająca dla Wiktora Hugo uwielbienie tak naiwne, połączone z takim lękiem i zgrozą”), nie sądzę aby wszystkie te wspomnienia bujające między mną a jej nazwiskiem, pomogły w jakiegokolwiek mierze do jego wyłowienia. W tej wielkiej ciuciubabce, jaka się odbywa w naszej pamięci kiedy chcemy odnaleźć jakieś nazwisko, nie ma stopniowań możliwości. Nie widzi się nic, potem nagle ukazuje się dokładne nazwisko, bardzo odmienne od tego cośmy zgadywali. To nie ono przyszło do nas. Nie, sądzę raczej że w miarę jak żyjemy, oddalamy się od strefy, w której jakieś nazwisko jest wyraźne; raczej dzięki ćwiczeniu woli i uwagi, które zwiększyło ostrość wewnętrznego spojrzenia, przeniknąłem nagle półmrok i przewidziałem. W każdym razie, jeżeli istnieją przejścia między zapomnieniem a pamięcią, wówczas owe przejścia są nieświadome. Bo prowizoryczne nazwiska, przez które przechodzimy, zanim znajdziemy prawdziwe, są złudne i nie podobne doń ani trochę. To nie są nawet, ściśle mówiąc, nazwiska, ale często proste spółgłoski, których niema w odnalezionym wreszcie nazwisku. Zresztą ta praca ducha, wiodąca od nicości do realności, jest tak tajemnicza, że ostatecznie możliwe jest, że te fałszywe spółgłoski to są żerdki niezręcznie podane, aby nam pomóc uczepić się prawdziwego nazwiska.

Wszystko to – powie czytelnik – w niczem nie objaśnia nam nieużytości owej damy; ale skoroś się tak długo nad tem rozwiódł, pozwól, panie autorze, zabrać sobie jeszcze minutę czasu, iżbym panu powiedział, że ubolewania godne jest, abyś pan, tak młody (jak pan byłeś, lub jak był pański bohater, o ile on nie jest tobą), już miał tak mało pamięci. Nie móc sobie przypomnieć nazwiska damy, którą pan znał bardzo dobrze! To bardzo przykre, w istocie, panie czytelniku. I smutniejsze niż przypuszczasz, kiedy się w tem czuje zapowiedź czasu gdy nazwiska i imiona znikną z jasnej strefy myśli i kiedy trzeba będzie się wyrzec na zawsze nazwania sobie samemu tych, których się najlepiej znało. To przykre w istocie, aby trzeba było od młodu tyle wysiłku dla odnalezienia nazwiska, które się zna dobrze. Ale gdyby to kalectwo jawiło się jedynie w stosunku do nazwisk ledwie że znajomych, bardzo naturalnie zapomnianych i dla których nie chciałoby się podjąć trudu pamiętania, ułomność ta nie byłaby bez korzyści. „I jakich, proszę?” Takich, proszę pana, że jedynie choroba każe nam spostrzegać i uczyć się i pozwala rozkładać mechanizmy, którychby się bez tego nie poznało. Człowiekowi, który co wieczór pada jak kłoda na łóżko i przestaje żyć do chwili obudzenia się i wstania, czyż przyjdzie kiedy do głowy zrobić, jeżeli nie wielkie odkrycie, to bodaj małe spostrzeżenia dotyczące się snu? Zaledwie wie że śpi. Trochę bezsenności nie jest bezużyteczne dla ocenienia snu, dla rzucenia odrobiny światła w tę noc. Bezzawodna pamięć nie jest zbyt silnym bodźcem do studjowania zjawisk pamięci. „Ostatecznie,

czy pani d'Arpajon przedstawiła pana księciu Gilbertowi?" Nie, ale zamilcz i pozwól mi podjąć opowiadanie.

Pani d'Arpajon była jeszcze małoduszniejsza od pani de Souvré, ale małoduszność jej była bardziej usprawiedliwiona. Wiedziała, że zawsze miała mało wpływów w towarzystwie. Wpływy te osłabił jeszcze jej stosunek z księciem Błażejem, a zerwanie tego stosunku przez księcia zadało im ostatni cios. Zły humor, w jaki ją wprowadziła moja prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi, objawił się u niej milczeniem, którem chciała naiwnie wyrazić, że nie słyszała tego com mówił. Nie czuła nawet, że mimowoli zmarszczyła brwi z gniewu. A może, przeciwnie, czuła, ale nie troszczyła się o tę sprzeczność i posłużyła się nią, aby, bez zbytniej brutalności, dać mi lekcję taktu – niemą, ale przez to tem wymowniejszą.

Zresztą, pani d'Arpajon była bardzo kwaśna; wiele spojrzeń wznosiło się w stronę renesansowego balkonu, w którego rogu, zamiast monumentalnych posągów, jakimi tak często strojono krużganki w owej epoce, pochylała się, nie mniej posągowa niż one, wspaniała księżna de Surgis-le-Duc, ta co zajęła miejsce pani d'Arpajon w sercu Błażeja de Guermantes. Pod lekkim białym tiulem, chroniącym ją od nocnego chłodu, widać było jej gibkie ciało zrywającej się bogini Zwycięstwa.

Jako jedyny ratunek pozostawał mi już tylko pan de Charlus, który przeszedł z powrotem do sali wychodzącej na ogród. Ponieważ baron udawał, że jest zatopiony w rzekomej partji wista, która mu pozwalała nie okazywać że widzi kogokolwiek,

mogłem swobodnie podziwiać świadomą i artystyczną prostotę jego fraka, który, dzięki drobnym szczegółom dostrzegalnym jedynie oku krawca, robił wrażenie czarno-białej „harmoniji” Whistlera; czarno-biało-czerwonej raczej, bo p. de Charlus nosił na szerokiej wstążce, przypięty do fraka, biało-czarno-czerwono emalowany krzyż zakonu maltańskiego.

W tej chwili przerwała baronowi partję pani de Gallardon, prowadząc swego siostrzeńca, wicehrabiego de Courvoisier, ładnego chłopca o impertynenckiej minie.

– Kuzynie – rzekła pani de Gallardon – pozwoli kuzyn, że mu przedstawię mego siostrzeńca Adalberta. Adalbercie, wiesz, to sławny wuj Palamed, o którym tyle słyszałeś.

– Dobry wieczór, pani de Gallardon – odparł Charlus. I dodał, nie patrząc nawet na młodego człowieka: „Witam pana”, z nadętą miną i tonem tak wybitnie niegrzecznym, że wszyscy się zdumieli. Może sądząc, że pani de Gallardon ma wątpliwości co do jego obyczajów i że nie mogła sobie odmówić przyjemności zrobienia do nich aluzji, nie chciał jej dostarczyć materiału uprzejmością dla jej siostrzeńca; może chciał publicznie zamanifestować swoją obojętność dla młodych ludzi; może uważał iż rzeczony Adalbert nie potwierdził słów ciotki miną dostatecznie pełną szacunku; może wreszcie, pragnąc później zawrzeć bliższą znajomość z tak sympatycznym kuzynkiem, baron chciał sobie zapewnić korzyści uprzedniej agresji, jak owi monarchowie, którzy przed wszczęciem akcji dyplomatycznej popierają ją akcją militarną.

To aby p. de Charlus ziścił prośbę o przedstawienie mnie, okazało się mniej trudne niż sądziłem. Z jednej strony, w ciągu dwudziestu lat, ten don Kiszot bił się z tyloma wiatrakami (często byli to krewni, o których twierdził, że się źle zachowali wobec niego), tak często wykluczał kogoś – jako „osobę zupełnie niemożliwą” – z zaproszeń do takich czy innych Guermantów, iż ci zaczęli się obawiać, że się poróżnią ze wszystkimi których lubili, że się wyrzekną do śmierci towarzystwa niektórych „nowych” których byli ciekawi, poto aby się solidaryzować z grzmiącymi ale niezrozumiałymi urazami szwagra czy kuzyna, żądającego aby się dlań wyrzec żony, brata, dzieci. Inteligentniejszy od innych Guermantów, p. de Charlus widział, że jego ostracyzmy uwzględniano ledwie co drugi raz; uprzedzając tedy przyszłość, bojąc się aby pewnego dnia raczej jego się nie wyrzeczono, zaczął uznawać kompromisy, spuszczać – jak się to mówi – z ceny. Co więcej, o ile zdolny był darzyć na miesiące, na lata, trwałem życiem znienawidzoną istotę – której zaproszenia nie dopuściłby za nic i raczej biłby się jak tragarz bodaj z królową (bo dostojęństwo osoby stawiającej mu opór przestawało dlań wchodzić w rachubę), w zamian za to, wybuchy jego gniewu, ponawiane zbyt często, pozostawały tem samem nieco fragmentaryczne. „Idjota, paskudny błazen! przepędzi się go tam gdzie jego miejsce, wymiecie się go do zlewu, co na nieszczęście nie obędzie się bez szkody dla zdrowotności publicznej”, ryczał baron nawet będąc sam w swoim gabinecie, przy lekturze listu, który mu się wydał nie dość pełen

szacunku, lub przypomniawszy sobie jakieś powiedzenie, które mu powtórzono. Ale nowa wściekłość na drugiego „idjotę” rozpraszała poprzednią i byle pierwszy idjota okazał nieco skruchy, najsurowszy sąd o nim szedł w zapomnienie, ile że nie trwał dość długo aby stworzyć grunt pod gmach nienawiści. Toteż – mimo uraz barona do mnie – prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi byłaby może odniosła pomyślny skutek, gdybym nie wpadł na nieszczęśliwy pomysł dodania przez skrupuła (aby mnie baron nie mógł posądzić że tu wszedł na ryzyko, licząc na niego że mi pomoże zostać):

– Pan wie, że ja znam księstwa bardzo dobrze, księżna Marja była dla mnie bardzo uprzejma.

– Ha, w takim razie, jeżeli pan ich zna, naco panu mojej prezentacji – trzasnął odwracając się plecami i podjął swoją fikcyjną partję z nuncjuszem, ambasadorem niemieckim i jakąś figurą, której nie znałem.

Wówczas z głębi tych ogrodów gdzie niegdyś książę d’Aiguillon chował osobliwe zwierzęta, doszedł mnie, przez szeroko rozwarte okno, odgłos jakby węszenia, które wchłaniało ten cały wykwint i nie chciało zeń nic uronić. Odgłos zbliżał się, skierowałem się na los szczęścia w jego kierunku, tak iż słowa „dobry wieczór”, szepnięte mi w ucho przez pana de Bréauté zabrzmiały nie jak żelazisty i wyszczerbiony dźwięk ostrzonego noża a jeszcze mniej jak pomruk warchlaka, niszczyciela uprawnych pól, ale jak głos możliwego wybawcy. Mniej potężny niż pani de Souvré, ale mniej nieużyty, o wiele

swobodniejszy z księciem niż pani d'Arpajon, żywiący może złudzenia co do mojej sytuacji w sferze Guermantów, lub może znający tę sytuację lepiej ode mnie, p. de Bréauté niełatwo był wszelako w pierwszej chwili do ujęcia, bo z drgającymi i rozdętymi nozdrzami zwracał się na wszystkie strony, wybałuszając ciekawie monokl, tak jakby się znajdował wobec pięciuset arcydzieł. Ale usłyszawszy moją prośbę, przyjął ją z zadowoleniem, poprowadził mnie do księcia i przedstawił mnie z łakomą, ceremonialną i wulgarną miną, tak jakby mu podał talerzyk ptifurów, polecając je. O ile wzięcie księcia Błażeja było – kiedy chciał – miłe, koleżeńskie, serdeczne i poufale, o tyle wzięcie księcia Gilberta wydało mi się sztywne, uroczyste, wyniosłe. Ledwie się do mnie uśmiechnął, wygłaszając poważne: „Witam pana”. Słyszałem często, jak książę Błażej dworował sobie ze sztywności kuzyna. Ale po pierwszych słowach księcia Gilberta, które przez swój chłód i powagę tworzyły całkowity kontrast ze słownictwem księcia Błażeja, zrozumiałem natychmiast, iż człowiekiem głęboko lekceważącym jest książę Błażej, który cię traktuje od pierwszej wizyty jak kamrata i że z tych dwóch wielkich panów człowiekiem naprawdę prostym jest Gilbert. Ujrzałem w jego sztywności większe poczucie, nie równości, bo to byłoby u niego nie do pojęcia, ale bodaj szacunku, jaki można przyznać niższemu od siebie, jak się to zdarza we wszystkich środowiskach silnie zhierarchizowanych, w sądownictwie na przykład, albo w łonie Fakultetu, gdzie generalny prokurator lub dziekan, świadomi swojej wysokiej

godności, kryją może w tradycyjnej dumie więcej istotnej prostoty i – skoro się ich pozna bliżej – więcej dobroci, szczerzej naturalności, serdeczności, niż inni, nowocześniejsi od nich, w filuternej komedji filuternego koleżeństwa. „Czy pan zamierza iść drogą swego ojca”, spytał księżę sztywno ale z zainteresowaniem. Odpowiedziałem zwięźle, rozumiejąc że pyta jedynie przez uprzejmość, i oddaliłem się, aby zostawić dostęp nowoprzybyłym.

Ujrzałem Swanna, chciałem z nim mówić, ale w tej chwili spostrzegłem, że księżę Gilbert, zamiast przywitać się poprostu z mężem Odety, natychmiast, z siłą pompy ssącej, wciągnął go w głąb ogrodu, zdaniem niektórych osób poto aby go wyprosić za drzwi.

Mimo iż byłem tak roztargniony, że dopiero na trzeci dzień dowiedziałem się z dzienników, iż czeska orkiestra przygrywała cały wieczór i że co minutę zapalano ognie bengalskie, odnalazłem nieco przytomności na myśl, iż ujrzę słynny wodotrysk Huberta Robert.

Na polance okolonej pięknymi drzewami (niektóre były równie stare jak ten wodotrysk), widać go było zdaleka nieco z boku. Smukły, nieruchomy, stężały, kołysał na wietrze swój lekko opadający, blady i drżący pióropusz. XVIII wiek wysubtelnił wykwint jego linji, ale, utrwalając styl wytrysku, jakgdyby poraził jego życie; na tę odległość miało się raczej wrażenie sztuki niż poczucie wody. Nawet wilgotna mgła, zbierająca się na szczycie, zachowała charakter epoki, jak

chmury gromadzące się na niebie dokoła pałaców Wersalu. Ale z bliska człowiek zdawał sobie sprawę, że, mimo iż szanując pierwotny rysunek niby kamienie starożytnego pałacu, wciąż nowe wody, posłuszne dawnym rozkazom architekta, spełniały te rozkazy dokładnie ale zdając się je gwałcić, ile że dopiero tysiące ich ulotnych płasów mogło dać na odległość wrażenie jednego rzutu. Ten wytrysk był w istocie równie często przerywany jak mgławica opadu, podczas gdy z daleka wydawał się nieugięty, zbity, ciągły, nieprzerwany. Podeszedłszy nieco bliżej, widziało się, że tę ciągłość, na pozór czysto linearną, utrwał, we wszystkich punktach wzbijania się wodotrysku, wszędzie tam gdzie mógłby się on złamać, równoległy słup wody, wznoszący się wyżej od pierwszego, a sam, na większej i już męczącej dlań wysokości, wsparty trzecim. Z bliska, omdlałe krople opadały ze słupa wody, krzyżując się w przelocie ze swemi biegnącymi w górę siostrami; to znów, rozdarłe, porwane w wir powietrza zmaconego tym ciągłym wytryskiem, bujały zanim wpadły do basenu. Swojami wahaniami, pędem w przeciwnym kierunku, hamowały i zacierały miękką parą prostolinijność i prężność tej łodygi, wznoszącej podłużną chmurę utworzoną z tysięcy kropelek, ale na pozór wymalowaną złoconym i niezmiennym bronzem, która wzbijała się niełamliwa, nieruchoma, bystra i chybka, łącząc się z obłokami na niebie. Na nieszczęście, podmuch wiatru wystarczał aby ją strącić na ziemię, czasem nawet nieposłuszny strumień wody odszczepiał się i zmoczyłby do szpiku niebaczną i zapatrzoną ciżbę, gdyby się nie trzymała

w pełnej szacunku odległości.

Jeden z takich drobnych wypadków, zdarzających się prawie tylko wówczas gdy zrywał się wiatr, był dość nieprzyjemny. Mówiono pani d'Arpajon, że książę Błażej – w istocie jeszcze nieobecny – jest z panią de Surgis w różowej marmurowej galerji, dokąd wiodła podwójna kolumnada, wznosząca się od cembrzyny basenu. Otóż, w chwili gdy pani d'Arpajon miała się zapuścić między kolumny, silny podmuch ciepłego wiatru skrzył wodotrysk i skropił tak dokładnie piękną damę, że woda, ściekając przez dekolty pod suknię, zmoczyła ją naksztalt kąpieli. Wówczas, rozległo się przerywane chrząkanie, dość silne aby je mogła słyszeć cała armja, ale przeciągające się chwilami, tak jakby się zwracało nie do całej armji lecz kolejno do każdego oddziału; to Wielki książę Włodzimierz śmiał się z całego serca, widząc prysznic pani d'Arpajon, jedną z najweselszych rzeczy (jak lubił powtarzać później), jakie widział w życiu. Kiedy parę miłosiernych osób zwracało uwagę moskalowi, że słówko współczucia z jego strony byłoby może na miejscu i sprawiłoby przyjemność tej kobiecie, która, mimo swojej dobrej czterdziestki, ocierając się szalem, nie prosząc nikogo o pomoc, ratowała się mimo wody chlapiącej złośliwie cembrzynę basenu, Wielki książę, który miał dobre serce, uznał za właściwe dopełnić tego obowiązku. Jakoż, skoro się uciszyły ostatnie salwy śmiechu, rozległ się nowy wybuch jeszcze gwałtowniejszy od poprzednich: „Brawo, stara!” – wykrzyknął klaszcząc w ręce jak w teatrze. Pani d'Arpajon nie była rada,

że chwalono jej zwinność kosztem jej młodości. I kiedy ktoś, ogłuszony szumem wody, nad którym górował wszelako grzmot Jego Wysokości, rzekł: „Zdaje się, że Jego Wysokość coś mówił do pani? – Nie, to do pani de Souvré” – odparła.

Przebyłem ogród i wróciłem na schody, gdzie nieobecność księcia Gilberta, który znikł ze Swannem, zwiększyła ciżbę gości dokoła pana de Charlus; tak, kiedy Ludwik XIV opuszczał Wersal, więcej osób było u jego brata. Baron zatrzymał mnie w drodze, podczas gdy za mną dwie damy i młody człowiek zbliżali się aby się z nim przywitać.

„Miło mi widzieć pana tutaj”, rzekł podając mi rękę. „Dobry wieczór, pani de la Trémoille, jak się masz, droga Herminjo”. Ale z pewnością wspomnienie tego, co mi powiadała o swojej zwierzchniczej roli w pałacu Guermantes zbudziło w nim, w stosunku do tego co go drażniło ale czemu nie mógł zapobiec, chęć okazania zadowolenia, któremu jego wielkopańska buta i histeryczne podniecenie dały natychmiast formę bezgranicznej ironji: „Miło, ale zwłaszcza zabawnie”. I wstrząsały go wybuchy śmiechu, mające zarazem świadczyć o jego radości i o bezsilności ludzkich słów dla jej oddania.

Tymczasem niektóre osoby, wiedząc jak baron jest nieprzystępny i skłonny do brutalnych wybuchów, zbliżyły się ciekawie, poczem z nieprzyzwoitym prawie pośpiechem brały nogi za pas. – No, niech się pan nie gniewa – rzekł baron, trącąc mnie lekko w ramię – pan wie, że ja pana bardzo lubię. Jak się masz, Antjochu; jak się masz, Louis-René. Czy pan już

widział wodotrysk? – spytał mnie tonem raczej twierdzącym niż pytającym. To bardzo ładne, prawda? Cudowne! Oczywiście, to mogłoby być jeszcze ładniejsze, gdyby usunąć pewne rzeczy; wówczas nie byłoby nic podobnego we Francji. Ale tak jak jest, to już należy do rzeczy najlepszych. Bréauté powie panu, że źle zrobiono wieszając lampiony; tak powie aby zatrzeć ślad że to on wpadł na ten idjotyczny pomysł. Ale, w sumie, zdołał tylko bardzo niewiele zeszpecić. O wiele trudniej jest zniekształcić dzieło sztuki, niż je stworzyć. Domyślaliśmy się już zresztą potrosze, że Bréauté ma mniej talentu od Huberta Robert.

Wsunąłem się w sznur gości, wchodzących do pałacu.

– Czy dawno widział pan moją uroczą Oriane – spytała księżna Marja, która od niedawna opuściła fotel przy wejściu i z którą wracałem do salonów. – Ma przyjść dziś wieczór, widziałam ją zaraz popołudniu – dodała pani domu. – Przyrzekła mi. Zdaje mi się zresztą, że pan je obiad z nami obiema u królowej włoskiej, w ambasadzie, we czwartek. Będą wszystkie możliwe Wysokości, to będzie bardzo onieśmielające.

Nie mogły w każdym razie onieśmielić księżnej Marji, w której salonach roiło się od książąt krwi i która mówiła „moje małe Koburgi”, tak jakby mówiła „moje pieski”. Toteż księżna Marja mówiła: „To będzie bardzo onieśmielające”, przez czystą głupotę, która u ludzi światowych przewyższa jeszcze ich próżność. O własnej genealogji wiedziała mniej niż lada profesor historii. Co się tyczy przyjaciół, starała się dowieść, że zna przydomki jakie im nadawano. Zapytawszy,

czy będę w przyszłym tygodniu na obiedzie u margrabiny de la Pommelière, którą często nazywano „la Pomme”, i otrzymawszy przeczącą odpowiedź, księżna Marja zamilkła na chwilę. Potem, bez żadnej innej racji prócz świadomej chęci popisu mimowolną erudycją, banalnością i zgodnością z duchem stada, dodała: „Dosyć miła jest ta *Pomme!*”.

Podczas gdy księżna Marja rozmawiała ze mną, wkraczali właśnie do salonów księstwo Błażejowie. Ale nie mogłem odrazu podejść do nich, bo mnie złapała w przelocie ambasadorowa turecka. Pokazując mi panią domu, którą dopiero co opuściłem, wykrzyknęła, chwytając mnie za ramię:

– Cóż za rozkoszna osoba, ta księżna Marja! Co za niepospolita istota! Zdaje mi się, że gdybym była mężczyzną – dodała z odrobiną wschodniej uniżoności i zmysłowości – poświęciłabym życie temu niebiańskiemu stworzeniu.

Odpowiedziałem, że jest w istocie urocza, ale że bliżej znam jej kuzynkę Oriane.

– Ależ nie ma żadnego porównania – rzekła ambasadorowa. – Oriana jest przemiła światowa kobietka, która czerpie swój dowcip od Mémé i od Babala, podczas gdy księżna Marja to jest *ktos*.

Nigdy bardzo nie lubiłem, aby mi tak bezapelacyjnie narzucano, co mam myśleć o znajomych. I nie było żadnej racji, aby ambasadorowa turecka miała o wartości księżnej Oriany sąd kompetentniejszy od mojego.

Z drugiej strony, fakt że mnie ambasadorowa zirytowała,

tłumaczy się tem, że wady prostego znajomego, a nawet przyjaciela, są dla nas niby trucizny, przeciw którym jesteśmy na szczęście „zmitrydatyzowani”. Ale, nie siląc się na żaden aparat porównań naukowych, ani wspominając o *anafilaksji*, powiedzmy, że w łonie naszych przyjacielskich lub poprostu światowych stosunków, czai się wrogość, chwilowo uleczona, ale powracająca, napadowa. Zazwyczaj mało się cierpi od tych trucizn, dopóki ludzie są „naturalni”. Mówiąc „Babal”, „Mémé” na oznaczenie osób których nie znała, ambasadorowa turecka zawieszała działanie „mitrydatyzmu”, który zazwyczaj czynił mi ją znośną. Drażniła mnie, co było tem niesprawiedliwsze, że ona mówiła tak nie dlatego aby udawać zażyłość z „Mémé”, ale wskutek zbyt pospiesznej edukacji, zalecającej jej nazywać owych szlachetnych panów w sposób, który uważała za krajowy obyczaj. Przeszła kurs w ciągu kilku miesięcy, nie przebywając wszystkich stopni. Ale po zastanowieniu odkryłem, że moja niechęć do towarzystwa ambasadorowej ma inne źródło. Nie dawno temu, u „Oriany”, ta sama dyplomatyczna jejmość oświadczyła mi, że świadomą i poważną miną, że księżna Marja de Guermantes jest jej wręcz antypatyczna. Wolałem nie zastanawiać się nad tą zmianą kursu: wywołało ją zaproszenie na wieczór. Ambasadorowa była całkiem szczerą, powiadając że księżna Marja jest czarująca. Zawsze tak myślała. Ale stale dotąd nie zapraszana do księżnej, uważała za właściwe dać temu brakowi zaproszeń formę dobrowolnej i zasadniczej abstynencji. Teraz, kiedy była w salonie księżnej i prawdopodobnie miała

w nim bywać nadal, sympatja jej mogła się wyrazić swobodnie. Dla wytłumaczenia trzech czwartych sądów, jakie ludzie wydają o ludziach, nie potrzeba szukać zawiedzionej miłości ani politycznych zawiści. Sąd buja w powietrzu: zaproszenie lub jego brak przechyła go na jedną lub drugą stronę. Zresztą, ambasadorowa turecka – jak mówiła baronowa de Guermantes, która zrobiła ze mną inspekcję salonów – „dobrze robiła” w towarzystwie. Była zwłaszcza bardzo użyteczna. Prawdziwe gwiazdy światowe zmęczone są występami. Kto ich jest ciekaw, musi często emigrować w drugą hemisferę, gdzie są prawie samotne. Ale kobiety podobne do ambasadorowej ottomańskiej, całkiem świeże w „świecie”, zawsze skore są błyszczeć, aby tak rzec, wszędzie naraz. Są niezmiernie użyteczne dla tego rodzaju spektaklów zwanych wieczorem czy rautem, gdzie raczej kazałyby się zanieść umierające, niżby się tam miały nie pokazać. To są statystki, na które zawsze można liczyć, nie opuszczają żadnej fety. Toteż głupie żółtodzioby, nie wiedząc że to są fałszywe gwiazdy, widzą w nich królowe szyku, podczas gdy trzeba by prawdziwej lekcji, aby im wytłumaczyć, na jakiej zasadzie pani Standish, nieznana im nawet ze słyszenia i malująca poduszki, zdala od świata, jest co najmniej równie wielką damą jak księżna Doudeauville.

W zwykłych momentach życia, oczy księżnej Oriany były roztargnione i trochę melancholijne; zapalała w nich duchowy płomień jedynie za każdym razem kiedy się miała przywitać z kimś znajomym; zupełnie tak, jakby ów ktoś był jakimś

dowcipnym, miłym żartem, smacznym kąskem, którego smak odbija się na twarzy znawcy subtelnym i radosnym wyrazem. Ale na wielkich przyjęciach, mając za wiele osób do witania, uważała że zbyt męczące byłoby gasić po każdej z nich i za każdym razem światło. Jak miłośnik literatury, idąc do teatru aby oglądać nowość jednego z mistrzów sceny, pewny że nie zmarnuje wieczoru, już oddając rzeczy w szatni dostraja usta do inteligentnego uśmiechu, ożywione spojrzenie do złośliwej aprobaty, tak wchodząc do salonu, księżna Oriana zaświecała oczy na cały wieczór. I oddając wieczorowy płaszcz o wspaniałej czerwieni Tiepolo, odsłaniając istną rubinową obrożę obejmującą jej szyję, zlustrowawszy suknię owem ostatniem, szybkim, szczegółowem i wyczerpującem spojrzeniem krawieckiem, jakim jest spojrzenie światowej kobiety, Oriana sprawdzała blask swoich oczu, tak samo jak blask innych klejnotów.

Daremnie parę „życzliwych języków”, jak p. de Janville, rzuciło się na księcia Błażeja, aby mu nie dać wejść: – Czyż ty nie wiesz, że biedny Mama jest konający? Właśnie był u niego ksiądz z olejami. – Wiem, wiem – odpowiedział p. de Guermantes, odpychając natręta w przejściu. – Wiatyk wywarł najlepszy skutek – dodał uśmiechając się rozkosznie na myśl o reducie, której był zdecydowany nie chybić po wieczorze u Gilbertów. – Nie chcieliśmy, aby wiadano żeśmy wrócili – rzekła do mnie księżna Oriana. Nie domyślała się, że księżna Marja osłabiła zawczasu to twierdzenie, powiadając, że widziała

przez chwilę swoją kuzynkę, która obiecała przyjść. Po długim spojrzeniu, którem przez pięć minut prażył żonę, księżę Błażej rzekł: „Powiedziałem Orianie o pańskich wątpliwościach”.

Teraz, kiedy księżna widziała że były nieuzasadnione i że nie potrzebuje nic robić aby je rozprószyć, oświadczyła że były niedorzeczne, żartowała ze mnie długo.

– Cóż za pomysł, przypuszczać, że pan nie był zaproszony! A potem, byłam przecie ja. Czy pan sądzi, że nie potrafiłabym uzyskać dla pana zaproszenia do mojej kuzynki?

Muszę powiedzieć, że księżna robiła później często dla mnie trudniejsze rzeczy; mimo to nie wziąłem tych jej słów w sensie wyrzutu że byłem zbyt oględny. Zaczynałem poznawać ścisłą wartość mówionego lub niemego języka arystokratycznej uprzejmości; uprzejmości szczęśliwej że może nam osłodzić nasze poczucie niższości, ale nie do tego stopnia aby je rozprószyć, bo w takim razie jużby ta uprzejmość nie miała racji istnienia. „Ależ ty jesteś równy nam, o ile nie wyższy”, zdawali się wszystkimi swymi postępkami mówić Guermantowie; i mówili to we wszelki najmiłszy sposób, poto aby ich kochano, podziwiano, ale nie aby im uwierzono. Odgadnąć fikcyjny charakter tej uprzejmości, to oni nazywali „być dobrze wychowanym”; uwierzyć w szczerą uprzejmość, było złem wychowaniem. Otrzymałem zresztą niebawem lekcję, która pouczyła mnie najściślej o rozciągłości i o granicach pewnych form arystokratycznej uprzejmości. Było to na podwieczorku wydanym przez księżnę de Montmorency dla

królowej angielskiej; utworzył się tam mały orszak posuwający się do bufetu, na czele zaś kroczyła monarchini, prowadzona pod ręką przez księcia Błażeja. Wszedłem właśnie w tej chwili. Drugą swobodną ręką książę dawał mi, na odległość conajmniej czterdziestu metrów, tysiąc znaków równie przyjaznych jak zachęcających; wyraźnie mówiły one, że mogę się zbliżyć bez obawy aby mnie zjedzono na surowo zamiast sandwiczów. Ale ja, który zaczynałem się doskonalić w języku dworów, zamiast się zbliżyć bodaj o jeden krok, z czterdziestu metrów odległości skłoniłem się głęboko, ale bez uśmiechu, tak jakbym miał przed sobą kogoś ledwie znajomego, poczem udałem się dalej swoją drogą w przeciwnym kierunku. Gdybym napisał arcydzieło, mniej by mnie ono podniosło w oczach Guermantów niż ten ukłon. Nie tylko nie uszedł oczu księcia, który musiał przecież odpowiadać na ukłony jakich pięciuset osób, ale i oczu księżnej, która, spotkawszy moją matkę, opowiedziała jej to zdarzenie, bynajmniej nie powiadając że źle postąpił, że powinienem się być zbliżyć. Oznajmiła, że książę zachwycony był moim ukłonem, że niepodobna było zawrzeć w nim więcej rzeczy. Nie przestawano znajdować w tym ukłonie wszystkich przymiotów, nie wspominając wszakże o tym, który wydał się najcenniejszy, to znaczy że był skromny; i nie przestano mi prawić komplementów, które pojąłem nietyle jako nagrodę za przeszłość, ile jako wskazówkę na przyszłość, w rodzaju tych, jakich delikatnie udziela uczniom dyrektor konwiktów. „Nie zapominajcie, drogie dzieci, że te nagrody są nietyle dla was, ile

dla waszych rodziców, aby was tu znów umieścili na przyszły rok”. W ten sposób, pani de Marsantes, kiedy ktoś z innego świata wchodził w jej sferę, chwaliła przed nim ludzi skromnych („znajduje się ich kiedy się ich szuka, a pozatem umieją być tak jakby ich nie było”), tak jak służącemu, który nie pachnie, zwraca się w pośredniej formie uwagę, że kąpiel wyborna jest dla zdrowia.

Podczas gdy rozmawiał z panią de Guermantes, zanim jeszcze opuściła sien, usłyszałem głos z rodzaju który w przyszłości miałem niemylnie rozpoznawać. Był to, w danym wypadku, p. de Vaugoubert rozmawiający z panem de Charlus. Klinicysta nie czeka aż chory podniesie koszulę, ani nie potrzebuje słuchać oddechu pacjenta: głos mu wystarcza. Ileż to razy później miał mnie uderzyć w salonie akcent lub śmiech jakiegoś człowieka, który wszelako ściśle naśladował gwarę swego zawodu lub formy swojej sfery, przybierając surową dystynkcję lub poufałą rubasność; ale fałsz głosu wystarczał dla mego wyćwiczonego ucha niby widełki stroiciela; i powiadałem sobie: „To jakiś Charlus”.

W tej chwili cały personel jakiejś ambasady przeszedł, kłaniając się panu de Charlus. Mimo że moje odkrycie rzeczony choroby datowało ledwie od tego popołudnia (kiedym spostrzegł pana de Charlus z Jupienem), nie potrzebowałbym dla postawienia diagnozy pytać ani auskultować. Ale p. de Vaugoubert, rozmawiający z p. de Charlus, widocznie nie był pewny. A przecież po wątpieniach wieku młodzieńczego,

powinien był już wiedzieć czego się trzymać. Zboczeniec uważa się za jedyne w swoim rodzaju w całym świecie; później dopiero wyobraża sobie – druga przesada – że jedynym wyjątkiem jest człowiek normalny. Ale p. de Vaugoubert, ambitny i płochliwy, nie oddawał się już od bardzo dawna temu, co byłoby dlań rozkoszą. Karjera dyplomatyczna miała na jego życie wpływ równający się wstąpieniu do zakonu. Połączona z pilnością w Szkole nauk politycznych, skazała go, od dwudziestego roku życia, na czystość pierwszych chrześcijan. Toteż, ponieważ każdy zmysł traci swoją siłę i żywotność i zanika kiedy go nie używać, p. de Vaugoubert – tak samo jak człowiek cywilizowany, niezdolny już do ćwiczeń fizycznych oraz pozbawiony słuchu człowieka jaskiniowego – stracił specjalną bystrość, która rzadko zawodziła pana de Charlus; i na oficjalnych obiadach, bądź w Paryżu bądź zagranicą, ambasador nie umiał już nawet rozpoznać tych, którzy pod powłoką uniformu byli w gruncie podobni jemu.

Kilka nazwisk, jakie wymienił p. de Charlus, oburzony kiedy jego samego cytowano dla jego gustów, ale zawsze lubiący demaskować skłonności innych, wprawiły pana de Vaugoubert w rozkoszne zdumienie. Nie aby po tylu latach chciał skorzystać z jakiej gratki. Ale nagle rewelacje (podobne tym, które w tragedjach Racine'a objaśniają Atalję i Abnera, że Joas jest z rasy Dawida, że zasiadająca w purpurze Estera ma krewnych żydłaków), zmieniając wygląd poselstwa X... lub jakiegoś departamentu Ministerstwa spraw zagranicznych, czyniły mu

retrospektywnie owe pałace czemś równie tajemniczem jak świątynia Jerozolimska lub sala tronowa w Suzie. Wobec tej ambasady, której młody personel zbliżył się w komplecie, aby uścisnąć dłoń pana de Charlus, pan de Vaugoubert przybrał zachwyconą minę Elizy, wykrzykującej w *Esterze*:

Nieba! zastęp niewinnych piękności uroczy
Ze wszech stron przybywając czaruje me oczy.
Jakże powabna stroi wstydlivość ich twarze!

Następnie, pragnąc być bardziej „poinformowany”, z uśmiechem rzucił panu de Charlus spojrzenie głupio-pytające i pożądlive zarazem: „Ależ tak, rozumie się”, rzekł p. de Charlus z poważną miną erudyty mówiącego do nieuka. Odtąd, Vaugoubert (co bardzo drażniło pana de Charlus) nie odrywał już oczu od tych młodych sekretarzów, których ambasador mocarstwa X..., stary wyjadacz, dobrał nader starannie. P. de Vaugoubert milczał, widziałem tylko jego spojrzenia. Ale, przyzwyczajony od dzieciństwa używać nawet rzeczom niemym języka klasyków, czytałem w oczach pana de Vaugoubert wiersze, w których Estera tłumaczy Elizie, że Mardocheusz postarał się, przez miłość swojej religji, umieszczać przy królowej jedynie dziewczęta, które tę religję wyznają.

Zapał jego, uczucia wszystkie dzieląc z nami,
Chciał zaludnić ten pałac Syjonu córami;
Młode i tkliwe kwiaty, losem doświadczone,

Pod niebo cudzoziemskie jak ja przeniesione,
W miejscu, co od niegodnych oczu leży zdala,
On (przezacny ambasador) troskliwie hoduje i w cnocie
utrwała.

Wreszcie pan de Vaugoubert przemówił inaczej niż oczami:

– Kto wie – rzekł melancholijnie – czy w kraju, gdzie ja rezyduję, nie istnieje to samo.

– To bardzo prawdopodobne – odparł p. de Charlus – zaczynając od króla Teodozjusza, mimo że nie wiem o nim nic pozytywnego.

– Och, wcale nie!

– W takim razie, doprawdy znakomicie to udaje! Ależ się mizdrzy! Ma ten *genre* „moja mała”, rodzaj którego najbardziej nie znoszę. Nie odważyłbym się z nim pokazać na ulicy. Zresztą, musisz mieć o nim wyrobione zdanie, znany jest jak zły szeląg.

– Mylisz się co do niego najzupełniej. Jest zresztą czarujący. W dniu, w którym podpisano ugodę z Francją, król mnie uściskał. Nigdy nie byłem tak wzruszony.

– To była chwila aby mu wyznać to czego pragniesz.

– Och, Boże, co za okropność, gdyby on bodaj podejrzewał!
Ale w tym względzie nie mam żadnych obaw.

Usłyszawszy te słowa (bo stałem niedaleko), natychmiast zacytowałem sobie w duchu:

Po dzień dzisiejszy zgoła kim jestem król nie wie,
I sekret ten wciąż wiąże język mój spętany.

Ten wpół-niemy wpół-mówiony dialog trwał niezbyt długo. Ledwie przeszedł kilka kroków z księżną Orianą, kiedy nieduża brunetka, bardzo ładna, zatrzymała ją:

– Chciałabym koniecznie pomówić z tobą. D’Annunzio ujrzał cię z łoża, napisał do księżnej de T... list, gdzie powiada, że w życiu nie widział nic równie pięknego. Oddałby życie za dziesięć minut rozmowy z tobą. W każdym razie, nawet jeżeli nie możesz albo nie chcesz, list jest w mojem posiadaniu. Musisz mi naznaczyć godzinę. Są pewne dyskretne rzeczy, których nie mogę powiedzieć tutaj. Widzę, że mnie pan nie poznaje, dodała zwracając się do mnie; spotkałam pana u księżnej Parmy (gdzie nigdy nie byłam). Cesarz rosyjski życzyłby sobie, aby pańskiego ojca posłano do Petersburga. Jeżeli pan może przyjść we wtorek, właśnie będzie Izwolski, pomówilibyście o tem. Mam dla ciebie podarek, kochanie – dodała obracając się do księżnej; podarek, którego nie zrobiłabym nikomu prócz ciebie. Rękopis trzech sztuk Ibsena, które mi przesłał przez swojego starego pielęgniarza. Zachowam jedną, a dwie dam tobie.

Książę Błazej nie był zachwycony temi propozycjami. Niepewny czy Ibsen lub d’Annunzio żyją czy umarli, widział już pisarzy, dramaturgów, składających wizyty jego żonie i pakujących ją do swoich utworów. Ludzie światowi chętnie wyobrażają sobie książki jako rodzaj pudła pozbawionego jednej ściany, tak że autor coprędzej „pakuje” do środka

osoby które napotka. To jest oczywiście nielojalnie, a tacy ludzie to są podejrzane figury. Zapewne, byłoby dość zabawne widywać ich „*en passant*”, bo dzięki nim, kiedy się czyta książkę lub artykuł, zna się „podszewkę” wszystkiego, można „zdrzeć maski”. Mimo wszystko, roztropniej jest poprzestać na autorach umarłych. P. de Guermantes uważał za „zupełnie na miejscu” jedynie osobnika, który prowadził rubrykę nekrologów w „*Gaulois*”. Ten przynajmniej ograniczał się do cytowania nazwiska pana de Guermantes między osobami zauważonymi „w szczególności” na pogrzebach, gdzie książę się zapisał na liście. Kiedy p. de Guermantes wołał aby jego nazwisko nie figurowało, wówczas, zamiast się zapisywać, przysyłał rodzinie zmarłego kondolencję, zapewniającą o jego bardzo żałobnych uczuciach. Jeżeli ta rodzina zamieściła w dzienniku: „pomędzy otrzymanemi dowodami współczucia, zacytujmy list księcia de Guermantes”, etc. to nie była wina wzmiankarza, ale syna, brata, ojca zmarłej osoby, których książę piętnował jako karjerowiczów i z którymi odtąd był zdecydowany nie utrzymywać stosunków (co nazywał, nie mając ścisłego poczucia wyrażen, „być na pieńku”).

Bądź jak bądź, faktem jest, że nazwisko Ibsena i d’Annunzia i niepewność czy jeszcze żyją wywołały zmarszczenie brwi księcia, znajdującego się jeszcze natyle blisko, aby dosłyszeć rozmaite uprzejmości pani Tymoleonowej d’Amoncourt. Była to przemiła kobieta, o inteligencji – jak jej uroda – tak wdzięcznej, że jedno z dwojga wystarczyłoby aby czarować. Ale urodzona

poza sferą w której żyła obecnie, marząca zrazu tylko o salonie literackim, kolejna i wyłączna przyjaciółka – bynajmniej nie kochanka, życie jej było bardzo czyste – każdego wielkiego pisarza, który jej darowywał wszystkie swoje rękopisy, pisał książki dla niej, przypadkowo weszła w faubourg Saint-Germain, gdzie jej te awantaże literackie stworzyły pewną pozycję. Miała obecnie „sytuację”, nie potrzebując rozdawać innych łask, prócz tych które rozlewała jej obecność. Ale przyzwyczajona niegdyś do lawirowania, do polityki salonowej, do świadczenia usług, zachowała ten nawyk, mimo że już jej to nie było potrzebne. Miała zawsze jakiś ważny sekret do zwierzenia, jakiegoś potentata do przedstawienia, akwarelę mistrza do ofiarowania. Było zapewne we wszystkich tych zbytecznych urokach nieco kłamstwa, ale czyniły one z jej życia błyskotliwie skomplikowaną komedię; faktem było, że ona mianowała prefektów i generałów.

Posuwając się obok mnie, księżna Oriana pozwalała lazuirowemu światłu swoich oczu bujać przed sobą, ale w przestrzeni, aby uniknąć ludzi z którymi nie miała ochoty się zetknąć, a których grożącą rafę odgadywała niekiedy zdala. Posuwaliśmy się między podwójnym rzędem gości, którzy wiedząc że nigdy nie poznają „Oriany”, chcieli bodaj – jako osobliwość – pokazać ją żonie: „Urszulo, prędko, prędko, chodź zobaczyć panią de Guermantes, rozmawia z tym młodym człowiekiem”. I czuło się, że nie wiele potrzeba, a weszliby na krzesła aby lepiej widzieć, jak na rewji 14 lipca lub na *Grand Prix*.

To nie znaczy, aby salon księżnej Oriany bardziej był arystokratyczny niż salon jej kuzynki. U Oriany bywali ludzie, których księżna Marja nigdy nie zgodziłaby się zaprosić, głównie z powodu męża. Nigdy nie przyjęłaby pani Alfonsowej de Rothschild, która, będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de la Trémoille i księżnej de Sagan – jak i sama Oriana – bywała u Oriany. Toż samo z baronem Hirsch, którego książę Walji przyprowadził do Oriany, ale nie do księżnej Marji, której ów baron nie przypadłby do smaku. Podobnie było z paroma znakomitościami świata bonapartystycznego a nawet republikańskiego, które zainteresowały Oriane, ale których książę Gilbert, zażarty rojalista, nie zechciałby przyjąć. Jego antysemityzm, równie zasadniczy, nie ugiął się przed żadną elegancją, choćby najbardziej uznaną w wielkim świecie, a jeżeli książę przyjmował Swanna, z którym był od niepamiętnych czasów w przyjaźni – będąc zresztą jedynym z Guermantów, który go tytułował Swannem a nie Karolem – to dla tego, że wiedząc iż babka Swanna, protestantka wydana za Żyda, była kochanką księcia de Berri, próbował od czasu do czasu wierzyć w legendę, która czyniła ojca Swanna naturalnym synem księcia krwi. W duchu tej hipotezy (zresztą fałszywej), Swann, syn katolika – będącego synem Burbona – i katoliczki, stawał się czystej krwi chrześcijaninem.

– Jakto, pan nie zna tych wspaniałości! – rzekła do mnie księżna Oriana, mówiąc o pałacu gdzieśmy się znajdowali. Ale, uczciwszy pałac kuzynki, skwapliwie dodała, że woli tysiąc

razy swój „kącik”. – Tutaj to jest cudowne do *zwiedzania*. Ale umarłabym z melancholji, gdyby mi trzeba było spać w pokojach, gdzie się działo tyle wypadków historycznych. Miałabym wrażenie, że zostałam po zamknięciu lokalu, zapomniana, w zamku Blois, w Fontainableau, nawet w Luwrze, i że jako jedyną ucieczkę od melancholji mogę sobie uprzytomnić, że znajduję się w pokoju, gdzie zamordowano Monaldeschiego. Jako rumianek do poduszki, to nie jest wystarczające. O, jest pani de Saint-Euverte. Byliśmy właśnie u niej na obiedzie. Ponieważ jutro urządza swoją doroczną awanturę, myślałam, że poszła spać. Ale ona nie może przepuścić najmniejszej zabawy. Gdyby ten raut był na wsi, raczej wdrapałaby się na omnibus, niżby się miała nie zjawić.

W istocie, pani de Saint-Euverte przyszła tego wieczora nietyle dla przyjemności nieominięcia cudzej fety, ile aby zabezpieczyć sukces własnej, zwerbować ostatnich gości, i poniekąd odbyć *in extremis* przegląd wojsk, mających nazajutrz paradować na jej *garden party*. Bo od wielu lat goście pani de Saint-Euverte nie byli już zgoła ci sami co dawniej. Niewieście gwiazdy świata Guermantów, wówczas tak nieliczne – obsypywane uprzejmościami pani domu – ściągnęły tam pomału swoje przyjaciółki. Równocześnie, siłą akcji posuwającej się równolegle ale w przeciwnym kierunku, z roku na rok pani de Saint-Euverte redukowała liczbę osób nieznanych eleganckiemu światu. Przestała odwiedzać jedną, potem drugą ze znajomych. Przez jakiś czas funkcjonował

system „klas”, pozwalający, dzięki wieczorom pokrywanym milczeniem, zaprosić wyeliminowanych, aby się pobawili między sobą, co uwalniało gospodynię od zapraszania ich z godniejszymi osobami. Na co się mogli skarżyć? Czy nie mieli (*panem et circenses*) ptifurów i pięknej muzyki? Toteż, w symetrii poniekąd do dwóch księżnych na wygnaniu, które niegdyś – w początkach *salonu Saint-Euverte* – podpierały, niby dwie karjatydy, jego chwiejący się strop, widziało się w ostatnich latach jedynie dwie osoby z innej klasy zamieszane w ten wielki świat: starą panią de Cambremer, oraz żonę pewnego architekta, kobietę z pięknym głosem, do której talentu często trzeba się było uciekać. Ale nie znając już nikogo u pani de Saint-Euverte, opłakując stracone towarzyszek, czując że wszystkich tam rażą, panie te robiły wrażenie istot mrących z zimna, niby dwie jaskółki, które nie odleciały na czas. Toteż następnego roku już ich nie zaproszono; pani de Franquetot próbowała podjąć kroki na rzecz kuzynki, która tak kochała muzykę! Ale ponieważ nie zdołała uzyskać odpowiedzi wyraźniejszej niż te słowa: „Ależ zawsze można wejść posłuchać muzyki, jeżeli to ją bawi; niema w tem żadnej zbrodni!”, pani de Cambremer uznała, że zaproszenie nie jest dość usilne i została w domu.

Wobec takiego przeobrażenia salonu trędowatych w salon wielkich dam (ostatnia forma, na pozór arcyelegancka, jaką ów salon przybrał), można się było zdziwić, iż osoba dająca nazajutrz najświetniejsze przyjęcie sezonu, musi się w przeddzień zwracać z ostatnim apelem do swojej armji. Ale bo też blaski salonu Saint-

Euverte istniały jedynie dla tych, których światowość polega wyłącznie na czytaniu sprawozdań z „poranków” i wieczorów w „*Gaulois*” lub w „*Figarze*”, bez osobistych doświadczeń w tej mierze. Dla tych światowców, widzących świat jedynie poprzez gazetę, wyliczenie ambasadorowych angielskiej, austriackiej, etc., księżnych d’Uzès, de la Trémoille, etc., etc., wystarczało aby sobie wyobrażali salon Saint-Euverte jako pierwszy w Paryżu, wówczas gdy był jednym z ostatnich. Nie aby „wzmianki” kłamały. Większość cytowanych osób była tam w istocie. Ale każda z nich przyszła naskutek błagań, grzeczności, usług, z poczuciem że czyni pani de Saint-Euverte niezmierny zaszczyt. Takie salony, raczej unikane niż poszukiwane, dokąd się idzie niejako z bolesnego obowiązku, dają złudzenie jedynie czytelniczkom „kroniki światowej”. Przeoczą zebranie naprawdę eleganckie, gdzie pani domu mogła mieć wszystkie diuszessy płonące żądzą znalezienia się „wśród wybranych”, ale prosi z nich tylko dwie lub trzy i nie stara się o zamieszczenie nazwisk swoich gości w gazecie. To też te osoby, ignorujące lub lekceważące potęgę jaką stała się dziś „reklama”, są eleganckie dla królowej hiszpańskiej, ale nieznane tłumowi, ponieważ królowa wie, kim one są, a tłum nie wie.

Pani de Saint-Euverte nie była z rzędu tych osób, toteż zabiegliwie przychodziła zgarnąć na jutro wszystkich zaproszonych. Pana de Charlus nie było wśród nich; za nic nie chciał bywać w tym domu. Ale on był źle z tyloma osobami, że pani de Saint-Euverte mogła to złożyć na karb charakteru

barona.

Z pewnością, gdyby chodziło tylko o Oriane, pani de Saint-Euverte mogłaby się nie trudzić, skoro jej zaproszenie, dopełnione ustnie, księżna przyjęła z ową uroczą i zawodną uprzejmością, cechującą pewnych Akademików, od których kandydat wychodzi rozczulony, nie wątpiąc że może liczyć na ich głos. Ale była tam nietylko ona. Czy księżę d'Agriente przyjdzie? A pani de Durfort? Toteż, aby czuwać nad zbiorem, pani de Saint-Euverte uważała za praktyczniejsze przybyć sama; przymilna wobec jednych, władcza z drugimi, wszystkim pozwalała się domyślać niewiarygodnych uciech, jakich nie spotka się drugi raz, każdemu przyrzekła obecność osoby której widoku ów pragnął, lub osobistości którą właśnie potrzebował spotkać. I ta swojego rodzaju godność, w jaką pani de Saint-Euverte oblekała się jeden raz do roku – niby niektóre urzędy starożytnego świata – osoby wyprawiającej nazajutrz największe *garden party* sezonu, dawała jej chwilową ważność. Lista była ułożona i zamknięta, tak iż przebiegając zwolna salony księżnej Marii, aby szepnąć kolejno każdemu: „Nie zapomni pan (pani) jutro”, pani de Saint-Euverte kosztowała tej ulotnej chwały, że, nie przestając się uśmiechać, odwracała oczy kiedy spostrzegła jakiegoś niepożądanego kopciuszka, lub szlachciurę, wpuszczanego do „Gilberta” na zasadzie koleżeństwa ze szkolnej ławy, ale niezdolnego swoją obecnością w niczem uświetnić jej *garden party*. Woliała nie odzywać się do takiego, aby móc potem powiedzieć: „Zapraszałam ustnie i na nieszczęście nie spotkałam

pana”. I tak ona, prosta Saint-Euverte, dokonywała własnymi oczami „przesiewania przez sito” gości księżnej Marji! I czyniąc to, czuła się sama prawdziwą księżną de Guermantes.

Trzeba powiedzieć, że i Oriana również nie miała w swoich ukłonach i uśmiechach tyle swobody ile możnaby przypuszczać. Po części, niewątpliwie, kiedy ich odmawiała, czyniła to dobrowolnie: „Ależ ona mnie nudzi – mówiła Oriana – czyż będę musiała mówić z nią o jej wieczorze przez godzinę?”

Przechodziła jakaś diuszessa, silna brunetka, którą brzydota jej, głupota oraz wybryki młodości wyгнаły nie z towarzystwa, ale z niektórych eleganckich kółek: „Au! – syknęła pani de Guermantes, z owem precyzyjnym i krytycznym spojrzeniem znawcy, kiedy mu ktoś pokaże fałszywy klejnot – przyjmują *to* tutaj!” Na sam widok osoby „z felerem”, której twarz w dodatku była usiana zbytnią ilością włochatych brodawek, pani de Guermantes stwierdzała niską jakość wieczoru. Chowała się z tą damą w dzieciństwie, ale zerwała z nią wszelkie stosunki; na jej ukłon odpowiedziała jedynie suchym sknieniem głowy. „Nie rozumiem – rzekła do mnie, jakby usprawiedliwiając się – że Marja zaprasza nas razem z temi szumowinami. Możnaby rzec, że pozbierała gości ze wszystkich parafji. U Melanji Pourtalès było o wiele lepiej urządzone. Mogła sobie przyjmować święty Synod i Wielki Wschód, jeżeli miała ochotę, ale przynajmniej nie zapraszała nas w te dnie”. Ale, w stosunku do wielu osób, Oriana postępowała tak przez nieśmiałość, przez obawę sceny od męża, nie lubiącego aby ona przyjmowała artystów etc.

(księżna Marja protegowała ich chętnie: trzeba było uważać, aby nie wpaść u niej na jaką znakomitą śpiewaczką niemiecką), przez jakiś lęk wobec nacjonalizmu, którym, kultywując, jak p. de Charlus, „ducha Guermantów”, gardziła z punktu widzenia światowego (sadzano obecnie, dla uczczenia sztabu generalnego, pewnego generała plebejusza wyżej od niektórych diuków), któremu jednak – wiedząc że ona sama ma opinię „źle myślącej” – robiła szerokie ustępstwa, do tego stopnia, że bała się w tym antysemitycznym środowisku Swannowi podawać rękę. Co do tego punktu uspokoiła się rychło, dowiedziawszy się, że książę Gilbert nie dał Swannowi wejść i że miał z nim jakieś „wyjaśnienia”. Nie groziło jej, że będzie musiała na oczach publiczności rozmawiać z „biednym Lolem”, którego wołała lubieć u siebie w domu.

– A to znowu co takiego? – wykrzyknęła księżna Oriana, widząc że jakaś nieduża osoba, wyglądająca dość szczególnie, w czarnej sukni tak skromnej że możnaby ją wziąć za nędzarke, składa jej, wraz z mężem, głęboki ukłon. Nie poznała jej i dosyć skłonna do tego rodzaju impertynencyj, wyprostowała się obrażona, spoglądając bez ukłonu z wyrazem zdumienia:

– Co to za figura, Błażeju? – spytała ze zdziwieniem, gdy p. de Guermantes, chcąc naprawić niegrzeczność żony, kłaniał się damie i ścisnął dłoń jej męża.

– Ależ to pani de Chaussepierre, byłaś bardzo niegrzeczna.

– Ja nie wiem, co to jest Chaussepierre.

– Siostrzeniec starej Chanlivault.

– Nie znam nic podobnego. Kto to jest ta kobieta, czemu ona

mi się kłania?

– Ależ znasz ją doskonale, to córka pani de Charleval, Henrjety Montmorency.

– A! znałam bardzo dobrze jej matkę, była urocza, bardzo inteligentna. Pocóż ona wyszła za wszystkich tych ludzi, których ja nie znam? Powiadasz, że się nazywa Chaussepierre? – rzekła sylabizując to słowo z pytającą miną, jakby się bała omylić.

Książę objął ją surowem spojrzeniem:

– Nazywać się Chaussepierre wcale nie jest tak śmieszne jak ci się wydaje. Stary Chaussepierre był bratem owej Charleval, pani de Sennecour oraz wicehrabiny du Merlerault. To ludzie bardzo *dobrze*.

– Och, dosyć! – wykrzyknęła księżna, która jak pogromczyni nie dopuszczała nigdy wrażenia że się dała zastraszyć krwiożerczym spojrzeniom drapieżnika. – Błazeju, bajeczny jesteś. Ja nie wiem, gdzie ty wyszukujesz wszystkie te nazwiska, ale szczerze ci ich winszuję. Jeżeli nie znałam „Chaussepierre”, w zamian czytałam Balzaka – nie ty jeden go czytałeś – a nawet czytałam Labiche’a. Wysoko cenię *Chanlivault*, dosyć jest w moim guście *Charleval*, ale wyznaję że *du Merlerault* jest arcydziełem! Zresztą, zgódźmy się, że *Chaussepierre* jest też nienajgorsze. Ty skądś pozbierałeś to wszystko, to niepodobieństwo! Pan, który chce pisać książkę, rzekła do mnie, powinien pan zapamiętać *Charleval* i *Merlerault*. Nie znajdzie pan nic lepszego.

– Narazi się poprostu na proces i pójdzie do więzienia; dajesz

mu bardzo złe rady, Oriano.

– Mam dla niego nadzieję, że znajdzie łatwo młodsze osoby, kiedy ma ochotę prosić o złe rady, a zwłaszcza wprowadzić je w czyn. Ale jeżeli nie zamierza popełnić nic gorszego niż książkę!...

Dosyć daleko od nas, wspaniała i dumna młoda kobieta odcinała się harmonijnie w białej sukni, całej z diamentów i z tiulu. Pani de Guermantes spojrzała na nią w chwili gdy młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem¹.

– Pańska siostra jest wszędzie najpiękniejsza; uroczą jest dziś wieczór – rzekła, biorąc krzesło – do księcia de Chimay, który przechodził.

Pułkownik de Froberville (miał wuja generała tego samego nazwiska) usiadł koło nas, zarówno jak p. de Bréauté, podczas gdy p. de Vaugoubert, kołysząc się (przez nadmiar grzeczności, który zachował nawet kiedy grał w tenisa, przyczem, przez to że przepraszał wysoko postawione osoby zanim odbił piłkę, nieuchronnie skazywał partję na przegranie), wracał do pana de Charlus (dotąd niemal zawiniętego w olbrzymią spódnicę hrabiny Molé, którą oficjalnie wielbił ponad wszystkie inne kobiety) i to przypadkowo w chwili, gdy grupa członków nowego ciała dyplomatycznego kłaniała się baronowi. Na widok

¹ młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem – Proust wprowadza tu przelotnie, robiąc jej komplement, autentyczną hrabinę de Noailles, poetkę, siostrę księżnej de Chimay. [przypis redakcyjny]

młodego sekretarza o wyrazie szczególnie inteligentnym, p. de Vaugoubert wpił w pana de Charlus uśmiech, w którym widocznie wykwitało jedno pytanie. P. de Charlus byłby może chętnie skompromitował kogoś, ale czując się samemu skompromitowanym przez ten uśmiech, mogący mieć tylko jedno znaczenie, wściekł się:

– Absolutnie nie wiem nic, proszę pana, zachowaj pan swoje ciekawości dla siebie. Mnie one zostawiają zupełnie obojętnym. Zresztą, w danym wypadku, trafia pan jak kulą w płot. Sądzę, że ten młody człowiek jest wręcz przeciwnie.

Tu p. de Charlus, wściekły że został wystawiony na sztych przez głupca, nie mówił prawdy. Sekretarz – w razie gdyby baron miał słuszość – stanowiłby wyjątek w tej ambasadzie. Była ona w istocie złożona z figur nader różnych, po części bardzo miernych, tak że, jeżeli się szukało pobudki ich doboru, można ją było odkryć jedynie w inwersji. Stawiając na czele tej małej Sodomy dyplomatycznej ambasadora lubiącego – wręcz przeciwnie – kobiety z komiczną przesadą kobieciarza z wodwilu, który dowodził prawidłowo swoim bataljonem zboczeńców, powodowano się jakgdyby prawem kontrastu. Mimo tego co miał przed oczami, ambasador ów nie wierzył w inwersję. Dał tego niebawem dowód, wydając swoją siostrę za *chargé d'affaires*, którego uważał bardzo fałszywie za dziwkarza. Z tą chwilą stał się trochę krępujący i niebawem zastąpiono go nową Ekscelencją, która zapewniła jednolitość zespołu. Inne ambasady starały się rywalizować z tą, ale nie zdołały jej odebrać

pierwszeństwa (jak na „konkursie generalnym”, gdzie jedno liceum zdobywa je zawsze), i trzeba było dziesięciu lat czasu, aby – gdy młodzi *attachés* innego pokroju wdarli się w tę tak zgraną całość – inna ambasada zdołała wreszcie wydrzeć żalosną palmę i kroczyć na czele.

Uspokojona co do obawy, że będzie musiała rozmawiać ze Swannem, pani de Guermantes była jedynie ciekawa rozmowy, jaką ów miał z panem domu.

– Czy pan wie, o czym mówili? – spytał książę Błazej pana de Bréauté.

– Słyszałem – odparł – że o jednoaktówce, którą pisarz Bergotte wystawił u Swannów. To było zresztą czarujące. Ale zdaje się, że aktor ucharakteryzował się na Gilberta, którego zresztą imię Bergotte w istocie chciał odmalować.

– O, toby mnie bawiło zobaczyć jak ktoś robi Gilberta – rzekła księżna uśmiechając się w zamyśleniu.

– Z powodu tej komedyjki – odparł pan de Bréauté wysuwając szczękę gryzonia – Gilbert poprosił o wyjaśnienie Swanna, który ograniczył się do odpowiedzi, uznanej zresztą powszechnie za bardzo dowcipną: „Ależ wcale nie, to nic a nic do ciebie niepodobne, ty jesteś o wiele śmieszniejszy!” – Zdaje się zresztą (dodał pan de Bréauté), że komedyjka jest urocza. Pani Molé była na tem i szalenie się bawiła.

– Jakto, pani Molé bywa tam? – rzekła księżna zdziwiona. – A, to robota Mémé! Zawsze się tak kończy z temi domami. Pewnego dnia wszyscy zaczynają tam chodzić, i ja, która dla

zasady uprawiałam dobrowolną abstynencję, nudzę się wreszcie sama w swoim kącie.

Już, od tej relacji pana de Bréauté, księżna Oriana przyjęła, jak widzieliśmy, nowy punkt widzenia, jeżeli nie co do salonu Swannów, to przynajmniej co do hipotezy spotkania Swanna za chwilę. – Wyjaśnienie, jakie pan nam daje, rzekł do pana de Bréauté pułkownik de Froberville, jest najzupełniej opaczne. Mam swoje przyczyny aby wiedzieć o tem. Książę Gilbert poprostu zmył głowę Swannowi, jak mówili nasi ojcowie, i dał mu do zrozumienia, że nie ma się co pokazywać u niego, zważywszy poglądy z jakimi się afiszuje. I wedle mnie, wuj Gilbert miał po tysiąc razy słuszość, nie tylko że mu zmył głowę, ale powinien był skończyć od pół roku z tym jawnym dreyfusistą.

Biedny Vaugoubert, stawszy się tym razem sam z nazbyt marudnego tenisisty bezwładną piłką tenisową odbijaną bez ceremonji, znalazł się tuż koło księżnej Oriany, której przedłożył swoje atencje. Spotkał się z nieszczególnem przyjęciem, Oriana bowiem żywiła przeświadczenie, że wszyscy dyplomaci lub politycy z jej świata są durnie.

P. de Froberville siłą rzeczy skorzystał z uprzywilejowanej sytuacji, jaką od niedawna zyskali wojskowi w towarzystwie. Na nieszczęście, o ile żona którą pojął, była bardzo autentyczną krewną Guermantów, była zarazem bardzo ubogą krewną, że zaś sam pułkownik stracił majątek, nie mieli dużo stosunków. Byli to typowi ludzie, których się pomija, poza uroczystemi okazjami, kiedy mieli szczęście stracić krewnego lub asystować

jego zaślubinom. Wówczas tworzyli istotnie część wspólnoty wielkiego świata, jak owi nominalni katolicy, którzy zbliżają się do stołu pańskiego jedynie raz do roku. Materjalne ich położenie byłoby nawet opłakane, gdyby pani de Saint-Euverte, wierna dawnemu przywiązaniu do nieboszczyka generała de Froberville, nie wspomagała na wszystkie sposoby tego stadła, dostarczając sukien i rozrywek dwom córeczkom. Ale pułkownik, który uchodził za „dobrego chłopą”, nie miał duszy wdzięcznej. Zawistny był o splendory swej dobrodziejki, która sławiła je sama bez wytchnienia i miary. Doroczne *garden party* było dla niego, dla jego żony i dzieci cudowną przyjemnością, której nie wyrzekliby się za skarby świata, ale przyjemnością zatrutą myślą o satysfakcjach, jakie z tej fety czerpała pani de Saint-Euverte. Obwieszczenie *garden-party* w dziennikach, które następnie, po szczegółowem sprawozdaniu, dodawały machiawelicznie: „Powrócimy do tej pięknej zabawy”, dodatkowe szczegóły dotyczące toalet, podawane przez kilka dni z rzędu, wszystko to sprawiało państwu de Froberville takie cierpienie, że, mimo iż dość pozbawieni rozrywek i wiedząc iż mogą liczyć na to popołudnie, dochodzili co roku do pragnienia aby niepogoda udaremniła zabawę, spoglądali na barometr i witali z rozkoszą zapowiedź burzy grożącej popsuciem festynu.

– Nie będę z tobą dyskutował o polityce, Froberville – rzekł pan de Guermantes – ale co się tyczy Swanna, szczerze mogę powiedzieć, że jego postępowanie wobec nas było czemś bez przykładu. On, wprowadzony niegdyś w towarzystwo przez

nas, przez księcia de Chartres, dziś, powiadają, jest otwarcie dreyfusistą! Nigdy nie byłbym się tego po nim spodziewał; on, taki smakosz, umysł pozytywny, kolekcjoner, amator starych książek, członek Jockey-clubu, człowiek otoczony powszechnym szacunkiem, znawca dobrych firm (przysyłał nam najlepsze porto jakie istnieje), miłośnik sztuki, ojciec rodziny... Ha, bardzo się zawiodłem! Nie mówię o sobie, wiadomo że ja jestem stary cymbał, którego zdanie się nie liczy, ot sobie popychadło; ale choćby dla samej Oriany, nie powinien był tego robić, powinien się był otwarcie wyprzec Żydów i popleczników skazanego. – Tak, po przyjaźni, jaką mu zawsze okazywała żona – podjął książkę, który widocznie uważał, że potępić Dreyfusa jako zdrajcę stanu, jakiegdyś by się miało przekonanie o jego winie, było rodzajem podziękowania za przyjęcie doznane w faubourg Saint-Germain – powinien się był zrzucić z tej solidarności. Bo spytaj się Oriany, ona zawsze miała słabość do niego.

Księżna, sądząc że naiwny i spokojny ton przyda dramatycznej szczerości jej słowom, rzekła głosem uczenicy, jakgdyby pozwalając poprostu prawdzie wyjść ze swoich ust i barwiąc jedynie oczy odcieniem melancholji:

– Ależ tak, w istocie, nie mam żadnego powodu ukrywać, że byłam szczerze przywiązana do Lola.

– O widzisz, ja jej tego nie sufluję. I po tem wszystkiem, on posuwa niewdzięczność do tego aby być dreyfusistą!

– A propos dreyfusistów – rzekłem – zdaje się, że prinz Von

należy do nich.

– A, dobrze pan robi, że mi pan mówi o nim – wykrzyknął p. de Guermantes; byłbym zapomniiał, że mnie zaprosił na poniedziałek na obiad. Czy on jest dreyfusistą czy nie, jest mi całkowicie obojętne; to jest cudzoziemiec. O to się tyle troszczę, co o króla murzyńskiego. Z Francuzem, to inna rzecz. Prawda, że Swann jest żyd. Ale do dzisiejszego dnia – wybaczone mi Froberville – miałem tę słabość, aby myśleć, że żyd może być Francuzem, rozumiem żyd przyzwoity, człowiek z towarzystwa. Otóż Swann był tem wszystkiem w całym znaczeniu słowa. I cóż, zmusza mnie do uznania że się omylił, skoro bierze stronę tego Dreyfusa (który, winny czy nie winny, nie należy wcale do jego sfery, którego nie byłby nigdy spotkał), przeciw towarzystwu które go traktowało jak jednego ze swoich. Niema co mówić, myśmy wszyscy ręczyli za Swanna, byłbym odpowiadał za jego patriotyzm jak za własny. A, źle się nam odwdzięczył! Przyznaję, że z jego strony nigdybym się tego nie spodziewał. Lepiej go sądziłem. Był inteligentny (w swoim rodzaju oczywiście). Zapewne, wiem, że zrobił już jedno paskustwo, to swoje haniebne małżeństwo. Czy wiesz, komu małżeństwo Swanna sprawiło wielką przykrość? Mojej żonie. Oriana ma często to, cobym nazwał afektacją chłodu. Ale w gruncie ona czuje niesłuchanie silnie.

Pani de Guermantes, zachwycona tą analizą swego charakteru, słuchała ze skromną miną, ale nie mówiła ani słowa, nie chcąc wprost potwierdzać pochwały, a zwłaszcza bojąc się

ją przerwać. P. de Guermantes mógłby mówić godzinę na ten temat, Oriana nie ruszyłaby się z miejsca, jak podczas muzyki.

– Otóż – ciągnął książę – przypominam sobie, że kiedy się dowiedziała o małżeństwie Swanna, uczuła się jakby dotknięta; uważała, że to nieładnie ze strony człowieka, któremu okazywaliśmy tyle przyjaźni. Bardzo lubiła Swanna, strasznie ją to zmartwiło. Prawda, Oriano?

Pani de Guermantes sądziła, iż powinna odpowiedzieć na wezwanie tak bezpośrednie, co do faktycznego punktu, pozwalającego jej dyskretnie potwierdzić pochwały, które – czuła to – już się skończyły. Nieśmiałym i prostym tonem, z miną tembardziej sztuczną że chciała aby wyrażała „czucie”, rzekła z pełną umiaru słodyczą:

– To prawda, Błazej się nie myli.

– A przecież to jeszcze nie było to samo! Cóż chcecie, miłość to miłość, mimo że, mojem zdaniem, powinna zachować pewne granice. Usprawiedliwiłbym jeszcze młodego człowieka, smarkacza któryby się dał porwać utopiom. Ale Swann, człowiek inteligentny, człowiek wypróbowanej delikatności, znawca obrazów, sztuki, zaufany księcia de Chartres, samego Gilberta!

Ton, jakim mówił to pan de Guermantes, był zresztą całkiem sympatyczny, bez cienia owej pospolitości, jaką książę zdradzał zbyt często. Mówił smutno, z lekkim oburzeniem, ale wszystko oddychało w nim ową łagodną powagą, stanowiącą soczysty i szeroki wdzięk pewnych figur Rembrandta, burmestra Six

naprzykład. Czuło się, że niemoralność postępku Swanna w sprawie Dreyfusa nie nastrocza się nawet księciu jako problemat, tak dalece nie miał wątpliwości w tej mierze; był niby stroskany ojciec widzący jak jeden z synów, dla którego wychowania poniósł wielkie ofiary, dobrowolnie rujnuje wspaniałą sytuację jaką mu ojciec stworzył i hańbi uczciwe nazwisko wybrykami niedopuszczalnymi wedle zasad lub przesądów rodziny. Prawda, że p. de Guermantes nie okazał nigdy równie głębokiego i bolesnego zdumienia, kiedy się dowiedział, że Saint-Loup jest dreyfusistą. Ale, po pierwsze, uważał swego siostrzeńca za zbłąkanego młodego chłopca, z którego strony – dopóki się nie poprawi – nic nie może dziwić; podczas gdy Swann był tem, co pan de Guermantes nazywał „człowiekiem zrównoważonym, człowiekiem mającym pierwszorzędną pozycję”. Powtóre, co najważniejsze, od owej epoki upłynęło sporo czasu, w ciągu którego, o ile, z historycznego punktu widzenia, wypadki mogły poczęści usprawiedliwiać tezę dreyfusistowską, opozycja antydreyfusowska zdwoiła gwałtowność i z czysto politycznej zrazu stała się obecnie socjalną. Była to teraz kwestja militaryzmu, patriotyzmu; fale gniewu wzniecone w społeczeństwie miały czas nabrać siły, jakiej nigdy nie mają w początkach burzy.

– Widzicie – podjął p. de Guermantes – nawet z punktu widzenia swoich drogich żydów, skoro chce ich koniecznie wspierać, Swann palnął głupstwo o nieobliczalnej doniosłości.

Dowiódł, że oni są poniekąd zmuszeni używać pomocy komukolwiek ze swojej rasy, nawet jeżeli go nie znają. To niebezpieczeństwo publiczne! Byliśmy niewątpliwie zanadto łatwi, a gaffa, jaką popełnia Swann, będzie miała tem większy resonans, że on był szanowany, nawet przyjmowany, i że był niemal jedynym żydem którego się znało. Świat powie sobie: *Ab uno disce omnes*. (Satysfakcja, że znalazł tak z punktu w pamięci odpowiedni cytat, rozjaśniła dumnym uśmiechem melancholję zdradzonego magnata).

Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co naprawdę zaszło między księciem Gilbertem a Swannem i zobaczyć Swanna, o ile nie opuścił jeszcze zabawy.

– Powiem panu – rzekła księżna, której zwierzyłem swoje pragnienie – że mnie nie zależy specjalnie na tem aby widzieć Swanna, bo zdaje się, wedle tego co mówiono przed chwilą u pani de Saint-Euverte, on chciałby przed śmiercią, żebym się zapoznała z jego żoną i córką. Mój Boże, boleję niezmiernie nad tem że on jest chory, ale przecież mam nadzieję że to nie takie poważne. A przytem, ostatecznie, to nie jest powód; to byłoby doprawdy za łatwe! Pisarzowi bez talentu wystarczyłoby tylko powiedzieć: „Głosujcie za mną do Akademji, bo moja żona ma umrzeć i chcę jej dać tę ostatnią radość”. Nie byłoby salonów, gdyby się trzeba było poznawać ze wszystkimi umierającymi. Mój stangret mógłby mi powiedzieć: „Moja córka jest bardzo chora, niech mnie pani wprowadzi do księżnej Parmy”. Uwielbiam Lola i sprawiłoby mi wielką przykrość

odmówić mu czegoś, toteż wolę raczej nie dać mu sposobności proszenia mnie o to. Spodziewam się z całego serca, że nie jest umierający jak powiada, ale doprawdy, gdyby się coś podobnego miało zdarzyć, to nie byłby dla mnie moment zawierania znajomości z dwiema kreaturami, które mnie pozbawiły na piętnaście lat najmilszego z przyjaciół. I zostawiłby mi je na karku wówczas, gdy ta znajomość nie ułatwiłaby mi nawet widywania jego samego, skoro by już nie żył!

Tymczasem p. de Bréauté wciąż przeżuwał kłam, jaki mu zadał pułkownik de Froberville.

– Nie wątpię o ścisłości pańskich informacji, drogi pułkowniku – rzekł – ale ja mam znów swoje, z dobrego źródła. Książę de la Tour d’Auvergne powtórzył mi wszystko.

– Dziwię się, że człowiek tak świątły jak ty może jeszcze mówić „książę de la Tour d’Auvergne”, przerwał p. de Guermantes; wiesz przecie, że nie jest nim ani trochę. Istnieje już tylko jeden członek tej rodziny. To wuj Oriany, książę de Bouillon.

– Brat pani de Villeparisis? – spytałem, przypominając sobie, że ona jest z domu de Bouillon.

– Właśnie. Oriano, kłania ci się pani de Lambresac.

W istocie, widziało się chwilami rodzący się i biegnący niby spadająca gwiazda słaby uśmiech, przeznaczony przez księżnę de Lambresac dla jakiejś osoby, którą poznała. Ale ten uśmiech, zamiast się precyzować w czynnem twierdzeniu, w mowie niemej lecz jasnej, roztopiał się prawie natychmiast w jakiejś idealnej

ekstazie, która nie rozróżniała nic, podczas gdy głowa pochylała się gestem namaszczonego błogosławieństwa, przypominającym ruch, jakim pochyla się ku ciżbie komuniantek zramolizowany nieco prałat. Pani de Lambresac nie była zramolizowana ani trochę. Ale znałem już ten swoisty gest staroświeckiej dystynkcji. W Combray i w Paryżu, wszystkie przyjaciółki babki miały zwyczaj się witać w towarzystwie z miną równie seraficzną co gdyby spostrzegły kogoś znajomego w kościele w chwili Podniesienia lub na pogrzebie i przesyłały mu lekkie dzieńdobry, kończące się modlitwą. Otóż, słowa pana de Guermantes miały dopełnić tego zestawienia.

– Ależ pan widział księcia de Bouillon – rzekł. – Wychodził właśnie z mojej biblioteki w chwili gdy pan wchodził: ten jegomość trochę przysadkowaty i całkiem siwy.

Był to ten, którego ja wziąłem za łyka z Combray, a w którym teraz odnajdywałem w pamięci podobieństwo z panią de Villeparisis. Podobieństwo zamierających ukłonów księżnej de Lambresac z ukłonami przyjaciółek babki zaczynało mnie interesować, dowodząc, że w zamkniętych i ciasnych środowiskach, bądź drobnego mieszczaństwa bądź arystokracji, dawne maniery przechowują się, pozwalając nam, niby archeologowi, odnaleźć, czem mogło być wychowanie, oraz cząstka duszy jaką ono odbija, w czasach wicehrabiego d’Arlincourt i Loizy Puget. Doskonała zgodność wyglądu księcia de Bouillon z rówieśnym mu małomieszczaninem z Combray lepiej mi teraz przypomniła (co mnie już tak uderzyło,

kiedym widział dziadka Roberta de Saint-Loup, księcia de la Rochefoucauld, na dagerotypie, gdzie, jako strój, mina i wzięcie, zupełnie był podobny do mego wujecznego dziadka), że różnice społeczne, a także indywidualne, stapiają się na odległość we wspólnym kolorycie epoki. Faktem jest, że podobieństwo stroju, a także odbijający się w twarzy odbłask ducha epoki, zajmują w danej osobie miejsce znacznie ważniejsze niż kasta tej osoby, wypełniająca je jedynie w miłości własnej zainteresowanego i w wyobraźni drugich. Aby sobie zdać sprawę, że wielki pan z czasu Ludwika Filipa mniej różni się od mieszczanina z czasu Ludwika Filipa niż od wielkiego pana z czasu Ludwika XV, na to nie potrzeba zachodzić do galerji w Luwrze.

W tej chwili, muzyk bawarski z długimi włosami, protegowany księżnej Marji, skłonił się Orianie. Odpowiedziała skinieniem głowy, ale księżę, wściekły że żona wita się z kimś kogo on nie zna, z kimś wyglądającym do tego dość osobliwie i wedle wiedzy pana de Guermantes mającym bardzo złą reputację, zwrócił się do żony z pytającą i groźną miną, jakgdyby mówił: „Co to za figura?” Położenie biednej pani de Guermantes było już dość skomplikowane i gdyby muzyk miał trochę litości nad tą małżonką-męczennicą, byłby się oddalił co żywo. Ale czy to buntując się przeciw upokorzeniu, jakie mu zadano publicznie wobec najstarszych przyjaciół klubowych księcia Błażeja (których obecność spowodowała może potrosze jego milczący ukłon), aby okazać że z pełnem prawem, nie zaś przez uzurpację ukłonił się pani de Guermantes, czy to idąc za

tajemnem i nieodpartem natchnieniem gaffy, która go popchnęła – w chwili gdy powinien był zawierzyć raczej intuicji – do zastosowania ścisłej litery form towarzyskich, muzyk podszedł jeszcze bliżej i rzekł: „Księżno, ośmielam się prosić o zaszczyt przedstawienia mnie księciu”. Pani de Guermites była bardzo nieszczęśliwa. Ale ostatecznie, mimo iż zdradzana jako żona, była jednak księżną de Guermites i nie mogła się uznać za wyzuta z prawa przedstawienia mężowi osób, które znała.

– Błazeju – rzekła – pozwól sobie przedstawić pana d’Herweck.

– Nie pytam się, czy pani będzie jutro u pani de Saint-Euverte – rzekł pułkownik de Froberville do pani de Guermites, aby rozprószyć przykre wrażenie, spowodowane niewczesną pretensją pana d’Herweck. – Cały Paryż tam będzie.

Równocześnie, obracając się jednym ruchem i całym ciałem ku niedyskretnemu muzykowi, książę de Guermites, monumentalny, niemy, rozgniewany, podobny do grzmiącego Jowisza, stał tak nieruchomo kilka sekund, z oczami płonącymi gniewem i zdumieniem, z kędzierzawymi włosami, robiącymi wrażenie że wytrysły z krateru. Następnie, jakby pod działaniem impulsu, który wyłącznie pozwalał mu dopełnić żądanej grzeczności, wyzywającą postawą biorąc niejako obecnych na świadków że nie zna bawarskiego muzyka, krzyżując za plecami ręce w białych rękawiczkach, pochylił się i wymierzył muzykowi ukłon tak głęboki, nacechowany takim zdumieniem i wściekłością, tak gwałtowny i nagły, że drżący artysta cofnął

się pochylając się równocześnie, aby nie otrzymać straszliwego ciosu głową w brzuch.

– Ale... bo właśnie ja nie będę w Paryżu – odpowiedziała księżna panu de Froberville. – Powiem panu (do czego nie powinnam się przyznać), że doszłam swoich lat, nie znając witrażów w Montfort l'Amaury. To wstyd, ale tak już jest. Zatem, aby naprawić tę występłą ignorancję, postanowiłam wybrać się jutro obejrzeć te witraże.

Pan de Bréauté uśmiechnął się dyskretnie. Zrozumiał w istocie, że jeżeli księżna mogła wytrwać „do swoich lat”, nie znając witrażów w Montfort l'Amaury, ta artystyczna wyprawa nie nabrała nagle charakteru niecierpiącego zwłoki i mogła bez niebezpieczeństwa, skoro się ją odwlekało przez więcej niż dwadzieścia pięć lat, poczekać jeszcze dwadzieścia cztery godzin. Nagły projekt księżnej był poprostu dekretem, w stylu Guermantów, stwierdzającym że salon Saint-Euverte stanowczo nie jest domem naprawdę *dobrze*, ale domem gdzie zaprasza się kogoś poto aby się nim pochwalić w kronice „Gaulois”; domem dającym piętno prawdziwej elegancji tym, lub w każdym razie tej (jeżeli ona będzie tą jedyną), której się tam nie zobaczy. Delikatna uciecha pana de Bréauté, zdwojona tą poetycką przyjemnością, jakiej kosztowali ludzie światowi, widząc panią de Guermantes robiącą rzeczy, których własna ich skromniejsza sytuacja nie pozwalała im naśladować, ale których sama wizja wywoływała u nich uśmiech chłopka przywiązanego do gleby, gdy widzi ludzi swobodniejszych i szczęśliwszych,

przechodzących ponad nim, ta subtelna przyjemność nie miała żadnego podobieństwa z utajonem lecz bezgranicznem uczuciem szczęścia, jakiego doznał równocześnie p. de Froberville.

Wysiłki, jakie czynił p. de Froberville aby ściszyć śmiech, sprawiły, że poczerwieniał jak kogut; mimo to, przerywając słowa czkawką radości, wykrzyknął miłosiernie: – Och! biedna ciocia Saint-Euverte, ona to odchoruje! Nie! nieszczęśliwa kobieta nie będzie miała swojej księżnej, co za cios, ależ ona może kipnąć od tego! – dodał skręcając się od śmiechu. I w upojeniu nie mógł się wstrzymać od przebierania nogami i zacierania rąk. Uśmiechając się jednym okiem i kątem ust do pana de Froberville, oceniając jego uprzejmą intencję, ale zarazem śmiertelną nudę jaką wydzielał, pani de Guermantes zdecydowała się wreszcie opuścić pułkownika.

– Proszę pana, *zmuszona* już jestem pożegnać się z panem – rzekła wstając z wyrazem melancholijnej rezygnacji i tak jakby to było nieszczęście dla niej. Pod czarem jej modrych oczu, głos jej, słodki i melodyjny, przywodził na myśl poetyczną skargę wróżki. – Błazej chce, żebym podeszła trochę do Marji.

W rzeczywistości miała dość Froberville’a, który bez przerwy zazdrościł jej, że jedzie do Montfort l’Amaury, podczas gdy księżna była pewna, że on słyszy o tych witrażach pierwszy raz i że, z drugiej strony, za nic nie opuściłby podwieczorku u pani de Saint-Euverte.

– Do widzenia, zaledwie z panem mówiłam, tak już jest w świecie, ludzie się nie widują, nie mówią sobie tego co by

chcieli powiedzieć, zresztą wszędzie w życiu to samo! Miejmy nadzieję, że choć po śmierci świat będzie lepiej urządzony. Przynajmniej nie będzie się potrzeba wciąż dekoltować. A i to jeszcze kto wie. Będzie się może wystawiało swoje kości i swoje robaki na wielkie święta. Czemu nie? Ot, niech pan patrzy na starą Rampillon, czy pan znajdzie wielką różnicę między tem a szkieletem w wyciętej sukni. Prawda że ma potemu prawa, bo ma conajmniej sto lat. Była już jednym z owych świętych monstrów, przed którymi nie chciałam bić czołem, kiedy wchodziłam w świat. Myślałam, że ona umarła od bardzo dawna, co byłoby zresztą jedynym wytłumaczeniem widowiska jakie nam daje. To wstrząsające i liturgiczne. Istne *Campo Santo*!

Księżna opuściła pułkownika, on zbliżył się jeszcze: „Chciałbym pani jeszcze coś powiedzieć”... Trochę podrażniona, odrzekła wyniośle: „O co chodzi?” A on, obawiając się, aby w ostatniej chwili nie zmieniła planów co do Montfort l’Amaury, dodał:

– Nie śmiałem tego mówić z powodu pani de Saint-Euverte, aby jej nie zrobić przykrości, ale skoro pani nie zamierza u niej być, mogę powiedzieć, że cieszę się z tego dla pani, bo tam jest odra.

– Och, Boże! – rzekła Oriana, która się bała chorób. – Ale to dla mnie nie ma znaczenia, przechodziłam już odrę. Nie można tego mieć dwa razy.

– To lekarze tak mówią; znam ludzi, którzy mieli odrę cztery razy. Słowem, ostrzegłem panią.

Co się tyczy samego pułkownika, musiałby chyba naprawdę mieć tę fikcyjną odrę i być przykuty do łóżka, aby się zdecydował opuścić ową *garden-party*, oczekiwane od tyłu miesięcy. Czekala go tam przyjemność oglądania tyłu elegancyj! i większa jeszcze przyjemność oglądania pewnych rzeczy chybionych, a zwłaszcza rozkosz chwalenia się długi czas elegancjami, a ubolewania nad tem co było chybione – przesadzając lub zmyślając.

Korzystając z tego że księżna zmieniała miejsce, wstałem również i udałem się ku palarni, dowiedzieć się o Swanna.

– Niech pan nie wierzy ani słówka temu co mówił Babal, rzekła księżna. Nigdy ta gaska Molé nie wpakowałyby się w taką historję. Tak tylko opowiadają, żeby nas ściągnąć. U Swannów nikt nie bywa i nikt ich nie zaprasza. On sam to przyznaje. „Siedzimy sobie we dwójkę przy kominku”. Ponieważ on mówi zawsze *my*, nie jak król, ale za swoją żonę, nie dopytuję się bliżej. Ale ja mam dobre informacje – dodała.

Minęliśmy dwóch młodych ludzi, których uderzająca i odmienna uroda czerpała początek z jednej kobiety. Byli to dwaj synowie pani de Surgis, nowej kochanki księcia Błażeja. Lśnili wspaniałościami swojej matki, ale każdy wziął inne. W jednego przeszła, falując w męskim ciele, królewska postawa pani de Surgis; ta sama gorąca, rudawa i perłowa bladość napływała do marmurowych lic matki i syna; drugi brat dostał w zamian jej greckie czoło, idealny nos, posagową szyję, niezgłębione oczy. W ten sposób dwoista ich uroda, utworzona z różnych darów jakie między nich rozdzieliła bogini, dawała

abstrakcyjną przyjemność myśli, że przyczyna tej piękności znajduje się zewnątrz nich; możnaby rzec, iż zasadnicze wdzięki matki wcieliły się w dwa różne ciała, że jeden z tych młodych ludzi był postawą matki i jej cerą, drugi jej spojrzeniem, niby owe boskie istoty, będące jedynie siłą i piękną Jowisza lub Minerwy. Byli pełni szacunku dla księcia de Guermantes, o którym mówili: „To wielki przyjaciel naszych rodziców”; mimo to, starszy uznał, że bezpieczniej jest nie witać się z księżną, której niechęć do swojej matki – nie rozumiejąc może powodów tej niechęci – znał; toteż na nasz widok lekko odwrócił głowę. Młodszy, naśladowający we wszystkim brata, ponieważ, będąc mało inteligentny i co więcej krótkowidz, nie odważał się mieć własnego zdania, pochylił głowę pod tym samym kątem; zaczem wsunęli się obaj do sali gry, jeden za drugim, podobni dwom alegorycznym postaciom.

W chwili gdy miał wejść do tej sali, zatrzymała mnie piękna jeszcze margrabina de Citri, prawie z pianą na ustach. Dość szlachetnie urodzona, marzyła o świetnym małżeństwie i zrobiła je w istocie wychodząc za pana de Citri, którego prababka była z domu Aumale-Lorraine. Ale ledwo zaznała tej satysfakcji; opozycyjny jej charakter nabrał do wielkiego świata wstrętu, który nie wykluczał zresztą światowości. Nie tylko będąc gdzieś na przyjęciu drwiła sobie ze wszystkich, ale drwiny te miały coś tak gwałtownego, że nawet ostry śmiech nie wystarczał i mienił się w chrapliwy świst. – Ha! – rzekła do mnie wskazując księżnę, która, rozstawszy się ze mną była już dość daleko – aż się coś we

mnie przewraca, że ona może prowadzić takie życie.

Czy te słowa były okrzykiem rozjuszanej świętej, która dziwi się, że poganie nie cisną się sami do prawdy, czy anarchiści spragnionego rzezi? W każdym razie, wykrzyknik ten był bardzo nieuzasadniony. Najpierw, życie pani de Guermantes bardzo mało się różniło (poza oburzeniem) od życia pani de Citri. Pani de Citri zdumiewała się, widząc Oriane zdolną do tego śmiertelnego poświęcenia: wybrać się na wieczór księżnej Marji! Trzeba dodać, w danym wypadku, że pani de Citri szczerze lubiła księżną Marję, w istocie bardzo dobrą, i wiedziała, że przychodząc na jej wieczór, sprawi jej wielką przyjemność. Toteż, aby być na tym raucie, odprosiła tancerkę, którą uważała za geniusza a która miała ją wtajemniczyć w misterja rosyjskiej choreografji. Inną przyczyną, odbierającą pewną wartość wściekłym atakom pani de Citri na widok Oriany witającej się z tym lub owym, było to, że pani de Guermantes zdradzała objawy tej samej przywary, która trawiła panią de Citri, mimo iż o wiele mniej posuniętej. Widzieliśmy zresztą, że miała jej zarodki od urodzenia. Inteligentniejsza przytem od pani de Citri, Oriana miałaby więcej od niej praw do tego nihilizmu (który nie był jedynie światowy); ale faktem jest, że pewne przymioty raczej pomagają znosić wady drugich niż każą od nich cierpieć; człowiek bardzo niepospolity mniej będzie zazwyczaj zwracał uwagi na czyjąś głupotę, niżby to uczynił głupiec. Opisaliśmy natyle obszernie rodzaj dowcipu księżnej, aby dowieść, że, o ile nie miał on nic wspólnego z wysoką

inteligencją, był przynajmniej dowcipem, dowcipem umiejącym wyzyskać (jak czyni tłumacz) rozmaite formy składni. Otóż nic podobnego nie dawało pani de Citri praw do pogardzania cechami tak podobnymi do jej własnych. Uważała wszystkich za idjotów; ale w rozmowie, w listach, okazywała się raczej niższa od ludzi, których traktowała z taką wzdargą. Miała zresztą taką potrzebę zniszczenia, że kiedy prawie zupełnie wyrzekła się świata, przyjemności, których szukała wówczas, uległy jedna po drugiej jej straszliwej sile destrukcyjnej. Porzuciwszy bale i rauty dla wieczorów muzycznych, zaczęła mówić: „Pani lubi muzykę? To zależy od chwili. Ale jakież to może być nudne! Och, Beethoven, co za piła!” O Wagnerze, potem o Francku, o Debussym, nie zadawała sobie nawet trudu mówienia „piła”; poprzestawała na ruchu ręką, jakby coś piłowała.

Niebawem, nudne stało się wszystko. „Jakie to nudne, piękne rzeczy! Och! obrazy, to można oszaleć!” „Jaką pan ma słuszność, to takie nudne pisać listy”. W końcu oświadczyła nam, że samo życie to jest piła, przyczem trudno było zgadnąć, gdzie znajduje skalę porównania.

Nie wiem, czy to dla tego co księżna Oriana owego pierwszego wieczora, kiedy byłem u niej na obiedzie – powiedziała o tym pokoju, ale sala gry czy palarnia, ze swoją wzorzystą posadzką, ze swemi trójnogami, postaciami bogów i zwierząt, które mierzyły mnie wzrokiem, sfinksami wyciągniętemu na poręczach, a zwłaszcza ze swoim olbrzymim stołem z marmuru czy z emaljowanej mozaiki, okrytym symbolicznymi znakami,

mniej lub więcej naśladowanemi ze sztuki etruskiej i egipskiej, ta sala do gry zrobiła na mnie wrażenie iście czarnoksięskiego pokoju. Otóż, na fotelu bliskim lśniącego i uświęconego stołu, p. de Charlus, nie tykający kart, nieczuły na to co się dzieje dookoła, niezdolny spostrzec mego wejścia, zdawał się czarnoksiężnikiem, całą potęgą woli i rozumu siłącym się wyciągnąć horoskop. Oczy wychodziły mu z głowy niczem pyłki na trójnogu; iżby zaś nic nie zamąciło jego pracy, wymagającej poniechania najprostszych ruchów, podobny rachmistrzowi wyrzekającemu się wszelkiej czynności póki nie rozwiąże swego zagadnienia, baron położył koło siebie cygaro, które dopiero co miał w ustach i na którego dokończenie nie miał już potrzebnej swobody umysłu. Widząc dwa bóstwa przycupnięte na poręczach fotelu stojącego nawprost pana de Charlus, można było przypuszczać, że ów stara się przeniknąć zagadkę sfinksa, gdyby nie chodziło raczej o zagadkę młodego i żywego Edypa, siedzącego właśnie na tym fotelu gdzie usadowił się do gry. Otóż, figura, na której p. de Charlus skupił z takim napięciem wszystkie swoje władze, nie była, prawdę mówiąc, z tych, które studjuje się zazwyczaj *more geometrico*; była to figura, którą tworzyły rysy twarzy młodego margrabiego de Surgis. Twarz ta tak bardzo pochłaniała pana de Charlus, jakgdyby była jakąś krzyżówką, zagadką, jakimś algebraicznym problemem którego starałby się odgadnąć sekret lub znaleźć formułę. Sybilińskie znaki i figury, wypisane przed nim na tej tablicy Prawa, zdawały się tajemnym pismem, które miało pozwolić staremu

czarnoksiężnikowi odczytać w jakim kierunku orjentują się losy młodego człowieka. Nagle baron spostrzegł, że ja na niego patrzę; podniósł głowę jakby zbudzony ze snu i uśmiechnął się do mnie rumieniając się. W tej chwili, drugi syn pani de Surgis podszedł aby zajrzeć bratu w karty. Kiedy p. de Charlus dowiedział się odemnie, że to są bracia, twarz jego nie mogła utaić podziwu, jaki w nim budziła rodzina płodna w tak wspaniałe i tak różne arcydzieła. Entuzjazm barona zwiększyłaby jeszcze wiadomość, że obaj synowie pani de Surgis-le-Duc są dziećmi nietylko jednej matki, ale i jednego ojca. Dzieci Jowisza nie podobne są do siebie, ale to pochodzi stąd, że ów zaślubił najpierw Metys, której przeznaczeniem było dać życie roztropnym dzieciom, potem Temidę, a potem Eurynonję, i Mnemozynę, i Leto, a dopiero na ostatku Junonę. Natomiast pani de Surgis poczęła z jednego ojca dwóch synów, którzy otrzymali od niej urodę, ale każdy inną.

Doczekałem się w końcu przyjemności ujrzenia Swanna, ale nie spostrzegł mnie zrazu, bo sala była bardzo wielka. Przyjemność zmieszana ze smutkiem, którego nie odczuwali może inni goście, ale który u nich zmienił się w rodzaj urzeczenia, jakie wywierają nieoczekiwane i osobliwe kształty bliskiej śmierci – śmierci, którą czyta się już, jak powiada lud, z twarzy. I z niegrzecznem prawie zdumieniem, w które wchodziła niedyskretna ciekawość, okrucieństwo, spokojna zarazem i stroskana zaduma (połączenie *suave mari magno* i *memento quia pulvis*, powiedziałby Robert), wszystkie

spojrzenia wlepiły się w tę twarz, której choroba tak nadgryzła policzki – niby księżyc idący do nowiu – że wyjąwszy pod pewnym kątem (tym zapewne, pod jakim Swann patrzył na siebie), zwijały się one niby wiotka dekoracja, której jedynie złudzenie optyczne może dać pozór bryły. Czy to przez brak tych policzków, których nie stało już aby zmniejszać wymiary nosa, czy że arterioskleroza, która też jest zatruciem, zczerwieniła go tak jak czyni pijaństwo lub zniekształciła tak jak czyni morfina, wydatny nos Swanna, wprzód szarmonizowany z miłą twarzą, teraz wydawał się olbrzymi, nabrzmiały, rubinowy – raczej nos starego hebrajczyka niż ciekawego Walezjusza. Zresztą, może w tych ostatnich dniach rasa bardziej wydobyła u Swanna charakterystyczny dla niej fizyczny typ, wraz z poczuciem żydowskiej solidarności duchowej, o której Swann jakby zapomniał przez całe życie, a którą obudziły zaszczepione na sobie: śmiertelna choroba, sprawa Dreyfusa, rozpętanie antysemityzmu. Są izraelici subtelni zresztą i wykwintni światowcy w których siedzą w zaciszu kulis, aby wkroczyć w danej godzinie życia niby w sztuce teatralnej: – cham i prorok. Swann doszedł wieku proroka. Zmienił się bardzo; pod wpływem choroby, całe partje jego twarzy znikły niby partje topniejącej bryły lodu. Ale mimowoli uderzyło mnie, o ile bardziej jeszcze zmienił się w moich oczach. Był to człowiek miły i kulturalny, którego zawsze widywałem z przyjemnością. Ale nie mogłem teraz zrozumieć, w jaki sposób mogłem go swego czasu stroić taką tajemnicą, że jego zjawienie

się na Polach Elizejskich przyprowadziło mnie o bicie serca, do tego stopnia żem się wstydził zbliżyć do jego peleryny na jedwabiu, że do drzwi mieszkania gdzie żył taki człowiek nie byłem w stanie zadzwonić bez uczucia nieskończonego zmieszania i lęku; wszystko to znikło, nie tylko z jego domu ale i z jego osoby, a myśl o rozmowie z nim mogła mi być miła lub nie, ale nie wzruszała mnie w najlżejszej mierze.

I co więcej, jak on się zmienił od tego popołudnia, kiedy go spotkał – w sumie przed kilku godzinami – w gabinecie księcia Błażeja! Czy naprawdę miał z księciem Gilbertem rozmowę, która go wstrząsnęła? To nie było konieczne. Dla człowieka, który jest bardzo chory, najmniejszy wysiłek staje się rychło przemęczeniem. Niech go bodaj trochę już zmęczonego – zmoże upał sali balowej, twarz jego rozkłada się i sinieje, jak się dzieje w niespełna dzień z dojrzałą gruszką, lub z mlekiem bliskim skwaśnienia. Co więcej, włosy Swanna przerzedziły się miejscami i, jak powiadała Oriana, potrzebowały kuśnierza; wyglądały jak wyjęte z niedostatecznie użytej kamfory.

Miałem przebyć palarnię i zbliżyć się do Swanna, kiedy na nieszczęście czyjaś ręka spoczęła na moim ramieniu.

– Jak się masz, kochanie, jestem w Paryżu na czterdzieści osiem godzin. Zaszedłem do ciebie, powiedziano mi że jesteś tutaj, tak że tobie zawdzięcza ciotka zaszczyt mojej obecności.

Był to Saint-Loup. Wyraziłem mu zachwyt dla tej rezydencji.

– Tak, to dość wygląda na zabytek historyczny. Mnie się to wydaje mordercze. Nie siadajmy blisko wuja Palamedy, inaczej

nas zagarnie. Ponieważ pani Molé (obecna faworyta!) właśnie wyszła, wujaszek jest całkiem wykolejony. Zdaje się, że to istny teatr; nie opuścił jej na krok, rozstał się z nią dopiero wsadziwszy ją do powozu. Nie mam o to pretensji do wuja; poprostu wydaje mi się zabawne, że rada familijna, tak surowa dla mnie, składa się właśnie z krewnych, którzy najbardziej się puszczaali, zacząwszy od największego hulaki ze wszystkich, wuja Charlus. Ten facet, który jest moim urzędowym opiekunem, miał w życiu tyle kobiet co sam don Juan, i w swoim wieku jeszcze nie wypręga! W pewnej chwili była mowa o tem, aby mnie wziąć pod kuratelę. Myślę że kiedy wszyscy ci starzy dziwkarze zbierali się aby badać kwestję i sprowadzali mnie poto aby mi prawić morały i mówić że sprawiam zgryzotę matce, nie mogli na siebie popatrzeć aby się nie śmiać. Powiem ci skład tej rady; wygląda jakby umyślnie dobrali tych, którzy najwięcej zaglądali pod spódniczki.

Wyłączając pana de Charlus, co do którego zdziwienie Roberta nie bardziej zdawało mi się usprawiedliwione (ale z innych przyczyn, które zresztą miały się przeobrazić później w moim umyśle), Saint-Loup niesłusznie uważał za coś nadzwyczajnego, że lekcje rozsądku dają młodemu człowiekowi krewni, którzy sami szaleli lub jeszcze szaleją.

Gdyby odgrywał tu rolę tylko atawizm, podobieństwa rodzinne, nieuchronne byłoby aby prawiący kazanie wujaszek miał mniej więcej te same wady co siostrzeniec otrzymujący połajankę. Niema w tem zresztą ze strony wuja żadnej obłudy; ulega poprostu łatwości, z jaką ludzie w każdej nowej

okoliczności wierzą, że to jest „co innego”; która-to właściwość pozwala im wierzyć w błędy artystyczne, polityczne etc., nie spostrzegając, że to są te same, które brali za prawdę przed dziesięciu laty z powodu innej szkoły malarstwa którą potępiali, innej sprawy politycznej, rzeczy które budziły w nich niegdyś wstręt, a które teraz przyjęli, nie poznając ich pod nowem przebraniem. Zresztą jeżeli nawet błędy wuja różnią się od błędów siostrzeńca, nie mniej dziedziczność może tu być poniekąd zasadą ich przyczynowości, skutek bowiem nie zawsze jest podobny do przyczyny jak kopia do oryginału, i nawet jeżeli błędy wuja są gorsze, ów może doskonale uważać je za mniej ciężkie.

Kiedy p. de Charlus robił pełne oburzenia wyrzuty Robertowi (który zresztą nie znał prawdziwych upodobań wuja), w owej epoce, a nawet gdyby to była jeszcze epoka, w której baron potępiał własne gusty, mógłby doskonale być szczery, znajdując – z punktu widzenia światowca – że Robert nieskończenie winniejszy jest od niego. Czyż, w chwili gdy wujowi polecono przywołać go do rozumu, Robertowi nie groziło to że znajdzie się poza nawiasem swego świata; czyż wiele brakło, aby go zbalotowano w Jockey’u; czyż nie był pośmiewiskiem z powodu szalonych wydatków na kobietę ostatniego rzędu, zażyłości z literatami, aktorami, żydami, osobnikami z których ani jeden nie należał do świata; przekonań, które nie różniły się od przekonań zdrajców; zgryzoty jaką sprawiał wszystkim swoim. Jak możnaby równać to skandaliczne życie z życiem pana de

Charlus, który umiał dotąd nietylko zachować ale uświetnić jeszcze swoją sytuacją rodową, będąc w towarzystwie osobą bezwzględnie uprzywilejowaną, poszukiwaną, wielbioną przez najwybrańszy świat; który, żonaty z księżniczką de Bourbon, kobietą niepospolitą, umiał ją uszczęśliwić, żywił dla jej pamięci najwyższy i najskrupulatniejszy kult, mało mający przykładów w świecie, i okazał się przez to równie dobrym mężem jak był dobrym synem!

– Ale czy ty jesteś pewny, że Charlus miał tyle kochanek? – spytałem, nie w djabolicznej intencji zdradzenia Robertowi podchwyczonego sekretu, ale bądźco bądź podrażniony tem, że on z taką pewnością i zarozumiałstwem broni fałszywego sądu. Wzruszył tylko ramionami na to, co uważał za naiwność z mojej strony. „Zresztą ja go nie potępiam (rzekł), uważam że ma zupełną słuszność”. I Robert zaczął szkicować teorię, która byłaby go przejęła zgrozą w Balbec (gdzie już nie hańba, ale śmierć zdawała mu się jedynie dostateczną karą na uwodzicieli). Bo wówczas był jeszcze zakochany i zazdrosny. Posunął się do tego, że mi zaczął zachwalać domy schadzek. „Tylko tam człowiek znajdzie trzewik na swoją nogę, to co my nazywamy w pułku *swój kaliber*.” Nie żywił już do tego rodzaju miejsc owego wstrętu, jaki objawiał w Balbec, kiedym wspomniał o czemś podobnem. Słyszając Roberta teraz, powiedziałem mu, że Bloch zapoznał mnie z zakładami tego rodzaju; ale Saint-Loup odrzekł, że zakład do którego uczęszczał Bloch, to musiała być „straszna bryndza, raj dla ubogich”. „To zależy, ostatecznie:

gdzież to było?” Zbyłem go ogólnikami, bo przypomniałem sobie, że to tam oddawała się za ludwika owa Rachela, którą miał tak kochać. „W każdym razie zaprowadzę cię do znacznie lepszych, gdzie chodzą bajeczne kobiety. Kiedym go prosił, żeby mnie zaprowadził jaknajprędzej do znajomych sobie zakładów, które muszą być w istocie czemś o wiele wyższem od zakładu wskazanego przez Blocha, Robert wyraził szczery żal, że nie może tego uczynić obecnie, bo wyjeżdża jutro. „To będzie na następny raz, rzekł. Zobaczysz, są nawet młode panny – dodał z tajemniczą miną. Jest tam pewna panna de... zdaje mi się d’Orgeville, powiem ci dokładnie, córka ludzi bardzo, ale to bardzo przyzwoitych, matka jest mniej lub więcej z domu La Croix-l’Êvêque, sama śmietanka, podobno nawet trochę krewni ciotki Oriany. Zresztą wystarczy ujrzeć tę małą, zaraz się czuje że to jest panna z najlepszego domu (czułem przez chwilę rozpościerający się na głosie Roberta cień ducha Guermantów, który przeszedł niby chmura, ale bardzo wysoko i nie zatrzymał się). To mi robi wrażenie jakiejś cudownej przygody. Rodzice są zawsze chorzy i nie mogą się nią zajmować. Ba, mała pociesza się jak może, i liczę na ciebie że znajdziesz rozrywki temu dziecku!

– Och, kiedy wracasz?

– Nie wiem, ale jeżeli ci nie zależy absolutnie na diuszessach (tytuł *diuszessy* jest dla arystokracji jedynym, który oznacza rangę szczególnie świetną, tak jakby lud powiedział *pryncesa*), jest tam w innym rodzaju, pierwsza panna służąca pani Putbus.

W tej chwili pani de Surgis weszła do sali gry szukając

synów. Widząc ją, p. de Charlus podszedł z uprzejmością którą margrabina była tem milej zdziwiona, ile że spodziewała się raczej lodowatego chłodu ze strony barona, który przybierał rolę protektora Oriany i jedyny w rodzinie – zbyt często pobłażliwej dla księcia Błażeja z powodu spadku po nim i przez zawiść wobec księżnej – bojkotował bez litości kochanki swego brata. Toteż pani de Surgis doskonale by zrozumiała pobudki zachowania się, jakiego się obawiała ze strony barona, ale nie podejrzewała zgoła pobudek wręcz odmiennego przyjęcia jakie ją spotkało. P. de Charlus wspomniał z zachwytem o jej portrecie, zrobionym niegdyś przez Jacqueta. Zachwyt ten wzbił się wręcz do entuzjazmu, który, o ile po części interesowny (chodziło o to aby nie dać margrabinie odejść, aby nawiązać kontakt – jak mówił Robert o armjach nieprzyjacielskich, których stan liczebny pragniemy unieruchomić w pewnym punkcie), był może również i szczerzy. Bo jeżeli każdy z przyjemnością podziwiał w synach królewską postawę i oczy pani de Surgis, baron mógł doświadczyć odwrotnej ale równie żywej przyjemności, odnajdując te wdzięki zespolone w ich matce, niby na portrecie, który sam nie rodzi żądz, ale karmi estetycznym podziwem te które budzi. One to właśnie dały retrospektywnie zmysłowy czar nawet portretowi Jacqueta; w tej chwili baron kupiłby chętnie ten portret, aby na nim studjować fizjologiczny rodowód młodych Surgis.

– Widzisz, że nie przesadzałem – rzekł Robert. – Popatrz tylko, jak on nadskakuje tej Surgis. I nawet powiem, że

mnie to dziwi. Gdyby Oriana wiedziała, byłaby wściekła. Szczerze mówiąc, dosyć jest tutaj kobiet, aby się wujaszek nie musiał rzucać na tę – dodał Saint-Loup, który, jak wszyscy ludzie nie zakochani, wyobrażał sobie, że się wybiera przedmiot miłości, po tysiącu rozważań, wedle rozmaitych przymiotów i konwencji. Zresztą, myląc się na punkcie wuja którego uważał za kobieciarza, Robert, pod wpływem swojej urazy, mówił o panu de Charlus zbyt lekko. Nie jest się bezkarnie czymś siostrzeńcem. Bardzo często za pośrednictwem wuja udziela się, wcześniej lub później, dziedziczny nawyk. Możliwe tak sporządzić całą galerję portretów, pod godłem niemieckiej komedji „wuj i siostrzeniec”, gdzie ujrzałoby się wuja czuwającego baczenie, mimo iż bezwiednie, nad tem, aby siostrzeniec stał się w końcu do niego podobny.

Dodam nawet, że ta galerja byłaby niekompletna, gdyby się w nią nie wprowadziło wujów bez żadnego istotnego pokrewieństwa, ile że są jedynie wujami żony siostrzeńca. Panowie de Charlus są w istocie tak przeświadczeni, że oni jedni są dobrymi mężami, coby więcej jedynymi o których kobieta nie jest zazdrosna, że zazwyczaj przez przywiązanie do siostrzenicy wydają ją również za jakiegoś Charlusa. I to wikła motek podobieństw. A z uczuciem do siostrzenicy łączy się czasami uczucie do jej oblubieńca. Takie małżeństwa nie są rzadkie i należą często do tak zwanych szczęśliwych.

– O czem mówiliśmy? A, o tej słusznej blondynce, pokojówce pani Putbus. Ona lubi też kobiety, ale sądzę że to ci jest wszystko

jedno: mogę powiedzieć szczerze, nie widziałem nigdy równie pięknego stworzenia.

– Wyobrażam ją sobie dosyć „Giorgione”?

– Szalenie Giorgione! Och, gdybym miał czas zostać w Paryżu, co za wspaniałe rzeczy byłyby do zrobienia! A potem, przechodzi się do innej. Bo miłość, widzisz, to jest skończona blaga, wyleczyłem się już z tego.

Spostrzegłem niebawem ze zdziwieniem, że Robert wyleczył się nie mniej z literatury, podczas gdy za naszym ostatnim spotkaniem zdawał mi się jedynie rozczarowany do literatów („to prawie wszystko kanalia i Spółka” – powiedział mi, co by się dało wytłumaczyć jego słuszną urazą do niektórych przyjaciół Racheli. Wytłumaczyli jej w istocie, że nigdy nie będzie miała talentu, jeżeli pozwoli Robertowi, „człowiekowi z innej rasy”, wywierać wpływ na nią, i kpili sobie zeń z Rachelą w jego obecności, na obiadach jakie dla nich wyprawiał). Ale w rzeczywistości zamiłowania literackie Roberta nie miały nic głębszego, nie wynikały z jego prawdziwej natury, były jedynie ubocznym produktem miłości do Racheli i zatarły się w nim równocześnie ze wstrętem do donżuanów i z religijną czcią dla cnoty kobiet.

– Jaki ci dwaj młodzi ludzie mają szczególny wyraz twarzy. Niech pani spojrzysz na tę ciekawą pasję do gry, margrabino – rzekł p. de Charlus, pokazując pani de Surgis jej synów, tak jakby absolutnie nie wiedział kto oni są. – To muszą być jacyś synowie Wschodu, mają pewne charakterystyczne rysy, może to

są Turcy – dodał równocześnie, aby potwierdzić jeszcze swoją udaną niewinność i aby dać dowód instynktownej antypatii, która, gdyby ustąpiła później uprzejmości, dowiodłaby, że ta uprzejmość dotyczy młodych ludzi jedynie jako synów pani de Surgis, ile że zaczęła się dopiero w chwili gdy się baron dowiedział kim są. Może też p. de Charlus, u którego impertynencja była darem wrodzonym i uprawianym z rozkoszą, skorzystał z minuty gdy rzekomo nie znał nazwiska młodych ludzi, aby się zabawić kosztem pani de Surgis i dać folę swoim zwyczajnym drwinom, jak Scapin korzysta z przebrania swego pana, aby mu wrzepić porcję kijów.

– To moi synowie – rzekła pani de Surgis, z rumieńcem któregoby sobie oszczędziła, gdyby nie będąc cnotliwszą, była sprytniejsza. Zrozumiałaby wówczas, że u pana de Charlus wyraz absolutnej obojętności lub szyderstwa w stosunku do jakiegoś młodego człowieka równie mało jest szczery, jak zdawkowy podziw okazywany kobiecie nie wyraża prawdziwej natury barona. Kobieta, którą obsypywał pochlebstwami i komplementami bez końca, mogłaby być zazdrosna o spojrzenie, jakie, rozmawiając z nią, słał w stronę mężczyzny, którego jak to udawał później – rzekomo nie zauważył. Bo owo spojrzenie było różne od tych, które p. de Charlus miał dla kobiet; spojrzenie specjalne, idące z głębi, nawet na zabawie nie zdolne się wstrzymać aby nie biec naiwnie ku młodym ludziom, niby spojrzenia krawca zdradzające jego rzemiosło sposobem w jaki natychmiast robią przegląd ubrania.

– Och, to ciekawe, odparł dość impertynencko p. de Charlus, z miną człowieka, którego myśl musiała przebyć długą drogę, zanim doszła do rzeczywistości zupełnie innej niż jego rzekome domysły. Ale ja ich nie znam – dodał, bojąc się iż zaszedł za daleko w wyrazie antypatji i że sparaliżował tem w margrabinie zamiar przedstawienia mu synów.

– Czy pan pozwoli łaskawie przedstawić ich sobie? – spytała nieśmiało pani de Surgis.

– Ależ, mój Boże, jak pani uważa; ja i owszem, ale nie jestem może figurą zbyt zabawną dla tak młodych ludzi – wyśpiewał p. de Charlus z wahającą się i chłodną miną człowieka który się zmusza do grzeczności.

– Arnulfie, Wikturnianie, chodźcie prędko – rzekła pani de Surgis. Wikturnian wstał żywo, Arnulf, wzorując się na bracie, udał się posłusznie za nim.

– Teraz kolej na synów! – rzekł do mnie Robert. – To można umrzeć ze śmiechu. Przymilałby się nawet pieskowi domowemu. To jest tem komiczniesze, że Palamed nienawidzi żygotaków. I popatrz, jak on ich poważnie słucha. Gdybym to ja chciał mu ich przedstawić, ależ posłałby mnie na zbity łeb! Słuchaj, trzeba mi będzie przywitać się z Orianą. Na tak krótko jestem w Paryżu, że chciałbym tutaj zobaczyć się ze wszystkimi, którym inaczej musiałbym rzucać bilety.

– Jacy oni są dobrze wychowani, jakie mają ładne wzięcie – mówił równocześnie p. de Charlus.

– Uważa pan? – odpowiedziała pani de Surgis uszczęśliwiona.

Swann, spostrzegłszy mnie z Robertem, zbliżył się do nas. Żydowska wesołość była u Swanna mniej subtelna niż jego żarty światowca.

– Dobry wieczór – rzekł. – Mój Boże, stoimy tak we trzech, świat będzie myślał, że to zebranie syndykatu. Mało braknie, a zaczną się dowiadywać, gdzie jest kasa!

Swann nie spostrzegł, że p. de Beaucerfeuil stoi za nim i słyszy. Mimowoli generał zmarszczył brwi. Usłyszeliśmy głos pana de Charlus tuż koło nas:

– Jakto, pan się nazywa Wikturnian, jak w *Gabinecie starożytności* – mówił baron, pragnąc przedłużyć rozmowę z młodymi ludźmi.

– Balzaka, tak – odparł starszy de Surgis, który nigdy nie czytał ani litery tego powieściopisarza, ale któremu nauczyciel zwrócił przed kilku dniami uwagę na zgodność jego imienia z imieniem młodego d'Esgrignon. Pani de Surgis była zachwycona, widząc że syn tak się popisał, a p. de Charlus oczarowany był tym ogromem wiedzy.

– Zdaje się, że Loubet jest całkowicie z nami, wiem z najlepszego źródła – rzekł Swann do Roberta, ale tym razem ciszej, aby generał nie słyszał. Stosunki republikańskie żony stały się dla Swanna bardziej interesujące, od czasu jak sprawa Dreyfusa stanowiła centrum jego zainteresowań. – Mówię to panu, bo wiem, że pan idzie z nami ręka w rękę.

– Ależ wcale nie tak bardzo, myli się pan całkowicie – odparł Robert. – To jest sprawa źle zaczęta, i bardzo żałuję, że się

w nią wpakował. Nie miałem tam nic do roboty. Gdyby to można było odrobić, trzymałbym się całkiem z boku. Ja jestem żołnierz, i przede wszystkim jestem za armją. – Jeżeli zostajesz chwilę z panem Swann, pójdę odszukać ciotkę, rzekł Robert do mnie. Ale ujrzałem, że poszedł rozmawiać z panną d'Ambresac, przykro mi się zrobiło na myśl, że Robert skłamał mi co do swoich możliwych zaręczyn. Rozpogodziłem się kiedyś się dowiedział, że dopiero przed pół godziną przedstawiła go pannie pani de Marsantes, która pragnęła tego małżeństwa, bo państwo d'Ambresac byli bardzo bogaci.

– Słowem – rzekł baron do pani de Surgis – widzę oto młodego człowieka wykształconego, który czytał, który wie co to jest Balzac. I tem większą przyjemność sprawia mi, że spotykam te zalety tam gdzie się one stały najrzadsze, u kogoś z mojej sfery, u jednego z naszych – dodał, kładąc nacisk na te słowa. Daremnie Guermantowie udają, że uważają wszystkich ludzi za równych: w wielkich okazjach, znalazłszy się wobec ludzi „urodzonych”, a zwłaszcza mniej dobrze „urodzonych”, którym pragnęli i mogli pochlebić, nie wahali się wyciągnąć starych wspomnień rodzinnych. Niegdyś – ciągnął baron arystokracja to znaczyło *najlepsi*, inteligencją, sercem. I oto pierwszy z naszej sfery, który wie, co to Wikturnian d'Esgrignon! Niesłusznie mówię pierwszy. Jest jeszcze Polignac, i jest Montesquiou, dodał p. de Charlus, wiedząc że to podwójne zestawienie do reszty upoi margrabinę. Zresztą, synowie pani mają się w kogo wdać, ich dziadek po kądzieli miał sławną kolekcję

osiemnastowieczną. Pokażę panu moją, jeżeli mi pan zrobi tę przyjemność, aby zejść do mnie którego dnia na śniadanie; rzekł do młodego Wikturniana. Pokażę panu ciekawe wydanie *Gabinetu starożytności*, z poprawkami ręką Balzaka. Miło mi będzie skonfrontować dwóch Wikturnianów.

Nie mogłem się zdecydować na rozstanie ze Swannem. Doszedł do tego stopnia znużenia, gdy ciało chorego jest już tylko próbką, w której śledzi się reakcje chemiczne. Twarz jego znaczyła się sinemi punkcikami, robiącymi wrażenie czegoś już niemal trupiego, i wydziela ów swoisty zapach, jaki w liceum czyni tak przykrym pobyt w gabinecie fizycznym po „godzinie doświadczeń”. Spytałem, czy nie miał dłuższej rozmowy z księciem Gilbertem i czy nie zechciałby mi jej opowiedzieć.

– Owszem – odparł – ale niech pan idzie na chwilę z panem de Charlus i z panią de Surgis, zaczekam tutaj.

W istocie, p. de Charlus, zaproponowawszy pani de Surgis, aby opuścić ten przegrzany pokój i usiąść na chwilę w drugim, nie synów zaprosił aby towarzyszyli matce, ale mnie. W ten sposób, zwabiwszy ich, stwarzał pozór, że nie zależy mu na tych młodych ludziach. Co więcej, wyświadczał mi łaskę dość tania, ile że pani de Surgis-le-Duc była licho notowana.

Na nieszczęście, ledwie siedliśmy we framudze bez drzwi, zjawiała się pani de Saint-Euverte, przedmiot żarcików barona. Chcąc zamaskować niechęć, jaką budziła w panu de Charlus, lub może chcąc jawnie stawić jej czoło, a zwłaszcza okazać że

jest blisko z damą, która rozmawia tak poufale z baronem, pani de Saint-Euverte rzuciła niedbałe i przyjacielskie przywitanie słynnej piękności, która odpowiedziała jej, zerkając z drwiącym uśmiechem na pana de Carlus. Ale oścież była tak wąska, że kiedy pani de Saint-Euverte chciała za nami dalej zbierać jutrzejszych gości, uwięzła tam i nie mogła się wydobyć; cenna chwila, z której skwapliwie skorzystał p. de Charlus, pragnąc błysnąć impertynencką werwą w oczach matki dwóch efebów. Głupie pytanie, zadane przezemnie bez złej intencji, dostarczyło baronowi okazji do tryumfalnego kupletu, z którego unieruchomiona za nami biedna Saint-Euverte nie mogła stracić ani słowa.

– Czy pani uwierzy, że ten postrzelony młody człowiek – rzekł, wskazując na mnie, baron do pani de Surgis – spytał mnie (bez najmniejszej troski oto, że tego rodzaju potrzeby należy ukrywać), czy ja idę do pani de Saint-Euverte, co znaczy, jak sędzę, czy mnie brzuch boli. Starałbym się, w każdym razie, ulżyć sobie w miejscu bardziej komfortowym, niż u osoby, która, o ile mnie pamięć nie myli, święciła stulecie swoich urodzin wówczas gdy ja zaczynałem bywać w świecie, to znaczy nie u niej. A jednak kogoż bardziej warto byłoby posłuchać! Ileż wspomnień historycznych, oglądanych i przeżytych za pierwszego cesarstwa i za Restauracji; ileż sekretnych awanturek (do których robi aluzję to nazwisko; *eu* znaczy po grecku: „dobrze”, *verte* znaczy po łacinie: „obróć”). Dobrze też wyobrać naszą czcigodną babinę, do syta! Ale

coby mi broniło interviewowania jej w przedmiocie owych
namiętnych epok, to wrażliwość mego zmysłu powonienia.
Bliskość tej damy wystarcza mi. Powiadam sobie nagle: „Och,
Boże, rura w wychodku pękła”; otóż nie, to poprostu margrabina
otworzyła usta, aby kogoś zaprosić na swój wieczór. I pojmuje
pani, że gdybym miał nieszczęście iść do niej, kloaka zmieniałaby
się w olbrzymią beczkę nieczystości. Nosi nazwisko mistyczne,
które przypomina, że jeżeli wszystko po śmierci obraca się
w proch, to i owo jeszcze za życia obraca się w łajno. Powiadają
mi, że ta niestrudzona puszczańska puszcza się na *garden party*;
jabym to nazwał „zaproszeniem do przechadzki po kanałach”. –
Czy pani również ma tam zamiar się zasmrodzić, spytał baron
pani de Surgis, wyraźnie zakłopotanej. Bo chcąc udać przed
baronem że tam nie idzie, a wiedząc że raczej oddałaby pół życia
niżby się wyrzekła *garden-party* margrabiny, w kłopotie tym
obrała drogę pośrednią, to znaczy niepewność. Ta niepewność
przybrała formę tak głupio i tak płasko eklektyczną, że p. de
Charlus, ryzykując obrazę pani de Surgis, dla której wszakże
chciał być miły, zaczął się śmiać aby jej dowieść że to „nie
chwytą”.

– Podziwiam zawsze ludzi, którzy robią projekty – rzekła
pani de Surgis; ja często wymawiam się w ostatnim momencie.
Kwestja letniej sukni może zmienić wszystko. Zrobię wedle
natchnienia chwili.

Co do mnie, byłem oburzony ohydną napaścią pana de
Charlus. Byłbym rad osłodzić to organizatorce *garden-party*.

Na nieszczęście, w „towarzystwie”, jak w świecie politycznym, ofiary są tak nikczemne, że nie można się długo oburzać na ich katów. Pani de Saint-Euverte, zdoławszy się wydobyć z framugi do której zatarasowaliśmy przystęp, przechodząc otarła się mimowoli o barona i przez odruch snobizmu neutralizujący w niej wszelki gniew, może nawet w nadziei nawiązania rozmowy w sposób który nie musiał być pierwszą próbą: „Och! przepraszam pana, panie de Charlus, mam nadzieję, że pana nie potrąciłam”; – wykrzyknęła tak, jakby kłękała przed swoim panem. Baron nie raczył odpowiedzieć inaczej niż szerokim ironicznym śmiechem; bąknął jedynie „dobry wieczór”, tak jakby spostrzegł obecność margrabiny dopiero w chwili gdy mu się ukloniła pierwsza, co było jedną zniewagą więcej. Wreszcie z bezmiarem upodlenia, które mnie bolało za nią, pani de Saint-Euverte podeszła bliżej i wzięwszy mnie na bok, szepnęła: „Ależ co ja takiego zrobiłam panu de Charlus? Twierdzą, że nie jestem dość elegancka dla niego”, rzekła śmiejąc się na całe gardło. Nie uśmiechnąłem się. Z jednej strony wydało mi się idjotyczne iż ona udaje że wierzy lub też chce wmówić że nikt nie jest równie „szykowny” jak ona. Z drugiej strony, ludzie śmiejący się tak głośno z tego co mówią a co nie jest zabawne, uwalniają nas, biorąc wszystkie koszty wesołości na siebie, od brania w niej udziału.

– Inni upewniają mnie – ciągnęła pani de Saint-Euverte – że baron jest urażony o to że go nie zapraszam. Ale on mnie też zbytnio nie zachęca! Robi wrażenie, że się dąsa na mnie

(wyrażenie wydało mi się słabe). Niech się pan postara zbadać to i przyjdzie mi powiedzieć jutro. A jeżeli baron będzie miał wyrzuty sumienia i zechce panu towarzyszyć, niech go pan przyprowadzi. Wszelki grzesznik ma prawo do odpuszczenia. Toby mi nawet sprawiło pewną przyjemność, z powodu pani de Surgis, która byłaby zła o to. Daję panu *carte blanche*. Pan ma doskonałe wyczucie takich rzeczy, a ja nie chcę robić wrażenia, że łowię gości. W każdym razie na pana liczę z pewnością.

Pomyślałem, że czekanie na mnie może zmęczyć Swanna. Nie chciałem zresztą wracać za późno z powodu Albertyny; zaczęm, pożegnawszy panią de Surgis i barona, wróciłem do Swanna do sali gry. Spytałem go, czy w sprawie, o której rozmawiał z księciem w ogrodzie, chodziło w istocie o to co p. de Bréauté (którego nie wymieniłem) nam powtórzył, a co się tyczyło jednoaktówki Bergotte'a. Parsknął śmiechem:

– Nie ma w tem ani słowa prawdy, ani jednego słowa; to całkowicie z palca wyssane i byłoby zupełnie głupie. Doprawdy, to jest niesłychana rzecz, to samoródstwo bajek. Nie pytam, kto to panu powiedział, ale byłoby doprawdy ciekawe, w ramie tak ograniczonej, przejść jedno ogniwo po drugim, aby dojść w jaki sposób to powstało. Zresztą, czy to może kogo interesować, co mi powiedział książę Gilbert? Ludzie są bardzo ciekawi. Ja nie byłem nigdy ciekawy, wyjąwszy kiedy byłem zakochany i zazdrosny. I dużom się dowiedział! Czy pan jest zazdrosny?

Powiedziałem, że nigdy nie doznawałem uczucia zazdrości, nie wiem nawet co to jest.

– Haha! w takim razie, wiesz panu. Kiedy się jest trochę zazdrosnym, to nie jest zbyt niemiłe, z dwójakiego punktu widzenia. Z jednej strony dlatego, że to pozwala ludziom nie ciekawym z natury interesować się życiem innych osób lub bodaj jednej osoby. A powtóre dlatego, że to dosyć dobrze daje czuć słodycz posiadania, wsiadania z kobietą do powozu, nie zostawiania jej samej. Ale to tylko w samych początkach choroby, lub wówczas kiedy się jest prawie wyleczonym. W innej sytuacji, to jest najokropniejsze z cierpień. Zresztą, muszę się panu przyznać, że nawet owe dwie słodycze, o których wspomniałem, mało mi są znane; pierwsza z winy mojej natury, nie zdolnej do przydługich refleksyj; druga z powodu okoliczności, z winy kobiety, – to jest chciałem rzec kobiet, o które byłem zazdrosny. Ale to nic nie znaczy. Nawet kiedy człowiekowi nie zależy na tych rzeczach, nie jest całkiem obojętne, że mu kiedyś na nich zależało; bo to było zawsze z przyczyn, które umykały się innym. Czujemy, że wspomnienie takich uczuć istnieje tylko w nas; trzeba wejść w samego siebie, aby je oglądać. Nie drwij pan sobie nadto z tej idealistycznej gwary; chcę poprostu powiedzieć, że ja bardzo kochałem życie i bardzo kochałem sztukę. I cóż, teraz, kiedy jestem nadto zmęczony na to aby żyć z drugimi, te moje dawne uczucia, tak osobiście *moje*, wydają mi się – ot, manja wszystkich kolekcjonerów! – bardzo cenne. Otwieram dla samego siebie własne serce niby witrynę; oglądam kolejno tyle miłości, których inni nie mogli znać. I o tej kolekcji, do której jestem teraz

bardziej jeszcze przywiązany niż do innych, powiadam sobie – trochę jak Mazarin o swoich książkach, ale zresztą bez żadnego lęku – że bardzo głupio będzie opuścić to wszystko. Ale wróćmy do rozmowy z księciem Gilbertem; opowiem ją tylko jednej osobie, właśnie panu.

W słuchaniu Swanna przeszkadzał mi dialog, który tuż obok nas p. de Charlus, wróciwszy do sali gry, przeciągał bez końca. „I pan także czyta? Co pan wogóle robi?” – pytał hrabiego Arnulfa, który nie znał nawet nazwiska Balzaka. Ale krótki wzrok tego młodzieńca, sprawiając iż widział wszystko bardzo pomniejszone, dawał mu wejrzenie człowieka widzącego bardzo daleko, tak iż – rzadka poezja w posagowym bogu greckim – w żrenicach jego odbijały się jakby odległe i tajemnicze gwiazdy.

– Gdybyśmy się przeszli trochę po ogrodzie, rzekłem do Swanna, podczas gdy hrabia Arnulf spieszczonym głosem, zdającym się wskazywać że jego rozwój (przynajmniej umysłowy) nie jest kompletny, odpowiadał panu de Charlus z uprzejmą i naiwną ścisłością:

– Och, ja, to raczej golf, tenis, piłka nożna, zawody piesze, zwłaszcza polo.

Rzekłbyś Minerwa, która, rozszczepiwszy się, przestała w pewnem mieście być boginią mądrości i wcieliła część samej siebie w czysto sportowe, hippiczne bóstwo *Atene Hippia*. Arnulf jeździł też do Saint-Moritz na narty, bo Pallas Trilogeneia wspina się na wysokie szczyty i dopędza jeźdźców.

– A! – odpowiedział p. de Charlus z pobłażliwym uśmiechem

intelektualisty, który nie zadaje sobie nawet trudu ukrywać że kpi, ale który zresztą czuje się tak bardzo wyższy od innych i tak gardzi inteligencją ludzi najmniej głupich, że zaledwie ich odróżnia od najgłupszych, z chwilą gdy mu przypadli do smaku na inny sposób. Rozmawiając z Arnulfem, p. de Charlus uważał, że mu nadaje przez to samo godność, którą cały świat powinien uznawać i zazdrościć mu jej.

– Nie – odrzekł Swann; nadto jestem zmęczony aby chodzić, usiadłmy raczej gdzieś w kącie, nie trzymam się już na nogach.

Była to prawda, a jednak już to że zaczął rozmawiać wróciło mu trochę żywotności. Bo w najbardziej realnem zmęczeniu jest, zwłaszcza u ludzi nerwowych, częśćka, która zależy od uwagi i która się przechowuje jedynie drogą pamięci. Człowiek czuje się nagle zmęczony, kiedy się obawia że nim będzie; aby się pozbyć zmęczenia, wystarczy zapomnieć o nim. Z pewnością Swann nie należał do tych niewyczerpanych cherlaków, którzy, przybywszy zmordowani, bez duszy, ledwie się trzymając na nogach, odżywają pod wpływem rozmowy niby kwiat w wodzie i mogą godziny całe czerpać z własnych słów siły, których nie przelewają na nieszczęście w słuchaczy, coraz to bardziej przybitych, w miarę jak mówca czuje się rozbudzony. Ale Swann należał do tej silnej rasy żydowskiej, w której żywotność i odporność wobec śmierci cechuje nawet jednostki. Każdy z nich, naznaczony jakąś chorobą, jak sama rasa naznaczona jest prześladowaniem, szamoce się bez końca w straszliwych agonjach, mogących się przeciągnąć poza granice

prawdopodobieństwa, kiedy widać już tylko brodę proroka ze sterczącym olbrzymim nosem, rozszerzającym się aby wciągać ostatnie tchnienia, przed godziną rytualnych modlitw, kiedy to punktualnie rozpoczyna się defilada dalekich krewnych, posuwających się z mechanicznymi gestami, niby na fryzie asyryjskim.

Poszliśmy usiąść, ale zanieśmy się oddalili od grupy, jaką p. de Charlus tworzył z dwoma młodymi Surgis i ich matką, Swann nie mógł się powstrzymać aby nie wlepić w gors pani de Surgis oczu znawcy, szeroko rozwartych i pożądlivych. Włożył monokl, aby lepiej widzieć, i rozmawiając ze mną, raz po raz słał spojrzenie w stronę tej damy.

– Oto słowo w słowo – rzekł kiedyśmy usiedli – moja rozmowa z księciem Gilbertem; a jeżeli pan sobie przypomina co mówiłem świeżo, zobaczy pan, czemu pana biorę za powiernika. A przytem jest jeszcze inna racja, o której się pan dowie kiedyś. „Mój drogi Swann – powiedział książę Gilbert; darujesz mi, jeżeli się wydawało, że cię unikam od jakiegoś czasu. (Wcale tego nie zauważyłem, będąc chory i sam unikając świata). Po pierwsze, słyshałem i przewidywałem, że w nieszczęśliwej sprawie, dzielącej nasz kraj, ty masz przekonania całkiem sprzeczne z mojemi. Otóż, byłoby mi nadzwyczaj przykro, gdybyś je wyrażał w mojej obecności. Moja nerwowość na tym punkcie była taka, że kiedy przed dwoma laty żona moja usłyszała w ustach swego szwagra, wielkiego księcia heskiego, że Dreyfus jest niewinny, nietylko odparła te słowa

bardzo żywo, ale nie powtórzyła mi ich, aby mnie nie drażnić. Prawie w tej samej epoce, szwedzki następca tronu przybył do Paryża i usłyszawszy prawdopodobnie że cesarzowa Eugenia jest dreyfusistką, pomylił ją z księżną Marją (dziwne pomieszanie, przyznasz Swann, kobiety na stanowisku mojej żony z hiszpanką o wiele gorzej urodzoną niż się powiada i zameżną za zwykłym Bonapartem) i powiedział jej: »Księżno, jestem podwójnie szczęśliwy, że panią widzę; wiem, że pani ma te same poglądy co ja na sprawę Dreyfusa, co mnie nie dziwi, skoro Wasza Wysokość jest Bawarką«. Co zyskało księciu następcy tę odpowiedź: »Wasza Wysokość, jestem już tylko księżną francuską i myślę tak jak wszyscy moi rodacy«. Otóż, mój drogi Swann, będzie temu półtora roku, rozmowa z generałem de Beaucerfeuil obudziła we mnie podejrzenie, że w toku procesu popełniono nie omyłkę, ale poważne nieprawidłowości”...

Przerwał nam (Swann nie chciał, aby ktoś słyszał jego opowiadanie) głos pana de Charlus, który (nie troszcząc się zresztą o nas) odprowadzał panią de Surgis i przystanął, próbując ją zatrzymać jeszcze, czy to z powodu synów, czy z powodu owej właściwej Guermantom obawy przed skończeniem się chwili obecnej – obawy pogrążającej ich w jakimś trwożliwym bezwładzie. Nieco później Swann powiedział mi w tym przedmiocie coś, co nazwisku Surgis-le-Duc odjęło w moich oczach wszelką poezję, jaką w niem znajdowałem. Margrabina²

² *margrabina Surgis-le-Duc* – kilkanaście stron wcześniej przedstawił nam ją Proust jako księżnę de Surgis-le-Duc. [przypis redakcyjny]

de Surgis-le-Duc miała o wiele większą sytuację w świecie i o wiele piękniejsze parantele, niż jej kuzyn, hrabia de Surgis, który, będąc ubogi, żył na wsi. Ale słówko kończące tytuł, owo „le Duc”, nie miało bynajmniej początków, które mu przypisywałem i które kazały mi je zbliżyć w wyobraźni z takim Bourg-l'Abbé, Bois-le-Roi, etc. Całkiem poprostu, któryś hrabia de Surgis ożenił się za Restauracji z córką bardzo bogatego przemysłowca, pana Leduc, albo Le Duc, syna znowuż fabrykanta produktów chemicznych, najbogatszego człowieka swojej epoki, para Francji. Dla syna zrodzonego z tego małżeństwa Karol X utworzył markizat Surgis-le-Duc, ile że markizat de Surgis istniał już w rodzinie. Przyrostek mieszczańskiego nazwiska nie przeszkodził tej gałęzi skolidacji się, dzięki olbrzymiemu majątkowi, z pierwszymi rodzinami Francji. Obecna margrabina de Surgis-le-Duc, sama z wielkiego domu, mogłaby mieć pozycję pierwszorzędną. Demon perwersji pchnął ją do tego, aby, gardząc osiągniętą już sytuacją, uciec od męża i żyć najskandaliczniej. Świata, którym pogardziła mając dwadzieścia lat, wówczas gdy był u jej stóp, zaczęło jej okrutnie brakować w trzydziestym roku, kiedy od dziesięciu lat nikt, z wyjątkiem nielicznych wiernych przyjaciółek, nie kłaniał się jej; wówczas postanowiła pracowicie odzyskać, punkt po punkcie, to co posiadała od urodzenia. Tego rodzaju peregrynacje nie są rzadkie.

Co się tyczy wielkich panów, jej krewnych, wzgardzonych niegdyś przez nią i z kolei jej okazujących wzgardę, radość

jaką byłoby dla niej ściągnąć ich do siebie, składała margrabina na wspomnienia dzieciństwa. I mówiąc to dla pokrycia swego snobizmu, mniej może kłamała niż sądziła sama. „Błazej, to cała moja młodość!” powiadała w dniu kiedy księżę powrócił do niej. I w istocie, to była trochę prawda. Ale źle obliczyła, obierając go na kochanka. Bo wszystkie przyjaciółki księżnej Oriany ujęły się za prawowitą żoną i w ten sposób pani de Surgis miała się po raz drugi osunąć ze skarpy, na którą z takim trudem przyszło się jej wdrapać.

– Więc tak! – mówił do niej p. de Charlus, który starał się przedłużyć rozmowę. Złożył pani mój hołd u stóp pięknego portretu. Jakże się miewa, co się z nim dzieje?

– Ależ – rzekła pani de Surgis – niech sobie pan wyobrazi, że go już nie mam; mężowi się nie podobał.

– Nie podobał! Jedno z arcydzieł naszej epoki, równe księżnej de Châteauroux Nattiera, zresztą kuszące się o utrwalenie nie mniej majestatycznej i zabójczej piękności. Och, ten błękitny kołnierzyk! Można powiedzieć, że nigdy Ver Meer nie namalował materji bardziej po mistrzowsku. Nie mówmy tego zbyt głośno, aby Swann nie napadł na nas, chcąc pomścić swego ulubionego malarza, mistrza z Delft.

Margrabina obróciła się z uśmiechem i podała rękę Swannowi, który uniósł się nieco, aby się jej ukłonić. Ale prawie bez udania – jakgdyby podeszły wiek odjął mu bądź wolę moralną, przez obojętność na opinię, bądź władzę fizyczną, przez nasilenie żądz a osłabienie sprężyn zdolnych ją ukryć –

z chwilą gdy Swann, ściskając rękę margrabin, ujrzał zbliżającą się z wysokości jej gors, zapuścił baczne, poważne, pochłonięte, niemal zatroskane spojrzenie w głębinę biustu, a nozdrza jego, upojone zapachem kobiety, zatrzepotały niby motyl gotowy usiąść na dojrzałym kwiecie. Opanował nagle zawrót jaki go ogarnął, a sama pani de Surgis, mimo że zażenowana, zdławiła głęboki oddech, tak żądza bywa czasami zaraźliwa. „Malarz obraził się – rzekła do pana de Charlus – i odebrał portret. Mówiono mi, że jest teraz u Diany de Saint-Euverte. – Nie uwierzę nigdy – odparł baron – aby arcydzieło miało tak zły gust”.

– Mówi o jej portrecie. I ja pogwarzyłbym z nią niegorzej od Charlusa o tym portrecie – rzekł do mnie Swann, naśladowując rozwlekły akcent uliczników i ścigając oczami oddalającą się parę. – I to by mi sprawiło z pewnością więcej przyjemności niż Charlusowi – dodał.

Spytałem, czy to, co mówią o panu de Charlus, jest prawda, w czym kłamałem dubeltowo, bo o ile nie wiedziałem aby kiedy co mówiono, wzamian za to doskonale wiedziałem od niedawna, że to o czym myślę jest prawdą. Swann wzruszył ramionami, tak jakbym powiedział nedorzecznosc:

– To znaczy – rzekł – że on jest czarujący przyjaciel. Ale czy potrzebuję dodawać, że to jest czysto platoniczne? Jest bardziej sentymentalny od innych, oto wszystko; z drugiej strony, ponieważ nie posuwa się nigdy zbyt daleko z kobietami, dało to pewne pozory prawdy nedorzecznym pogłoskom, o których pan

wspomina. Charlus kocha może bardzo swoich przyjaciół, ale niech pan będzie pewny, że to się nigdy nie działo gdzieindziej niż w głowie i w sercu. No, teraz może będziemy mieli parę chwil spokoju. Zatem, księżę Gilbert ciągnął dalej: „Przyznam ci się, że ta myśl o możebnej nielegalności w procedurze procesu była mi nadzwyczaj przykra, z powodu kultu jaki – wiesz o tem – mam dla armji; ponowiłem rozmowę z generałem i nie miałem już niestety żadnej wątpliwości w tym względzie. Powiem ci szczerze, Swann, że myśl, aby niewinny mógł cierpieć najhaniebniejszą karę, nie powstała mi nawet w głowie. Ale, poprzez tę myśl o nielegalności, zacząłem studjować to, czego wprzód nie chciałem czytać, i oto wątpliwości – tym razem już nie co do form procedury ale co do samej winy – zaczęły mnie nawiedzać. Nie uważałem za potrzebne wspominać o tem żonie. Bóg wie, że stała się równie dobrą Francuzką jak ja. Mimo wszystko, w dniu gdym ją zaślubił, włożyłem tyle kokieteryj w to aby jej pokazać całą piękność naszej Francji i co było dla mnie najpiękniejsze, jej armję, że było mi zbyt okrutne dzielić się z nią podejrzeniami, które dotyczyły, co prawda, jedynie kilku oficerów. Ale ja jestem z rodziny wojskowych, nie chciałem wierzyć, aby oficerowie mogli się mylić. Jeszcze raz pomówiłem z Beaucerfeuilem; przyznał mi, że dokonano występnych machinacyj, że *bordereau* może nie jest ręki Dreyfusa, ale że jaskrawy dowód jego winy istnieje. To był dokument pułkownika Henry. I w kilka dni później wyszło na jaw, że to jest fałszerstwo! Wówczas, w sekrecie przed

księżną, zacząłem czytywać codziennie »Siècle«, »Aurore«; niebawem nie miałem już żadnej wątpliwości, nie mogłem spać. Zwierzyłem się ze swoich cierpień moralnych naszemu przyjacielowi, księdzu Poiré, u którego, ku memu zdumieniu, spotkałem się z tem samym przekonaniem i kazałem mu odprawić mszę na intencję Dreyfusa, jego nieszczęśliwej żony i dzieci. Wśród tego wszystkiego, pewnego rana, udając się do księżnej, ujrzałem, że pokojówka jej kryje coś co trzyma w ręku. Spytałem, śmiejąc się, co to takiego; zaczerwieniła się i nie chciała powiedzieć. Miałem największe zaufanie do żony, ale to wydarzenie wstrząsnęło mną bardzo, a z pewnością i księżną, której pokojówka musiała je opowiedzieć, bo moja droga Marja ledwie się do mnie odezwała przy śniadaniu. Spytałem tego dnia księdza Poiré, czy mógłby odprawić nazajutrz moją mszę za Dreyfusa...

– Oho! – wykrzyknął Swann półgłosem, urywając.

Podniosłem głowę i ujrzałem księcia Błazeja, który szedł ku nam.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, moje dzieci. Kochany panie – rzekł zwracając się do mnie – jestem wydelegowany do pana przez Orianę. Gilbertostwo prosili nas, abyśmy zostali u nich na kolacji w jakieś pięć czy sześć osób: tylko księżna heska, pani de Ligné, pani de Tarante, pani de Chevreuse, księżna d’Arenberg. Na nieszczęście, nie możemy zostać, bo idziemy na taką sobie małą redutę.

Słuchałem księcia, ale ilekroć mamy coś do zrobienia

w oznaczonym momencie, sami polecamy pewnej osobistości, przyzwyczajonej do tego rodzaju usług, aby pilnowała godziny i uprzedziła nas w porę. Ten niejako wewnętrzny kamerdyner przypomni mi – jak go o to przed kilku godzinami prosiłem – że Albertyna, w tej chwili bardzo daleka moim myślom, ma przyjść do mnie zaraz po teatrze. To też odmówiłem pozostania na kolacji. Nie znaczy to, abym się nie czuł dobrze u księżnej. Tak więc ludzie mogą mieć kilka rodzajów przyjemności. Prawdziwa jest ta, dla której opuszczają inną. Ale ta znowuż, jeżeli jest jawna, lub nawet jedynie jawna, może zmylić co do pierwszej, uspakaja lub wiedzie na fałszywy trop zazdrosnych, myli sąd świata. A przecież, na to abyśmy poświęcili tę przyjemność dla tamtej, wystarczyłoby trochę szczęścia lub trochę cierpienia. Czasami trzecia kategoria przyjemności poważniejszych, ale bardziej istotnych, nie istnieje dla nas jeszcze; możliwość ich wyraża się w nas jedynie jakimś żalem, zniechęceniem. A jednak tym właśnie przyjemnościom oddamy się później. Aby dać tego przykład, zupełnie mimochodem: wojskowy w czasie pokoju wyrzeczy się życia światowego dla miłości, ale z chwilą wypowiedzenia wojny (i nie potrzeba tu nawet wprowadzać pojęcia patriotyzmu, obowiązku) poświęci miłość dla silniejszej niż miłość namiętności bicia się.

Próżno Swann powiadał mi, że rad jest iż może mi opowiedzieć swoją historię; czułem, że nasza rozmowa, z powodu późnej pory i dolegliwej choroby Swanna, jest dlań jednym z owych wysiłków, których ci, co wiedzą że

zabijają się niespaniem lub ekscesami, rozpaczliwie żałują za powrotem do domu; tak jak rozrzutnicy żałują swoich szalonych wydatków, co im nie przeszkodzi jutro wyrzucać znów pieniądze za okno. Począwszy od pewnego stopnia osłabienia – czy spowodowanego wiekiem czy chorobą – wszelka przyjemność zażywana kosztem snu, łamiąca przyzwyczajenia, wszelki wybryk, stają się przykrością. Świetny causeur mówi dalej przez grzeczność, przez podniecenie, ale wie, że godzina, o której mógłby jeszcze usnąć, minęła, i wie także, jakimi wyrzutami będzie się obsypywał pod wpływem bezsenności i zmęczenia, które go czekają. Już nawet chwilowa przyjemność skończyła się; ciało i duch zbyt są wyprute z sił, aby przyjmować mile to, co partnerowi rozmowy wydaje się zabawne. Tacy ludzie podobni są do mieszkania w dniu wyjazdu lub przeprowadzki, kiedy, siedząc na kuferkach z oczami wlepionymi w zegar, odczuwa się każdą wizytę jako utrapienie.

– Nareszcie sami – rzekł Swann; nie wiem już na czym staiałem. Nieprawdaż, mówiłem panu, że ksiązę Gilbert prosił księdza Poiré, czyby mógł odprawić mszę za Dreyfusa. „Nie – rzekł mi ksiądz (mówię *mi*, rzekł Swann, bo to ksiązę Gilbert mówi do mnie, rozumie pan?) – bo mam inną mszę, którą również polecono mi odprawić za niego. Jakto, rzekłem, więc jest jeszcze drugi katolik przeświadczony o jego niewinności? – Widocznie. – Ale opinia tego drugiego wyznawcy musi być świeższej daty niż moja? – A jednak ten zwolennik Dreyfusa już mi kazał odprawiać msze wówczas gdy ksiązę jeszcze

wierzył w jego winę. – A, widzę że to nie ktoś z naszej sfery. – Przeciwnie! – Doprawdy, są między nami dreyfusiści? Zaciekawiasz mnie księżę; chętnie bym z nim pogadał, jeżeli znam tego rzadkiego ptaka. – Zna go książę. – A jego nazwisko? – Księżna Marja de Guermantes”. Podczas gdy ja się bałem urazić nacjonalistyczne poglądy i francuskość mojej drogiej żony, ona bała się drażnić moje przekonania religijne, moje patriotyczne uczucia. Ale na swoją rękę myślała tak jak ja, mimo iż dawniej odemnie. I to co pokojówka ukrywała wchodząc do jej pokoju, co kupowała księżnej każdego rana, to był numer »Aurore«. Mój drogi Swann, z tą chwilą pomyślałem o przyjemności, jaką ci sprawię, zwierając ci, jak bardzo moje poglądy na tym punkcie bliskie są twoich: daruj mi, że tego nie uczynił wcześniej. Jeżeli weźmiesz pod uwagę milczenie, jakie zachowałem wobec księżnej, nie zdziwisz się, że myśleć tak jak ty byłoby mnie jeszcze bardziej oddaliło od ciebie, niż myśleć inaczej. Bo ten przedmiot stał mi się niezmiernie przykry. Im bardziej wierzę, że popełniono omyłki a nawet zbrodnie, tem bardziej krwawi się moja miłość armji. Sądziłem, że poglądy podobne do moich nie są zdolne obudzić w tobie tej samej boleści, aż powiedziano mi pewnego dnia, że ty energicznie odpierasz obelgi miotane na armję i potępiasz to iż dreyfusiści łączą się z jej wrogami. To mnie zdecydowało; przyznaję, że mi było ciężko wyznać ci, co myślę o niektórych oficerach, nielicznych na szczęście, ale ulgą jest dla mnie nie musieć stronić od ciebie, a zwłaszcza chcę abyś był przeświadczony, że jeżeli

mogłem trwać w innych uczuciach, to dlatego, że nie wątpił o słuszności wyroku. Z chwilą gdy zaczął wątpić, mogłem pragnąć już tylko jednej rzeczy, naprawienia błędu”. Przyznaję, że słowa księcia Gilberta głęboko mnie wzruszyły. Gdyby go pan znał tak jak ja, gdybyś wiedział, z jak daleka musiał wędrować aby dojść do tego punktu, miałbyś dlań podziw, i zasługuje na to. Zresztą sąd jego nie dziwi mnie, to natura tak prawa!

Swann zapominał, że jeszcze tego dnia mówił mi przeciwnie, że o poglądach w tej sprawie Dreyfusa rozstrzyga atawizm. Conajwyżej zrobił wyjątek dla inteligencji, ponieważ u Roberta de Saint-Loup zdołała ona pokonać dziedziczność i zrobić zeń stronnika Dreyfusa. Otóż ujrzał przed chwilą, że to zwycięstwo było krótkotrwałe i że Saint-Loup przeszedł do drugiego obozu. Teraz zatem rolę przyznaną wprzód inteligencji dawał Swann prawości charakteru. W istocie, zawsze odkrywamy wstecz, że nasi przeciwnicy mieli jakieś racje aby należeć do swego stronnictwa, ale racją tą nie jest nigdy słuszność; jeżeli zaś inni myślą tak jak my, to dlatego, że inteligencja – o ile ich poziom moralny jest zbyt niski aby się nań powoływać – albo prawość charakteru – o ile nie odznaczają się bystrością umysłu – zmusiły ich do tego.

Swann przyznawał teraz bez różnicy inteligencję tym co byli jego zdania; swemu staremu przyjacielowi, księciu Gilbertowi, i memu koledze Blochowi, którego dotąd raczej unikał a którego teraz zaprosił na śniadanie. Swann zainteresował bardzo Blocha oznajmieniem, że księżę Gilbert jest dreyfusistą. „Trzebaby go

poprosić, aby podpisał nasz adres za Picquartem; takie nazwisko sprawiłoby byczy efekt.” Ale Swann ze swoim żarliwym przekonaniem izraelity łącząc dyplomatyczny umiar światowca, którego przyzwyczajeniami zanadto nasiąkł, aby się ich móc tak późno wyzbyć, wzdragał się upoważnić Blocha do przesłania księciu – nawet samorzutnie – listy do podpisu. „On tego nie może uczynić, nie trzeba od niego żądać niepodobieństw – powtarzał Swann. – To jest uroczy człowiek, który zrobił tysiące mil, aby przybyć do nas. Może nam być bardzo użyteczny. Gdyby podpisał pańską listę, skompromitowałby się poprostu w oczach swego świata, miałby z powodu nas przykrości, może pożałowałby swoich zwierzeń i poniechałby ich na przyszłość”.

Co więcej, Swann odmówił własnego nazwiska. Uważał je za zbyt hebrajskie, aby nie miało zrobić złego wrażenia. A potem, o ile pochwalał wszystko co tyczyło rewizji procesu, nie chciał być w niczem wmieszany w kampanję antymilitarną. Nosił – czego nigdy nie robił przedtem – odznaczenie, jakie zdobył jako zupełnie młody żołnierz w r. 1870, i dodał do swego testamentu kodycył, z prośbą aby, wbrew jego poprzednim rozporządzeniom, oddano mu honory wojskowe jako kawalerowi Legji honorowej. Co zgromadziło dokoła kościoła w Combray cały szwadron owych kawalerzystów, nad których przyszłością płakała niegdyś Franciszka, kiedy sobie uprzytomniała perspektywę wojny. Krótko mówiąc, Swann odmówił podpisu na adresie Blocha, dzięki czemu, o ile w oczach wielu uchodził za zagorzałego dreyfusistę, kolega mój uznał go

„letnim”, zatrutym przez nacjonalizm, bałwochwalcą munduru.

Swann opuścił mnie bez uścisku dłoni, aby uniknąć pożegnań w tej sali, gdzie miał za wielu przyjaciół; ale szepnął: „Powinienby pan odwiedzić swoją przyjaciółkę Gilbertę. Naprawdę wyrosła i zmieniała się, nie poznałby jej pan. Byłaby taka szczęśliwa!” Nie kochałem już Gilberty. Była dla mnie jak umarła, którą się długo opłakiwało; potem przyszło zapomnienie, i gdyby zmartwychwstała, nie mogłaby już wejść w życie zupełnie jej obce. Nie miałem już ochoty widzieć jej, ani nawet ochoty pokazać że mi nie zależy na jej widzeniu, mimo iż codziennie, wówczas gdym kochał, przyrzekałem sobie okazać to, kiedy jej już nie będę kochał.

Toteż, starając się już tylko zachować wobec Gilberty pozór że pragnąłbym z całego serca ją odnaleźć i że mi w tem przeszkodziły okoliczności rzekomo „niezależne od mojej woli” (które jednak zachodzą w rzeczywistości jedynie wtedy kiedy wola im nie przeciwdziała), daleki od zdradzania chłodu wobec zaproszeń Swanna, prosiłem go na odchodnem, aby wytłumaczył szczegółowo córce przeszkody jakie mnie pozbawiły i jeszcze pozbawiają możliwości odwiedzenia jej. Napiszę do niej zresztą zaraz po powrocie do domu – dodałem. Ale niech pan jej powie, że to będzie list z pogroźkami, bo za miesiąc lub dwa będę zupełnie wolny, a wówczas niech drży, bo będę u państwa tkwił równie często jak dawniej”.

Zanim się rozstałem ze Swannem, wspomniałem o jego zdrowiu. – Nie, to nie jest tak źle – odparł. Zresztą, jak

panu mówiłem, jestem dość zmęczony i przyjmuje z rezygnacją wszystko co się może zdarzyć. Jedyne wyznaję, że byłoby bardzo irytujące umrzeć przed końcem sprawy Dreyfusa. Wszystkie te łajdaki mają jeszcze niejedną sztuczkę w rękawie. Nie wątpię, iż poniosą w końcu klęskę, ale ostatecznie są bardzo potężni, mają oparcie wszędzie. W chwili gdy rzeczy idą najlepiej, wszystko trzaska. Chciałbym żyć natyle, aby widzieć Dreyfusa zrehabilitowanym, a Picquarta pułkownikiem.

Kiedy Swann odszedł, wróciłem do sali balowej, gdzie znajdowała się owa księżna Marja de Guermantes, z którą – o czym nie wiedziałem wówczas – miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus³. Zauważyłem tylko, że, począwszy od pewnej epoki, baron, nie zdradzając w stosunku do księżnej Marji żadnej niechęci (która nie byłaby u niego niczem osobliwym), wciąż mając dla niej tyleż, może nawet więcej przywiązania, był wyraźnie niezadowolony i zły za każdym razem kiedy mu o niej mówiono. Nie podawał już nigdy jej nazwiska na liście osób, które pragnąłby widzieć na jakimś obiedzie.

Prawda iż przedtem jeszcze słyszałem z ust jakiegoś złośliwego bywalca, że księżna Marja całkiem się zmieniła, że się kocha w panu de Charlus, ale ta obmowa wydała mi się idiotyczna i oburzyła mnie. Zauważyłem ze zdziwieniem, że

³ owa księżna Marja de Guermantes, z którą (...) miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus – całej tej partji opowiadania, zarówno jak przyszłej zażyłości bohatera utworu z księżną Marją, Proust nie rozwinął; osoba księżnej ginie z powieści prawie bez śladu. [przypis redakcyjny]

kiedym coś opowiadał o sobie i kiedy w tem opowiadaniu była mowa o panu de Charlus, księżna Marja okazywała wówczas ten wyższy stopień uwagi, który sprawia, iż chory, który, słuchając jak mówimy o sobie (tem samem słuchając z roztargnieniem i obojętnie), poznaje nagle nazwę choroby którą jest dotknięty, co go równocześnie interesuje i cieszy. Kiedy naprzykład wspomniałem: „Właśnie pan de Charlus opowiadał mi...”, księżna Marja ujmowała niejako zwolnione cugle swojej uwagi. I kiedy raz powiedziałem przy niej, że p. de Charlus darzy w tej chwili dość żywym uczuciem pewną osobę, ujrzałem ze zdziwieniem w oczach księżnej odmienny i chwilowy błysk, znaczący w źrenicach niby ślad pęknięcia a zrodzony z myśli, jaką bezwiednie słowa nasze poruszyły w osobie do której mówimy – myśli sekretnej, która nie wyrazi się w słowach, ale z poruszonych przez nas głębin wzniesie się na zmienioną przez chwilę powierzchnię wzroku. Ale, jeżeli moje słowa wzruszyły księżną Marję, nie domyślałem się w jaki sposób.

Zresztą, wkrótce potem, księżna zaczęła mówić ze mną o panu de Charlus, i prawie bez ogródek. Jeżeli robiła aluzję do pogłosek, jakie nieliczne osoby rozpuszczały o baronie, to jedynie jako do niedorzecznych i haniebnych potwarzy. Ale z drugiej strony, mówiła: „Uważam, iż kobieta któraby się zajęła człowiekiem tak olbrzymiej wartości jak Palamed, powinna mieć dość inteligencji, dość poświęcenia, aby go uznać i zrozumieć całego, takim jak jest, szanować jego swobodę, jego kaprysy, starać się jedynie usuwać mu trudności

i pocieszać go w strapieniach”. Otóż, przez takie odezwania się, mimo iż mgliste, księżna Marja odsłaniała to, co starała się uświetnić – w taki sam sposób, w jaki czynił to czasem sam p. de Charlus. Słyszałem wszak nieraz, jak mówił do osób niepewnych jeszcze czy plotki krążące o nim są potwarzą: „Bywałem w życiu na wozie i pod wozem; znałem ludzi wszelkiego rodzaju, tak złodziejów jak królów, a nawet, muszę powiedzieć, z lekką predylekcją do złodziejów; ścigałem piękność pod wszelką jej postacią, etc...” Tego rodzaju powiedzenia wydawały się panu de Charlus zręczne; otóż zaprzeczając pogłoskom których istnienia ktoś nie znał (lub używając prawdzie, przez dobry smak, przez umiar, przez troskę o prawdopodobieństwo, części którą on jeden uważał za minimalną), baron odejmował ostatnie wątpliwości jednym, a budził ich zaczątek w drugich, nie mających ich jeszcze. Bo najniebezpieczniejszem ze wszystkich utajeń, jest utajenie samej winy w duszy winnego. Nieustanna jej świadomość nie pozwala mu się domyślić, jak dalece świat o niej nie wie i jak łatwo uwierzyłby zupełnemu kłamstwu; ani też w zamian nie pozwala zdać sobie sprawy, przy jakim stopniu prawdy, w słowach które jemu wydają się niewinne, zaczyna się dla drugich wyznanie. Żleby zresztą czynił na każdy sposób, starając się taić tę prawdę, bo niema występków, któreby w wielkim świecie nie znajdowały życzliwego poparcia; zdarzało się, że przeinaczano całe urządzenie zamku, poto aby dać pokój jednej siostrze koło drugiej, z chwilą gdy się dowiedziano że się kochają nietylko jak siostry.

Miłość księżnej Marji zdradził mi zwłaszcza pewien oderwany fakt, przy którym nie będę się tu zatrzymywał, bo należy do całkiem innej historii. W owej historii⁴ p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego, wobec którego baron czuł się straszliwie onieśmielony. Jednakże, aby skończyć z miłością księżnej Marji, powiedzmy, jaki drobiazg otworzył mi oczy w tej mierze. Byliśmy owego dnia sami w powozie. W chwili gdyśmy przejeżdżali koło poczty, kazała stanąć. Nie wzięła z sobą lokaja. Wysunęła z mufki list i uczyniła ruch taki, jakby chciała wysiąść aby list wrzucić do skrzynki. Chciałem ją zatrzymać, broniła się lekko, i już zdawaliśmy sobie oboje sprawę, że jej gest był kompromitujący, stwarzający wrażenie jakiegoś ukrywanego sekretu, mój zaś niedyskretny, naruszający ten sekret. Ona opamiętała się pierwsza. Zaczerwieniwszy się nagle mocno, podała mi list; nie śmiałem go już nie wziąć, ale wrzucając list do skrzynki, ujrzałem niechcący adres pana de Charlus.

Ale powróćmy do owego pierwszego wieczora u księżnej Marii. Poszedłem się z nią pożegnać, bo księstwo Błazejowie mieli mnie odwiedzić do domu, a bardzo się spieszyli. Ale książę chciał zamienić słówko z bratem, bo pani de Surgis zdążyła gdzieś za drzwiami szepnąć mu że baron był przemiły dla niej

⁴ należy do całkiem innej historii. W owej historii p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego – i tej historii nigdy Proust nie napisał. [przypis tłumacza]

i dla jej synów. Ta wielka uprzejmość brata – pierwsza jaką mu okazał w tym zakresie – głęboko wzruszyła Błażeja i obudziła w nim uczucia rodzinne, nigdy zresztą nie zasypiające w nim na długo. W chwili gdyśmy się żegnali z księżną Marją, starał się, nie dziękując wprost bratu, okazać mu swoją czułość, czy że w istocie trudno mu ją było powściągnąć, czy że chciał aby baron zapamiętał, że jego zachowanie się tego wieczora nie przeszło w oczach brata niepostrzeżone – podobnie jak psu, który pięknie służył, daje się cukru, celem stworzenia w nim na przyszłość zbawiennych skojarzeń.

– I cóż, braciszku – rzekł książę zatrzymując pana de Charlus i biorąc go czule pod ramie – tak się przechodzi koło starszego brata, nie witając się z nim nawet? Nigdy cię już nie widzę, Mémé, nie masz pojęcia, jak mi tego brakuje. Przeglądając stare szparagały, znalazłem właśnie listy naszej biednej mamy, zawsze takie serdeczne dla ciebie.

– Dziękuję, Błażeju – odparł p. de Charlus zmienionym głosem, bo nigdy nie mógł bez wzruszenia mówić o matce.

– Powinienbyś się zgodzić, żebym ci urządził skrzydło w Guermantes – dodał książę.

– To ładnie widzieć dwóch braci w takich czułościach – rzekła księżna Marja do bratowej.

– Och, co do tego, nie sędzę aby można było znaleźć wielu takich braci. Zaproszę pana z nim razem – przyrzekła mi księżna Oriana. Nie jest pan z nim źle?... Ale co oni mogą mieć sobie do powiedzenia – dodała niespokojnie, bo nie słyszała dobrze

co mówili. Zawsze była nieco zazdrosna o przyjemność, jaką p. de Guermantes znajdował w rozmowie z bratem, o przeszłość od której trzymał żonę trochę zdaleka. Czula, że kiedy im tak jest dobrze z sobą i kiedy ona, nie mogąc powstrzymać niecierpliwej ciekawości, podchodzi do nich, obecność jej nie jest im miła. Ale tego wieczora, z ową zwyczajną zazdrością łączyła się inna. Bo jeżeli pani de Surgis opowiedziała panu de Guermantes o uprzejmości brata, iżby mu za to podziękował, równocześnie serdeczne przyjaciółki państwa de Guermantes uważały za obowiązek uprzedzić Orianę, że kochankę jej męża widziano sam na sam z jego bratem. I panią de Guermantes dręczyło to.

– Przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi niegdyś w Guermantes – ciągnął książę Błażej, zwracając się do pana de Charlus. Gdybyś tam przyjechał czasem w lecie, wskrzesilibyśmy błogie dni. Przypominasz sobie starego Courveau ze swoim: Dlaczego Pascal jest wzruszający? bo jest wzru... wzru...

– Szony, wyrecytował p. de Charlus, tak jakby jeszcze wydawał lekcję nauczycielowi. A czemu Pascal jest wzruszony: bo jest wzru... bo jest wzruszający. Bardzo dobrze, zdasz egzamin, a księżna pani kupi ci słownik chiński.

– Czy pamiętam, drogi Mémé, a stary wazon chiński, który ci przywiózł Hervey de Saint-Denis, widzę go jeszcze! Groziłeś nam, że się wyniesiesz na stałe do Chin, taki byłeś zachwycony tym krajem; już wówczas lubiłeś dalekie włości. Och, ty byłeś specjalny typ; można powiedzieć, że w niczem nie miałeś gustów takich jak inni...

Ale zaledwie książę Błażej wyrzekł te słowa, ugryzł się, jak to powiadają, w język, bo znał, jeżeli nie obyczaje, to przynajmniej reputację brata. Ponieważ nie wspominał o tem nigdy, był tem bardziej zażenowany, że powiedział coś, co mogło wyglądać na dwuznaczną aluzję, a jeszcze bardziej tem, że wydał się zażenowany. Po chwili milczenia, aby zatrzeć wrażenie ostatnich słów, dodał:

– Kto wie, kochałeś się może w jakiej Chince, zanim ci przyszło kochać i rozkochać w sobie tyle białych, jeżeli mam o tem sądzić po pewnej damie, której sprawiłeś wielką przyjemność, rozmawiając z nią dziś wieczór. Jest tobą oczarowana.

Książę przyrzekł sobie nie mówić o pani de Surgis, ale w zamięcie, jaki wniosła w jego myśli świeżo popełniona gaffa, rzucił się na najbliższy temat, właśnie ten który nie powinien był się zjawić w rozmowie, mimo że był jej powodem. Ale p. de Charlus zauważył rumieniec brata. I jak zbrodniarze, którzy, nie chcąc okazać zakłopotania, kiedy się mówi przy nich o niewykrytej zbrodni, siłą się podtrzymać niebezpieczną rozmowę, odparł:

– Bardzo mnie to cieszy, ale pragnę wrócić do poprzedniego zdania, które mi się wydaje głęboko prawdziwe. Powiedziałeś, że nigdy nie miałem pojęć takich jak wszyscy; jakie to trafne; mówiłeś, że mam specjalne gusty.

– Ależ nie – zaprotestował p. de Guermantes, który w istocie nie powiedział tych słów i nie pomawiał może brata o to co one

mogły znaczyć. Zresztą, czyżby się czuł w prawie dręczyć go dla anomalij, które w każdym razie zostały na tyle wątpliwe lub na tyle ukryte, aby nie szkodzić w niczem wspaniałej sytuacji barona? Co więcej, czując w sytuacji brata ewentualne oparcie dla swoich kochanek, książę powiedział sobie, że to jest warte w zamian paru miłych słów; i gdyby znał w tej chwili jakiś „specjalny” stosunek brata, i tak, w nadziei spodziewanego poparcia – skojarzonej z pietyzmem dla pewnych wspomnień – książę Błażej przeszedłby nad tem do porządku przymykając oczy, a w potrzebie użyczyłby bratu pomocnej ręki.

– Ależ, Błażeju; dobry wieczór Palamedzie – rzekła księżna, która trawiona irytacją i ciekawością, nie mogła już wytrzymać – jeżeliście postanowili spędzić noc tutaj, lepiej żebyśmy zostali na kolacji. Trzymacie nas obie z Marją na nogach od pół godziny.

Książę opuścił brata po znaczącym uścisku i zeszliśmy we troje po olbrzymich schodach pałacu.

Z obu stron, na najwyższych stopniach, grupowały się pary, czekające aż zajedzie powóz. Wyprostowana, odcinająca się od innych, mająca po bokach męża i mnie, księżna Oriana stała po lewej stronie schodów, już zawinięta w swój płaszcz a la Tiepolo, z szyją ujętą w rubinowy fermuar, pożerana oczami przez kobiety, przez mężczyzn, silących się podchwycić sekret jej elegancji i urody. Czekając na powóz na tym samym stopniu ale po przeciwnej stronie schodów, pani de Gallardon, która od dawna straciła nadzieję wizyty swojej kuzynki, odwróciła się plecami, aby nie okazać że ją widzi, a zwłaszcza nie dostarczyć

dowodu że się jej księżna nie kłania. Pani de Gallardon była w fatalnym humorze, bo panowie, którzy jej towarzyszyli, uważali za obowiązek zabawiać ją Oriana.

– Nie zależy mi wcale na jej widoku – odparła – widziałem ją zresztą przed chwilą, zaczyna się starzeć, zdaje się że się nie może z tem pogodzić. Błazej sam to powiada. Ba, rozumiem ją, nie jest inteligentna, jest zła jak osa, i ma fatalne wzięcie, czuje więc że kiedy straci urodę, nie zostanie jej nic.

Włożyłem palto, co p. de Guermantes, który się bał zaziębień, zganił z powodu gorąca panującego na schodach. A pokolenie arystokracji, które mniej lub więcej przeszło przez biskupa Dupanloup, mówi (z wyjątkiem Castellane’ów) tak lichą francuszczyzną, że ksiązę wyraził swoją myśl tak: „Lepiej jest nie nakrywać głowy przed wyjściem, przynajmniej *jako też ogólną*”.

Widzę całe to wyjście; widzę – jeżeli nie przez omyłkę pomieszczam go na tych schodach niby portret wyrwany z ramy – księcia de Sagan, dla którego to był ostatni wieczór w „świecie”, jak odkrywa głowę, aby złożyć ukłon księżnej z tak szerokim gestem szapoklaka w białą urękawiczoną rękę, stanowiącej *pendant* do gardenji w klapie iż dziw był, że to nie jest pilśniowy kapelusz z piórem owego *ancien régime*, z którego liczne twarze przodków powtórzyły się wiernie w twarzy tego wielkiego pana. Zatrzymał się zresztą tylko chwilę przy Orianie, ale jego pozy, nawet chwilowe, wystarczały, aby stworzyć cały żywy obraz i jakby historyczną scenę. Ponieważ zresztą umarł niebawem,

a za życia zaledwie go widziałem, stał się dla mnie tak bardzo figurą z historii – bodaj z historii „światowej” – że zdarza mi się zdziwić, gdy pomyślę, że jego siostra i siostrzenica należą do moich znajomych.

Podczas gdyśmy schodzili w dół, wstępowała po schodach z wyrazem zmęczenia, z którym jej było do twarzy, kobieta wyglądająca na lat czterdzieści, mimo że ich miała więcej. Była to księżna d’Orvilliers, naturalna córka (jak mówiono) księcia Parmy, której słodki głos barwił się lekkim austriackim akcentem. Posuwała się, wysoka, pochylona, w białej jedwabnej sukni w kwiaty, pozwalając swojej czarującej, pulsującej i zmęczonej piersi dyszeć poprzez rząd djamentów i szafirów. Potrząsając głową niby królewska klacz, której zawadzałaby uprząż nabijana perłami bezcennej wartości i uciążliwej wagi, wodziła swoje słodkie i urocze spojrzenia, których błękit, w miarę zużycia, nabierał jeszcze więcej słodczy. Idąc, żegnała większość odchodzących przyjacielskim skinieniem głowy.

– O ładnej godzinie przychodzisz, Paulinko! – rzekła księżna Oriana.

– Och, tak, bardzo żałuję. Ale doprawdy, nie było fizycznej możliwości – odparła księżna d’Orvilliers, która przejęła od Oriany ten rodzaj wyrażen, ale okraszała je naturalną słodyczą i wyrazem szczerości, jaki tkliwemu jej głosowi dawał lekko germański akcent. Robiła wrażenie, że czyni aluzję do komplikacji życia zbyt długich do opowiedzenia, a nie poprostu do innych przyjęć, z których wracała w tej chwili. Ale nie one

były przyczyną tego spóźnienia. Ponieważ księżę Gilbert przez długie lata zabraniał żonie przyjmować pani d'Orvilliers, ta, kiedy uchylono interdykt, ograniczała się do rzucania biletów, aby się nie wydawało że jest spragniona zaproszeń. Po paru latach tej metody, zaczęła przychodzić sama, ale późno, jakby po teatrze. W ten sposób stwarzała pozór, że jej nie zależy na wieczorze, ani na tem aby ją tam widziano; ale że poprostu oddaje wizytę księciu Gilbertowi i księżnej Marji, jedynie dla nich, przez sympatję, w chwili gdy po odejściu większości obecnych, lepiej będzie mogła „ich mieć dla siebie”.

– Oriana doprawdy spadła na ostatni szczebel – mruczała pani de Gallardon. – Nie rozumiem, że Błażej pozwala jej mówić z taką d'Orvilliers. To pewna, że mój mąż nie pozwoliłby mi na to.

Co do mnie, poznałem w pani d'Orvilliers kobietę, która w pobliżu pałacu Guermantes rzucała mi długie tęskne spojrzenia, odwracała się, zatrzymywała się przed szybami sklepowymi. Księżna przedstawiła mnie; pani d'Orvilliers była urocza, ani zbyt uprzejma, ani chłodna. Spojrzała na mnie jak na wszystkich swojemi słodkimi oczami... Ale nie miałem już nigdy, ilekroć ją spotkałem, uzyskać od niej najmniejszego z owych gestów, w których zdawała się oddawać. Są specjalne spojrzenia, robiące wrażenie że ktoś nas poznaje, które młody człowiek otrzymuje od pewnych kobiet – i od pewnych mężczyzn – jedynie do dnia, w którym go w istocie poznali i dowiedzieli się że jest przyjacielem ich przyjaciół.

Oznajmiono, że powóz zajechał. Pani de Guermantes ujęła czerwoną spódnicę jakgdyby poto aby zejść i wsiąść do karety; ale powodowana może wyrzutem lub chęcią sprawienia przyjemności, a zwłaszcza skorzystania z krótkości czasu, jaką fizyczna niemożność zakreślała tak nudnemu aktowi, spojrzała na panią de Gallardon, potem, jakgdyby ją dopiero spostrzegła, przebyła, zanim zeszła na dół, całą szerokość stopnia i dotarłszy do zachwyconej kuzynki, podała jej rękę.

– Jakże dawno... – rzekła księżna. I, aby nie musieć dłużej rozwijać wszystkiego co w zakresie żalów i wyjaśnień zawierała ta formułka, obróciła się z przerażoną miną ku księciu, który zeszedłszy ze mną do karety, w istocie grzmiał, widząc iż żona zatrzymuje się przy pani de Gallardon i wstrzymuje ruch dalszych pojazdów.

– Oriana jest jednak jeszcze bardzo piękna – rzekła pani de Gallardon. – Bawią mnie ludzie, którzy mówią, że my jesteśmy chłodno z sobą; możemy – z przyczyn, w które nie potrzebujemy nikogo wtajemniczać – nie widywać się całe lata, ale i tak mamy zbyt wiele wspólnych wspomnień aby się naprawdę kiedykolwiek rozejść. W gruncie ona wie dobrze, że mnie kocha bardziej niż tylu ludzi których widuje codzień a którzy nie są z jej sfery.

Pani de Gallardon była w istocie niby ci wzgardzeni kochankowie, którzy chcą wszelkimi siłami wmówić, że są bardziej kochani, niż ci których pieści ich luba. I pochwałami swemi, któremi, bez troski o sprzeczność z tem co mówiła przed chwilą, obsypała księżnę de Guermantes, pani de Gallardon

dowiodła pośrednio, że Oriana posiada do gruntu zasady, jakimi w swojej karierze winna się rządzić wielka elegantka, która, właśnie w chwili gdy jej najcudniejsza toaleta wzbudza – obok podziwu – zawiść, powinna umieć przebyć całą szerokość schodów, aby tę zawiść rozbroić.

– Uważaj choć, żeby nie zmoczyć trzewików (spadł świeżo mały deszcz), rzekł książę, jeszcze wściekły że czekał.

W czasie powrotu, z powodu szczupłości karety, czerwone trzewiki znalazły się bardzo blisko moich, a pani de Guermantes, bojąc się że mogły ich dotknąć, rzekła do księcia:

– Ten młody człowiek będzie zmuszony powiedzieć mi, jak na jakiejś karykaturze: „Niech mi pani zaraz powie że mnie pani kocha, ale niech mi pani tak nie depce po nogach”.

Moje myśli były zresztą dość daleko od pani de Guermantes. Od czasu jak Saint-Loup wspomniał mi o młodej paninie wielkiego rodu, uczęszczającej do domu schadzek, i o pokojówce baronowej Putbus, w dwóch tych osobach tworzących jedną bryłę streściły się pragnienia budzone we mnie codzień przez tyle piękności z dwóch klas: z jednej strony pospolite i wspaniałe majestatyczne panny służące z wielkiego domu, wzdęte pychą i używające słowa „my” mówiąc o księżnych; z drugiej strony owe młode dziewczęta, których nazwisko wystarczało mi czasem wyczytać w sprawozdaniu z balu – nawet gdy ich nie widział w powozie lub pieszo – abym się w nich zakochał i abym, przeszukawszy sumiennie w skorowidzu zamki gdzie spędzają lato, marzył (często dając się zmylić podobieństwu nazwiska)

kolejno o tem aby mieszkać w równiach Zachodu, na dunach Północy, w piniowych lasach Południa. Ale daremnie stapałem cały najrozkoszniejszy materiał cielesny, aby, w myśl kreślonego mi przez Roberta ideału, stworzyć lekkomyślną pannę oraz pokojówkę pani Putbus; dwóm tym przystępnym pięknościom brakowało tego, czego nie mogłem znać, dopóki bym ich nie ujrzał naocznie: indywidualności. Napróżno miałem się męczyć, starając się – w ciągu miesięcy, w których wołałbym pokojówkę – wyobrazić sobie pannę służącą pani Putbus. Ale, po okresie, kiedy mnie wciąż nękała niespokojna żądza tylu ulotnych istot, których często nie znałem nawet imienia, które były w każdym razie tak trudne do odnalezienia, bardziej jeszcze do poznania, niepodobne może do zdobycia, cóż za spokój wybrać z tej rozsianej, pierzchliwej, bezimiennej Piękności dwa przednie okazy, opatrzone strzałką kierunkową, co do których byłem bodaj pewny, że mogę je sobie sprokurować dowoli. Odsuwałem godzinę tej podwójnej rozkoszy, niby godzinę pracy; ale pewność, że ją będę miał kiedy zechcę, uwalniała mnie niemal od jej zrealizowania, jak owe proszki nasenne, które wystarczy mieć pod ręką aby ich nie potrzebować i zasnąć. Pragnąłem w całym świecie jedynie dwóch kobiet, których twarzy coprawda nie mogłem sobie wyobrazić, ale których nazwiska podał mi Saint-Loup, rękując za ich uczynność. Tak iż jeżeli swemi niedawnemi słowami zadał ciężką pracę mojej wyobraźni, zapewnił mi w zamian cenne odprężenie, trwały spokój woli.

– I cóż – rzekła księżna Oriana – poza balami, czy nie mogę panu być w niczem użyteczna? Czy jest salon, do którego miałby pan ochotę abym pana wprowadziła?

Odpowiedziałem, że się boję, aby jedyny salon, który budzi we mnie tę ochotę, nie był dla niej za mało elegancki. „Cóż to takiego?” spytała groźnym i chrapliwym głosem, prawie nie otwierając ust. – Baronowa Putbus”.

Tym razem księżna udała prawdziwy gniew.

– Nie, doprawdy, zdaje się że pan kpi sobie ze mnie! Nie wiem nawet, jakim cudem znam nazwisko tej klempy. Ależ to są szumowiny! To tak, jakby mnie pan prosił, żebym pana przedstawiła mojej krawcowej. A i to nie, moja krawcowa jest uroczą. Pan jest trochę pomyłony, mój biedny chłopcze. W każdym razie, błagam, niech pan będzie grzeczny dla osób którym pana przedstawiłam, niech im pan rzuci bilety i pójdzie do nich z wizytą, i niech im pan nie opowiada o baronowej Putbus, której nie znają.

Spytałem, czy pani d’Orvilliers nie jest potrosze osobą lekkich obyczajów. – Och, wcale nie, myli ją pan z kimś; raczej świętula. Prawda, Błażeju? – Tak, w każdym razie nie sądzę, aby kiedy o niej coś mówiono, rzekł książę.

– Nie chce pan iść z nami na redutę? spytał. Pożyczę panu weneckiego płaszcza. Znam kogoś, komu by to zrobiło djabelną przyjemność; najpierw Orianie – tego nie potrzeba mówić – ale księżnej Parmy. Cały czas śpiewa hymny na pańską cześć, mówi tylko o panu. Szczęściem dla pana – szczęściem, bo jest trochę

przejrzała – jest absolutnie cnotliwa. Bez tego, wzięłaby pana z pewnością za *cicisbeo*, jak się mówiło za czasu mojej młodości; rodzaj *cavaliere servante*.

Nie zależało mi na reducie, a zależało mi na schadzce z Albertyną. Toteż wymówiłem się. Kareta się zatrzymała, lokaj krzyknął na odźwiernego, konie parskwały, aż wreszcie otwarto bramę na oścież i powóz wjechał w dziedziniec.

– Do zobaczyska – krzyknął książę.

– Żałowałam czasami, że mieszkam tak blisko Marji – rzekła do mnie księżna – bo o ile ją bardzo lubię, o tyle troszkę mniej lubię ją widywać. Ale nigdy nie żałowałam tej bliskości tak jak dzisiaj, skoro przez to tak prędko musimy się rozstać.

– No, Oriano, bez przemów.

Księżna chciała, abym wstąpił na chwilę do nich. Uśmieła się serdecznie, zarówno jak i książę, kiedym powiedział, że nie mogę, bo pewna młoda panienka ma być u mnie z wizytą. „Ma pan zabawną godzinę na przyjmowanie wizyt, rzekła. – No, moje dziecko, spieszmy się, rzekł pan de Guermantes do żony. Jest trzy kwadranse na dwunastą, a jeszcze mamy się przebrać”... Ale natknął się na dwie damy z laskami, które surowo strzegły bramy: nie lękały się zstąpić nocną porą ze swoich wyżyn aby zapobiec skandalowi. „Błazeju, chciałyśmy cię uprzedzić, bojąc się aby cię nie ujrano na tej reducie; biedny Amanian właśnie skończył, będzie godzina temu”. Książę przestraszył się przez chwilę. Widział sławną redutę walącą się dlań w gruz, z chwilą gdy go te przekłete „góralki” uprzedziły o śmierci pana d’Osmond. Ale

opanował się szybko i rzucił dwóm kuzynkom zdanie, w które, wraz z postanowieniem nie wyrzeczenia się przyjemności, włożył swoją niezdolność ścisłego przyswojenia sobie użytku słów: „Umarł! ale nie, przesadzają, przesadzają!” I nie zajmując się więcej kuzynkami, które, zbrojne w alpensztoki, miały się wspinać po nocy do swojej siedziby, rzucił się gorączkowo na lokaja:

– Czy mój kask przyszedł? – Tak, proszę księcia. – Jest dziurka do oddechania? Nie mam ochoty się udusić, u djaska! – Tak, proszę księcia pana. – A, kroćset bomb, to jakiś przekłety wieczór. Oriano, zapomniałem się spytać Babala, czy trzewiki z nosami są dla ciebie. – Ależ, mój drogi, skoro kostjumer z Opéra-Comique jest tutaj, powie nam wszystko. Ale ja nie sądzę, aby się to nadało przy twoich ostrogach. – Chodźmy do kostjumera, rzekł książę. Do widzenia, drogi panie, zaproponowałbym panu, żeby pan wstąpił z nami na chwilę podczas gdy będziemy przymierzali, toby pana zabawiło. Ale zagadalibyśmy się, już się robi dwunasta, a chciałbym się nie spóźnić, żeby zabawa była całkiem udana.

Mnie także było pilno pożegnać coprédzej państwa de Guermantes. *Fedra* kończyła się koło wpół do dwunastej. Licząc czas potrzebny na drogę, Albertyna musiała już być. Udałem się wprost do Franciszki: „Czy panna Albertyna jest? – Nie było nikogo”.

Mój Boże, czy to znaczyło, że nikt nie przyjdzie? Byłem w rozpacz, wizyta Albertyny była mi teraz bardziej upragniona,

bo mniej pewna.

Franciszka była też w złym humorze, ale z całkiem innej przyczyny. Zasadziła właśnie córkę do stołu do soczystej wieczerzy. Ale słysząc że nadchodzę, widząc że zbraknie jej czasu na usunięcie półmisek i rozłożenie igieł i nici tak jakby chodziło o robotę a nie o kolację, rzekła:

– Zjadła właśnie łyżkę zupy, zmusiłam ją żeby coś przetrąciła – rzekła aby zredukować w ten sposób do zera kolację córki i tak jakby obfitość tej kolacji była występkiem. Nawet przy śniadaniu lub przy obiedzie, kiedym popełnił ten błąd aby wejść do kuchni. Franciszka udawała zawsze że już skończyli i tłumaczyła się wręcz, mówiąc: „Chciałam zjeść *kawałek*, albo *kruszynę*. Ale uspokoiłem się, widząc mnogość półmisek, których Franciszka, zaskoczona mojem nagłym wejściem – jak złoczyńca, którym nie była przecież – nie miała czasu sprzątnąć. Potem dodała: „No, idź spać, dosyć pracowałaś dzisiaj (bo chciała osiągnąć wrażenie nietylko że jej córka nic nas nie kosztuje, że żyje powietrzem, ale jeszcze że się zabija dla nas pracą). Tylko zawadzasz w kuchni i przeszkadzasz paniczowi, który spodziewa się gości. No, zabieraj się”, dodała tak, jakby musiała używać swojej powagi, aby wyprawić spać córkę, która, z chwilą gdy kolacja spaliła na panewce, była tu tylko „dla pucu” i gdybym został jeszcze pięć minut dłużej, zabrałaby się sama z siebie. I obracając się ku mnie, w tej swojej pięknej francuszczyźnie ludowej a jednak trochę indywidualnej, Franciszka rzekła: „Pan nie widzi, że aż się jej twarz zwija

z ochoty do spania”. Byłem uszczęśliwiony, że nie muszę rozmawiać z córką Franciszki.

Wspomniałem, że była po mężu ze wsi obok wsi jej matki, a jednak odmiennej charakterem ziemi, uprawą roli, gwarą, zwłaszcza pewnymi właściwościami mieszkańców. Toteż „rzeźniczka” i siostrzenica Franciszki niełatwo się porozumiewały, ale miały tę wspólność, że kiedy szły razem na sprawunki, zasiadywały się godzinami „u siostry”, albo „u kuzynki”, niezdolne same z siebie skończyć jakąś rozmowę. W trakcie tej gawędy, cel, który był powodem ich wyjścia z domu, rozwiewał się do tego stopnia, że kiedy się im rzekło za powrotem: „No i co, czy pan de Norpois będzie w domu o kwadrans na siódmą? nie biły się nawet w czoło, mówiąc: „Och, zapomniałam”, ale powiadały: „A! nie zrozumiałam, że panu o to chodzi; myślałam, że mu się tylko trzeba kłaniać.” Jeżeli traciły głowę w ten sposób dla rzeczy powiedzianej przed godziną, w zamian za to niepodobna im było wybić z głowy tego, co raz usłyszały z ust siostry lub *kuzynki*. I tak, jeżeli rzeźniczka usłyszała gdzieś że Anglicy prowadzili z nami wojnę w roku 1870 równocześnie z Prusakami, daremnie mogłem tłumaczyć że to fałsz, co trzy tygodnie rzeźniczka powtarzała mi w trakcie rozmowy: „To skoś tej wojny, jaką Anglicy z nami prowadziły w siedemdziesiątym, razem z Pruskiemi. – Ale mówiłem pani sto razy, że to nieprawda”. Odpowiadała (co było oznaką, że nic nie zdołało zachwiać jej przekonania): „W każdym razie, to nie jest powód, żeby do nich mieć pretensje. Od siedemdziesiątego roku

dużo wody upłynęło.” Innym razem, propagując wojnę z Anglią, którą ja potępiałem, mówiła: „Juścić, że lepiej żeby wojny nie było, ale skoro musi być, lepiej niech będzie zaraz. Tłumaczyła mi dziś siostra, że od czasu tej wojny, jaką Angliki miały z nami w siedemdziesiątym, traktaty handlowe niszczą nas. Skoro się ich pobije, nie wpuści się już do Francji żadnego Anglika aż zapłaci trzysta franków wstępu, jak my płacimy teraz, jadący do Anglii.”

Taki był charakter mieszkańców tej wioski, która liczyła nie więcej niż pięciuset obywateli i którą okalały kasztany, wierzby, pola kartofli i buraków. Przy wielkiej uczciwości, głuchy upór w tem aby nie dać sobie przerywać, aby podejmować dwadzieścia razy tam gdzie stanęły kiedy im przerwano, co wkońcu dawało ich gawędom niewzruszoną konsystencję fugi Bacha.

Córka Franciszki uważała się przeciwnie za kobietę dzisiejszą, która porzuciła przestarzałe formy. Mówiła gwarą paryską i nie przepuściła nigdy utartego konceptu. Kiedy Franciszka powiedziała jej, że wracam od księżnej, rzekła: „Znam, wiem, księżna z nieprawdziwego zdarzenia”. Nie były to żarciki w zbyt dobrym smaku. Ale bardziej mnie uraziło, kiedy, pocieszając mnie wobec spóźnienia Albertyny, powiedziała: „Myślę, że może pan jej czekać do pojutrze rana. Och, te dzisiejsze podfruwajki!”.

Tak więc, język jej różnił się od języka jej matki, ale co ciekawsze, język matki nie pokrywał się znowuż z językiem babki, urodzonej w Bailleau-le-Pin, tak blisko stron Franciszki. Mimo to, gwary tamtejsze różniły się lekko, jak krajobrazy. W wiosce matki Franciszki grunt zniżał się do parowu, często

spotykało się wierzby. I przeciwnie bardzo daleko stamtąd była we Francji miejscowość, gdzie mówiono prawie zupełnie tą samą gwarą co w Méséglise. Odkryłem to w okolicznościach, połączonych dla mnie z irytacją. W istocie, zastałem raz Franciszkę zagadaną z pokojówką z naszego domu, która była z tamtych stron i mówiła tą gwarą. Rozumiały się wcale dobrze, ja nie rozumiałem ich wcale, one wiedziały o tem, mimo to nie przestawały, usprawiedliwione, jak sądziły, radością że są krajanki, mimo iż zrodzone tak daleko od siebie. I dalej mówiły przy mnie tym obcym językiem, jak wówczas kiedy się nie chce być zrozumianym. Te malownicze studja lingwistycznej geografji i kuchennego koleżeństwa ciągnęły się w kuchni co tydzień, nie sprawiając mi wcale przyjemności.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.